



47
ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr

1678

ZECKI

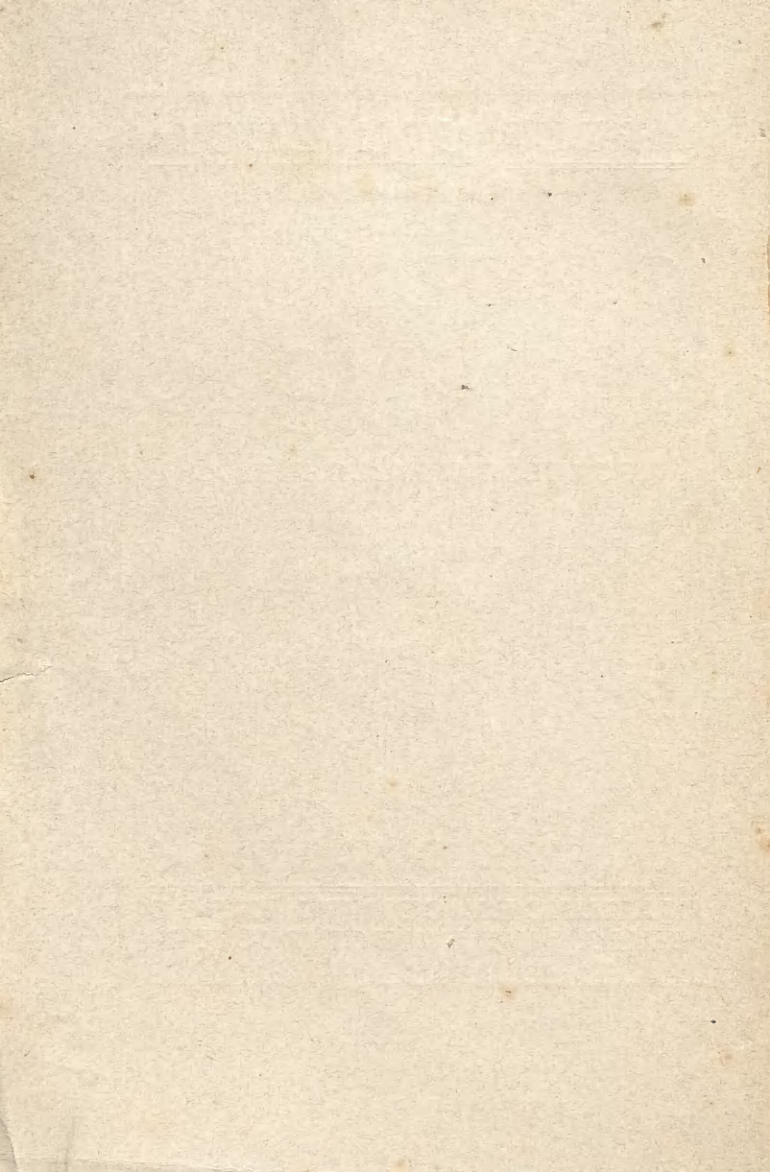
O WOLNOŚĆ I GODNOŚĆ

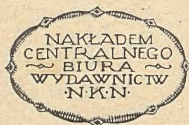
POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



K R A K Ó W 1 9 1 6

NAKŁADEM CENTRALNEGO
BIURA WYDAWNICTW N. K. N.





O WOLNOŚĆ I GODNOŚĆ

1678

leg. 1604

ARTUR GRUSZECKI

O WOLNOŚĆ I GODNOŚĆ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



KRAKÓW 1916.

NAKŁADEM CENTRALNEGO
BIURA WYDAWNICTW N. K. N.

ODBITO CZCIONKAMI DUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE.

I.



— Stasiu, skończyłeś? — spytała dźwięcznym, harmonijnym głosem, bardzo ładna, smukła szatynka, otwierając drzwi do gabinetu.

— Zaraz! — odpowiedział, nie odrywając oczu od zapisanego papieru, a po chwili dodał: — czy stało się co nowego?

— Nie!... Kończ, ja zaczekam, — weszła cichym, elastycznym krokiem do gabinetu, a widząc nieład na pobocznym stoliku, jęła porządkować gazety i książki.

Uporządkowawszy stół, spojrzała z lekką niecierpliwością na piszącego i szła w stronę okna, ażeby poprawić firankę białą, którą wiatr trochę przekrzywił.

Przechodziła obok lustra, mimowolnie popatrzyła, przystanęła i naturalnie przyjrzała się sobie, poprawiając fryzurę i kołnierzyk koronkowy.

Nie była ona klasyczną piękną, ale posiadała bardzo wiele wdzięku i uroku w całej swej postaci. Nad jasnym czołem wznosiły się ciemne włosy z połyskiem złocistym, pleć miała matową, od której przedziwnie odbijały

ciemne, dobre, mądre oczy i ślicznie wykrojone usteczka.

Jak na codzienne zajęcia była może ta sukienka fularowa za strojna, ale jej mieniąca się, delikatna barwa była doskonale zastosowana do cery i włosów.

— Nareszcie! — zawołał Stach Tożyński, odrzucając pióro, i zwrócił swą młodą, wesołą twarz na żonę, — co mi powiesz Krzysiu?

— Chciałam cię zapytać, co robisz dziś po południu?

— Pojadę do kosiarzy, bo chciałbym dziś skończyć z koszeniem łąki, a następnie pojadę do żyta... wiesz do tego pod lasem... tam grunt piaszczysty, może żyto dojrzało, — a widząc, że słucha go jakby w roztargnieniu dodał: — a dlaczego pytałaś?

— Tak sobie.

— A może miałaś inne projekta?

— Nie.

— No, przyznaj się, Krzysiu, — uśmiechnął się, — może chcesz pojechać w sąsiedztwo?... do Kańskich?

— Ależ nie, — nachmurzyła się.

— Ależ tak! — przekomarzał się, — takaś strojna... Wprawdzie mi nie na rękę wizyta, ale pojadę.

— Nie! Nie chcę ci przeszkadzać, — zwróciła się ku drzwiom, — tyś teraz taki zajęty, że

zapominasz o wszystkim, — kończyła z żalem.

— O wszystkim? — zdziwił się, — Krzysiu, i o czym naprzykład, — wstał i zagroził jej drogę do drzwi.

— Jeszcze się pytasz? — spojrzała z wyrzutem, — przypomnij sobie sam.

Zastanowił się przez chwilę i patrząc na nią miłośnie swemi czarnemi błyszczącemi oczyma powiedział:

— Wiesz, Krzysiu, nic a nic nie mogę sobie przypomnieć.

— Nic!? — uśmiechnęła się z lekką ironią, — bo przestałeś mnie kochać.

— Ja!? Ależ Krzysiu, co tobie?

— A tak... co tobie? — powtórzyła za nim irocznie, — ale powiedz mi, którego dzisiaj?

Drugiego lipca, — odpowiedział obojętnie, i na co ci data?

— I teraz nic nie pamiętasz? — zawołała.

— Nie, jak cię kocham.

— A nasza rocznica? — spojrzała mu w oczy?... A tak... tak... daruj mi Krzysiu, — ucałował jej rękę, — ale wiesz... tyle zajęcia, interesów...

— Jakiś ty niedobry, — zaśmiała się, — od samego rana czekam, czy też sobie przypomnisz, obiad był ten sam, co wówczas i ja...

— Ach, prawda! — zawołał z uśmiechem,

więc dlatego tak się wystroiłaś... że też zapom-
niałem... no, ale ty mogłaś mi jednak przypom-
nieć, zrobić aluzję...

— Poco jeśli sam nie pamiętasz.

— Ależ pamiętam... pamiętam doskonale...
mogę ci powtórzyć, coś mi powiedziała...

— Nie, nie to, ale co ty mi powiedziałeś.

— Że cię kocham i kocham zawsze.

— Nie to... tylko jeszcze...

— Co jeszcze? — zaśmiał się, — pierwszy
raz pocałowałaś mnie i...

— Nieprawda, bo ty mnie ucałowałeś, ale
co jeszcze powiedziałeś?

— Jeszcze?

— O szczęściu, Stachu.

— A prawda... to też jestem bardzo szczę-
śliwy z tobą, — objął ją i całował.

— Stachu, — wysunęła mu się z ramion, —
a co będzie dzisiaj? Czy pojedziesz do kosia-
rzy?

— Do kosiarzy?... Nie, nie pojedę, zostanę
z tobą... ale wiesz, możebyśmy poszli razem na
łąkę... a potem, wiesz, do naszej ławki.

— Dobrze... a może weźmiemy Władysia
ze sobą.

Zwrócili się na drogę wjazdową wysadzaną
bujnie rozrośniętymi topolami nadwiślańskie-
mi. Pomiedzy potężnymi pniami widać było
w oddali wieś rozłożoną nad rzeczułką Krętą.

Smukła wieżyczka kościoła rysowała się czystą linią na tle pogodnego nieba. Wokoło panowała wiejska cisza, przerywana szczebiotem ptaków, brzęczeniem pszczoł i owadów, a od czasu do czasu odzywały się dalekie porykiwania pasącego się bydła.

— Czy i tobie, Stasiu, tutaj tak dobrze i miło?

— Najlepiej mi w domu, przy tobie.

— I wiesz, byłabym najszczęśliwsza, gdyby nie obawa o ciebie.

— Ach, nie! wówczas nie mieliśmy syna... będzie przeszkadzał.

Wyszli przed dwór murowany, według mody z czasów Napoleona I. z charakterystycznymi kolumnami pseudo-klasycznymi, otoczony klombami drzew i koszami kwiatów.

— O mnie? Cóż złego może mnie spotkać?

— zaśmiał się, — jestem zdrow, młody, silny... urodzaj zapowiada się świetny, czegoż chcieć więcej?

— Nie to mnie niepokoi, ale, — zniżyła głos i dodała szeptem: — ale ten Kraków, i jeśli oni się dowiedzą...

— Skądże takie przypuszczenia?

— Gdyby ciebie zabrali i powlekli gdzieś na Sybir, zginęłabym z bólu i rozpacz.

— A któżby Władka wychował? Zastanów się, Krzysiu.

— Ach, więc ty coś wiesz o tem, gdy mnie tak uspokajasz, — patrzała mu w twarz badawczo i z obawą, — powiedz Stachu, czy oni już wiedzą?

— Ależ, Krzysiu, nie pozwalaj tak hulać swym nerwom, — zaśmiał się, — nic mi nie grozi, o niczem nie wiem... zresztą, jak wiesz, tam jestem pod pseudonimem: Krzyś, a nazwisko moje powiedziałem tylko komendantowi.

— Jak można było wybrać taki pseudonim, — mówiła z wyrzutem, — każdy kto zna ciebie, domyśli się, że to ty.

— Tak... ale każdy musiałby wiedzieć, żeś ty Krzysia, a ty nie jesteś znów tak sławna i rozgłośna, — zaśmiał się wesoło.

— Tobie żarty w głowie, a ja mówię serio... i tak się boję o ciebie. Budzę się w nocy cała drżąc, bo często śni mi się, że jesteś w więzieniu... że czeka cię katorga... a może coś gorszego.

— Nie bierz tak tragicznie, — zaśmiał się, — co najwyżej zdarliby ze mnie łapówkę sutą.

— Ach, gdyby łapówka pomogła!? — westchnęła, — oddalibyśmy im wszystko, nieprawdaż?

— O, nie! tak hojny nie jestem.

— Ale zważ, że służyłeś w wojsku, należysz do armii moskiewskiej, i gdyby odkryli,

że jesteś w organizacyi... Boże! Co oniby z tobą zrobili, — kończyła z wielkim żalem.

— Dajże pokój, Krzysiu, skąd ci te obawy, jeszcze wywróżysz mi śmierć.

— Odwołaj, Stachu! Odwołaj te słowa! — zawołała ostro.

— Dobrze, odwołuję... ale nie mówmy o tej sprawie, niepotrzebnie się tylko denerwujesz... Patrz, jaki śliczny zachód słońca.

Istotnie, promienne słońce, zapadało za lasem, złocąc rozległe pola uprawne, na których falowały wykłoszone żyta i pszenice, zieleniły się owsy i jęczmiona.

— Widzę; chyba nigdzie nie jest tak pięknie, jak u nas, w Zalesiu, — rozglądała się, — i słyszysz... tam, w wiklinach, rozpoczyna słowik.

— Prawda... teraz ścieżką na prawo, dojdziemy do łąki.

Szli zwolna, wśród szumu zboża, sięgającego im do ramion, wśród miodnych zapachów, w promieniach słońca, oboje młodzi, piękni, rozkochani, że zdawało się, iż są posłami szczęścia, miłości, spokoju. Doszli do gruszy, stojącej na miedzy, skąd widać było nadbrzeżną łąkę. Dziesięciu kosiarzy podnosiło rytmicznie kosy w górę, a ostrza ich w promieniach słońca błyszczały srebrem, znów złotem, albo czerwienią.

— Wiesz Stachu, te kosy wyglądają, jak skrwawione miecze, — patrzyła posępnie na kosiarzy.

— To odbicie promieni, — rzekł obojętnie, — zaczekaj tu na mnie, pójdę do Gwizdka, — wskazał na ekonoma, który konno zbliżał się do kosiarzy, — i powiem mu, ażeby pojechał do żyta pod lasem.

Patrzyła za oddalającym się z miłością, ale i z trwogą, pilnie śledząc każdy ruch energicznej, smukłej postaci męża, jak gdyby chciała wykuć go w marmurze pamięci. A gdy on zaczął rozmawiać z ekonomem i kosiarzami, poczęła zastanawiać się nad tem, skąd przyszły te jej obawy o niego, i to dzisiaj, w rocznicę jego oświadczyn? Wszak do organizacyi strzelców należy on od roku, i nigdy nie lękała się o niego tak, jak dzisiaj. Jestem zdenerwowana, tłómaczyła sobie, i niepotrzebnie psuję dzień dzisiejszy. Nie wspomnę już o tem, przyrzekała sobie, chociaż czuła potrzebę rozmowy właśnie o tej sprawie, pożądając uspokajających słów męża.

— Cóż? Znudzilaś się? — zawołał wesoło zbliżając się.

— Wcale nie, tu tak ładnie. Cóż, skończą łąkę? — wstała i oboje wracali tą samą ścieżką wśród zbóż i kwiatów, rozmawiając o sprawach gospodarczych.

Gdy weszli w aleję wjazdową, ogarnął ich chłód cienistej drogi. Krzysia poczuła dreszcz zimny i znów zawładnęły nią obawy.

— Stasiu, jest co nowego w gazetach? bo nie czytałam dzisiaj.

— Nic szczególnego... Są tylko artykuły rozumowane, że Austria po zabójstwie arcyksięcia zażąda od Serbii ukarania spiskowców.

— A ty, Stachu, co myślisz o tem?

— Nic nie wiem, nie jestem od polityki, — zaśmiał się, — przypuszczam jednak, że na Bałkanie zacznie się zawierucha.

— A niech tam sobie będzie, — uśmiechnęła się, byle do nas nie doszła.

Szli jakiś czas w milczeniu, wreszcie spytała:

— Stachu, czy strzelcy mogą pójść na Bałkan?

— Co ci się śni, Krzysiu? — zaśmiał się.

— No, jako pomoc dla Austrii.

— Jakaś ty naiwna, Krzysiu! Nasza organizacya ma jeden cel, jedyny, walczyć z Moskalami.

— Ciszej, Stachu, — obejrzała się trwożliwie, — jeszcze ktoś posłyszy... Stachu, czy teraz może wybuchnąć powstanie?

— Zdaje mi się, że nie... chyba... chyba... — umilkł.

— Chyba, że co? — spytała z żywością.

— Gdyby Rosya ruszyła z pomocą Serbii, ale o tem ani myśleć.

— Naprawdę Stachu? — spojrzała weselsza na niego.

— Takie mam przekonanie. Rosya nie jest przygotowana... może straszyć Austryę, ale wojny nie rozpocznie.

— To dobrze, bardzo dobrze, — uśmiechnęła się przyjemnie.

— Dlaczego, Krzysiu?

— Bo ty zostaniesz ze mną i postaram się, ażeby ci było dobrze.

Posłyszeli daleki, jękliwy głos dzwonka.

— Może to do nas? — zaniepokoiła się Krzysia.

— Z dzwonkiem to nie do nas. Ktoś jedzie gościńcem, pewno żyd, — rzekł obojętnie i oboje skęcili z zajazdu dworskiego w ogród parkowy otaczający dwór.

— Idziemy do ławki, gdzie mnie usidliłaś pocałunkiem, — mówił wesoło.

— Proszę cię, Stasiu, — rzekła surowo, — nie mów tak. Wiesz, że to nieprawda, a gdyby kto posłyszał te twoje niemądre żarty...

— Powiedziałbym mu, że ta niewola jest mojem szczęściem... zresztą czy kłamię? czy nie pocałowałaś mnie?

— Nie pamiętam, a ty drwisz sobie z naszej miłości.

— Wcale nie drwię, ale co prawda, to prawda, i na to nie poradzisz.

— Dokuczasz mi, i kiedyś pożałujesz tego.

— Kiedy, Krzysiu? — śmiał się.

— Gdy nie będę z tobą.

Dzwonek zajęczał bliżej, jak gdyby z owocowego ogrodu rozciągającego się za parkiem.

— To do nas, — wstrzymała kroki.

— Może i tak... chyba ktoś z kolei, — spojrział na zegarek.

Teraz usłyszeli nietylko dzwonek, ale turkot kół.

— Chodźmy do domu, — powiedziała pośpiesznie, byle nie dużo gości, bo nie mam nic gotowego na kolację.

Szli dość szybko w stronę dworu, a on rozmyślał głośno:

— Kto to być może? Żadnego kupca i urzędnika nie spodziewam się... chyba ktoś z Warszawy, bo to godzina przyjazdu z pociągu.

Tożyński stanął na ganku w chwili, gdy przez bramę wjazdową wjeżdżała furmanka żydowska, którą obskoczyły psy ujadając za jadle. Na tylnem siedzeniu bryczki siedział młody mężczyzna w miejskiem, spacerowem ubraniu.

Na odgłos dzwonka i ujadanie psów wybiegł z dworu lokajczyk, a gospodarz rozkazał:

— Odpędź psy!

Przejezdny, kłaniając się miękkiem, filcowym kapeluszem, zawołał wesoło z bryczki:

— Witaj kolego!

Tożyński zbiegł po schodach i ściskając podaną rękę rzekł uradowany:

— Porwa!... Z nieba spadłeś?

— Nie, tylko z furmanki żydowskiej; ależ się strząsnę, — wyjął portmonetkę i rozplącił się z żydem, który zdjawszy czapkę prosił:

— Jaśnie panie, czy mogą konie odpocząć?

— Zajedź pod stajnie.

— Nu, a psy? — wskazał batem na warczące z daleka psy.

— Nie zjedzą cię, — zaśmiał się, i do gościa: — chodźmy, pewnoś głodny, — weszli do obszernego przedpokoju.

— Dosyć, ale wprawdzie muszę się umyć, — spojrzał na swe zabrudzone ręce.

— Zrobisz to w swym pokoju, — i rzekł do lokajczyka: — Michaś! Wody, ręcznika do gościnnego pokoju, — szli w głąb dworu.

— Przyjechałem na kilka dni, — mówił Porwa, szczupły, wysoki, zgrabny blondyn z twarzą wesołą, z błyszczącymi, szaremi oczyma, — mam w okolicy kilka spraw do załatwienia, i zamieszkam u ciebie... wszak pozwolisz?

— Pytanie zbyteczne, jesteś dla mnie najmilszym gościem, zostań jak najdłużej... żyję tu, jak na pustyni, ludzi ze świecą szukać.

— Będziemy szukali, — zaśmiał się Porwa i wchodząc do pokoju dodał: — nareszcie odpocznę i wyśpię się... jak tu miło, i ten zapach kwiatów z ogrodu! — zachwycił się.

— Zostawię cię na chwilę, ale szybko odpraw ablucyę... jedzenie czeka.

Wyszedł i szukał żony.

— Moja Krzysiu, każ przygotować jedzenie i napitki.

— Już nakrywa, a kto przyjechał?

— Mój kolega, bardzo miły i dzielny.

— Jak się nazywa?

— Nazywa się... Porwa.

— Cóż to za nazwisko? — zdziwiła się.

— Właściwie, to przezwisko, a jak się nazywa, nie wiem.

— Ach, rozumiem... i skąd przyjechał?

— Nie pytałem.

— Stasiu, czy on po ciebie przyjechał? — spytała z przygnębieniem.

— Ależ nie! Zostanie u nas przez tydzień... może dłużej.

— A jednak ja czuję, że on po ciebie przyjechał... przeczuwałam to, i teraz rozumiem mój niepokój dzisiejszy... Ach, Stasiu! Stasiu! —

zarzuciła mu ręce na szyję, ucałowała, szepcąc: — ja się tak boję o ciebie.

— Dzieciństwo, — odsunął się lekko, — obawy czysto kobiece... wstydz się!

— Te spiski i konspiracye są straszne, — mówiła wzruszona, — schwycą was, zduszą, zgłębią, bez żadnego pożytku dla kraju.

— Albo nie rozumiesz, albo nie chcesz rozumieć, że niewolnik za każdą cenę dąży do wolności... ale dość o tem, idę po niego i bądź miłą gospodynią, jak ty to umiesz, — uśmiechnął się do niej przyjemnie.

Przy stole w jadalnym pokoju, Porwa mówiąc o swej podróży kończył:

— Ale wszystkie niewygody zniknęły, gdy tu przyjechałem. Dwór jak z bajki, wśród drzew i kwiatów, przepiórki dzwonią, słowik śpiewa, tu tylko żyć, nie umierać.

— Ja również lubię Zalesie i niechętnie wyjeżdżam, — rzekła pani.

— Czy masz miłe sąsiedztwo Krzysiu? — pytał Porwa, nabierając z półmiska.

Lokaj spojrzał zdziwiony na panią, która zarumieniała się gwałtownie i z oburzeniem spojrzała na gościa.

— Nie nazywaj mnie tak, — powiedział Tożyński po francusku, — mów mi po imieniu: Stanisław, bo wiesz, służba...

— Przepraszam cię... nie wiedziałem.

Pani uspokoiła się i w czasie dalszej rozmowy spytała Porwę:

— Czy przywiózł pan jakie nowiny polityczne?

— Teraz każda chwila może przynieść bardzo ważne nowiny. Jesteśmy w przededniu wojny.

Pani obejrzała pokój, a widząc Michasia powiedziała:

— Przygotuj lichtarze ogrodowe i podasz herbatę na werandę, — a po jego wyjściu zwróciła się do gościa: — musimy być zawsze ostrożni tu, w Siedleckiem. Jesteśmy otoczeni szpiegami.

— Czyż tak dalece? — uśmiechnął się Porwa niedowierzająco.

— Niestety, smutna to prawda, — objaśniał gospodarz. — W każdej wsi jest pop, diak, palamar i kilku prawosławnych. Ci uważają za swój najpierwszy obowiązek szpiegować polską ludność, co im się zresztą opłaca, bo rząd dobre donosy nagradza.

— No, jeszcze na wsi mogą szpiegować, podsłuchiwać, — rzekł Porwa, — ale we dworze?

— Wprawdzie jestem pewny swoich ludzi, — mówił Tożyński, ale mogą się wygadać z tem lub owem, dojdzie do naczalstwa i śledztwo... łapówki... kara.

— O, to wy biedni tutaj i w ciężkiej niewoli... ale to skończy się wkrótce.

— Może przejdziemy na werandę, — wstała pani, — tam podadzą herbatę.

— Krzysiu, czy nie lepiej wina? — zaproponował mąż.

— Dobrze, Stasiu.

— Ach, teraz rozumiem, — zaśmiał się Porwa, gdy szli na werandę.

— Co takiego? — spytał gospodarz.

— Wpierw pytanie jedno: czy dawno państwo po ślubie?

— Pięć lat.

— Aż pięć!? — zdziwił się.

— Tak, panie, — rzekła Krzysia, — mamy syna czteroletniego.

— No, no, ja myślałem, że miłość małżeńska trwa tylko przez miodowe miesiące, a ona ciągnie się latami, jak widzę na was.

— Na nas? — zdziwiła się pani, — nie miał pan chyba jeszcze czasu poznać nas tak dalece.

— O, aż nadto, — mówił wesoło, — gdy Stach nazwał przed chwilą panią po imieniu, zrozumiałem jego rycerski pseudonim. Dawni rycerze walczyli pod godłem bogdanek, a dzisiejsi pod godłem żon. Co za zmiana szalona!?

— Wiesz, Porwa, wybór pseudonimu był tak sobie odruchowy, — tłumaczył się Tożyń-

ski, pokrywając uśmiechem lekkie zmieszanie.

— Wiem, wiem, — mówił Porwa z miną poważną, — to był żywiołowy odruch miłości.

— Ten pseudonim męża nie podoba mi się z różnych względów, — odezwała się pani, — i jeśli można zmienić, byłabym zadowolona.

— Zmiana jest możliwa, ale dopiero gdy wyruszymy na pole walki, — odpowiedział uprzejmie Porwa.

— Ale kiedy to będzie? — westchnął Tożyński.

— Prędzej, aniżeli się spodziewasz... ale o tem pomówimy później, — spojrzał kątem oczu na gospodynię.

— Możesz Porwa mówić śmiało i otwarcie, Krzysia jest nie tylko moją żoną, ale najlepszym przyjacielem.

Krzysia zarumieniła się uradowana, a Porwa uściśnął rękę gospodarza mówiąc:

— Winszuję ci i zazdroszczę, bo przyjaciel więcej wart od żony i kochanki.

— Nie mów pan tak, to obraża kobiety.

— Ale nie panią, — uśmiechnął się, — zresztą niechaj inne postarają się o takie zaufanie.

W pokoju przylegającym do werandy ogrodowej rozległ się tupot nóżek dziecinnych, a pani zawołała:

— Władyś! Władyś, chodź tutaj... chcę zaprezentować panu mego syna.

Wbiegł chłopczyk, w stroju chłopskim, miejscowym, z czarnemi, krótko przyciętymi włosami, z ciemną, niemal oliwkową z opalenia twarzą, a zobaczywszy obcego stanął zmieszany.

— Władyś — przyciągnęła go matka za rączkę do siebie, — to nasz przyjaciel, — wskazała oczyma na Porwę.

— I twój, Władysiu, — uśmiechnął się przyjaźnie gość.

— Dlaczegoś taki zmęczony? — dopytywała się matka, — i skąd ta szrama na twarzy? Co to było Władysiu?

— Wojna, — szepnął półgłosem.

— Gdzie, Władysiu? — spytał łagodnie ojciec.

— W ogrodzie, tatusiu.

— I kto zwyciężył?

— Ja, — wyprostował się chłopczyzna.

— I kogo zwyciężyłeś? — wmieszał się Porwa.

Dziecko spojrzało podejrzliwie na gościa, potem na matkę i milczało.

— No, Władyś, powiedz, ten pan to Polak i przyjaciel, — zachęcała matka, — więc kogo zwyciężyłeś?

— Moskali.

— Niechże cię uściskam mój bohaterze, — wstał Porwa i zbliżył się do dziecka, — oby

się sprawdziły twe słowa, — chciał uściskać malca, ale Władyś przycisnął się do kolan matki i dał tylko rączkę zabrudzoną do uścisku.

— Któż był Moskałem? — uśmiechnął się uradowany ojciec.

— Walek.

— Sam jeden?

— Nie, była i Hanka, i Marynka.

— A ty z kim?

— Ja i Zośka.

— Władyś, a podwieczorek jadłeś?

— Nie, mamusiu.

— Idź do panny Stefci i zjedz grzecznie.

— Dobrze, mamusiu, — wybiegł z werandy.

— Doskonały dzieciak, — chwalił Porwa, — i warto się ożenić, ażeby mieć takiego chłopaka.

— A teraz, mój kochany, mów nowiny, jestem bardzo ciekaw, — rzekł gospodarz podając mu papierosy.

— Nowiny? — puścił kłęb dymu, — jeśli was szpiegują, chodźmy na gazon, tam będzie bezpiecznie.

We troje zeszli na drogę wjazdową a Porwa rzekł:

— Pierwsza rzecz... wojna jest niemal pewna. Serbia, to tylko filia Rosyi na Bałkanie, i w sprawie zabójstwa arcyksięcia brała po-

średni udział rozdmuchując zachcianki i pretensye Serbii.

— Tak, to prawdopodobne, — skinął głową Tożyński.

— Austria nie puści płazem tego zabójstwa, zechce ukarać Serbię, a za nią stanie Rosya. Rzecz jasna i chyba dowodzenia nie potrzebuje.

— No, tak, — mówił Tożyński, — jeśli tylko Serbia się nie upokorzy i nie przyjmie warunków Austrii.

— To mało prawdopodobne, bo Serbia odmówi czując, że ma za sobą Rosyę, a w takim razie wojna Rosyi z Austryą nieunikniona, i my rozpoczynamy grę, — zaśmiał się wesoło.

— Oby się stało, — rzekł radośnie Tożyński. — Hej! Na Moskala! Co za cudowne hasło! Dusza mi się raduje i czuję nowy przypływ siły.

— Tak samo i my wszyscy, — mówił gorączkowo Porwa, — ale nie trzeba dozwolić, ażeby Polacy bili się z Polakami, i w tym celu nie ja jeden przyjechałem do Królestwa.

— I jak? — rzucił pytanie gospodarz.

— Należy przeszkodzić mobilizacyi i poborowych zwerbować do nas. Wówczas stworzymy armię polską stutysięczną a może i liczniejszą, i zaważymy na szali wojny.

— To pomysł cudowny, — zapalał się Tożyński, — jestem pewny, że gdy rzucimy hasło chłopom i rzemieślnikom, ażeby nie stawiali do poboru, sześć dziesiątych usłucha, a gdybyśmy w krótkim czasie wkroczyli, znajdziemy kilkanaście tysięcy szeregowców. Słyszysz Krzysiu, Polska powstaje, i my będziemy wolni!... Wolni! — rozkoszował się dźwiękiem tego słowa, i pod wpływem radości ucałował żonę, następnie Porwę mówiąc: — jesteś posłem najcudowniejszej wieści, bo my zwyciężymy!

— Plan wyborny, — odezwała się Krzysia, — ale jak go wykonać?

— Na razie trzeba nam ludzi pozyskać, — mówił zwolna i dobitnie Porwa, — ludzi pewnych i bezpiecznych, a takich co mają mir w okolicy. Tych wtajemniczy się w sprawę, ażeby przy sposobności oddziaływali na opinię o naszym ruchu, i do nich w swoim czasie przyszłe się odezwy do rozrzucenia pomiędzy lud.

— Trudna to będzie sprawa, — nachmurzył się Tożyński, — ale musimy spróbować.

— Następnie trzeba werbować ochotników do strzelców.

— To już łatwiej, — uśmiechnął się gospodarz, — chętnych do bicia Moskali znajdzie się dosyć.

— Wreszcie musimy się odwołać do ofiarności. W naszym skarbie wojennym mało pie-

niędzy, a brak nam broni, amunicyi i mundurów.

— Ach, pieniądze, — zawołał lekceważąco Tożyński, — te się znajdują, każdy da chętnie.

— Ja oddam całą moją biżuteryę, — odezwała się Krzysia, — zatrzymam tylko pierścionek zaręczynowy.

— Dziękuję pani w imieniu skarbu wojennego, — podał jej rękę Porwa, — na razie nie wezmę, ale powiem skarbnikowi. Pierwszy to raz spotykam się z taką ofiarnością.

— Bo pan napewno nie zwracał się z tem do kobiet, ale każda z nas da chętnie. Naprawdę wstyd byłoby Polsce, gdyby dla braku pieniędzy nie było broni i mundurów.

Jakiś czas szli w milczeniu, oblani światłem księżycowem, przy miłosnym śpiewie rozkochanych słowików.

— Streszczając twą misyę, — przemówił Tożyński, — najpierw mamy wyszukać ludzi, którzyby wpłynęli na opinię sprzyjającą naszemu zamysłom... Jak myślisz Krzysiu, a gdyby tak zaprosić Krzyckiego, poważny, uczciwy, dobry Polak...

— Myślałam i ja o nim... ale mam pewne wątpliwości. On jest radcą Towarzystwa, może nie zechce się narażać, a już napewno nie podejmie się szerzenia odezw.

— Znajdziemy innych do agitacyi, młod-

szych, — mówił Porwa, — lecz jeśli tego pana poważają, dobrzeby było usposobić go przyjaźnie dla nas.

— Dobrze, zaproszę go, — rzekł gospodarz, — no, Krzysiu, a gdyby tak Szubarowskiego? Uprzejmy, gościnny...

— O nie! On przyjaźni się z naczelnikiem powiatu.

— Przyjaźni się? — zachnął się mąż, — musi go przyjmować, gdy go najeżdża, co ma robić?

— A dlaczego do nas naczelnik nie zajeżdża? albo do Krzyckiego?

— Hm... to prawda.

Skończyło się na tem, że postanowiono zaprosić: Krzyckiego i Puszczkowskiego.

Sprawa werbunku wydała się Tożyńskiemu łatwiejszą.

— Z młodymi dam sobie radę. W gospodarstwie znajdę kilku... tak samo Kański dostarczy mi kilku, a może i sam pójdzie.

— Kański? — powątpiewała pani, — on ma matkę, dwie siostry i sam jeden gospodaruje. Nie można od ludzi żądać nad miarę.

— Ależ tu idzie o Polskę! O walkę z Moskalami! — zawołał Porwa. — Wobec tego wszelkie inne względy powinny umilknąć.

— Powinny? — powtórzyła Krzysia, — ale czy umilkną? Zresztą on sam ma usposobienie

spokojne, trochę marzycielskie i wydaje mi się nieskory do czynu.

— Może masz i rację, — rzekł mąż, — zwłaszcza, że o ile mi się zdaje, zakochał się na dobre. A kogo aż cztery kobiety trzymają, temu trudno się oderwać, — zaśmiał się.

— Z jedną łatwiej, — uśmiechnął się Porwa, — a swoją drogą mam wielki szacunek dla pani. Inne żony lub matki, gdy mąż lub syn idzie do strzelców, płaczą, proszą, zaklinają, ażeby nie szedł, a pani zgadza się spokojnie.

Krzysia skorzystała z cienia, ażeby ukryć łzy. Czuła się ogromnie wzruszoną, znękaną i przybitą, gdy posłyszała o blizkiej wojnie i rozłączeniu się z mężem.

— Ach, nie zawsze ona tak spokojna, — dorzucił mąż żartobliwie.

— Chciałbym z panią spiskować, — zaśmiał się Porwa.

— Tylko nie spiski, — przemówiła poważnie, — nie lubię ich. Co innego gdy idzie o walkę otwartą za wolność naszą, w takiej chwili spełniam obowiązek wyprawiając męża lub syna na wojnę.

— Dzielna z pani kobieta i prawdziwa Polka.

Mąż zaś nie zważając na obecność Porwy, wziął ją w objęcia i całując serdecznie mówił wzruszony:

— Kocham cię Krzysiu! Bardzo kocham!

II.

W jadalnym pokoju przy stole, nakrytym do herbaty, oświetlonym wiszącą lampą, siedziała Krzysia, mając przed sobą otwartą książkę. Czytała, ale częściej oparłszy głowę na rękę zastanawiała się nad swem życiem, które dotychczas tak pogodne, jasne, prostolinijne, niespodzianie zasnuwa się chmurami, mroczy się i wikła.

Pod pierwszym wpływem wieści o podjęciu walki o wolność, gotowa była zgodzić się nie tylko na rozłączenie z ukochanym mężem, ale na wysłanie go na wojnę, gdzie każdej chwili grozi mu kalectwo lub śmierć. Teraz opadły ją wyrzuty sumienia, że zgodziła się tak łatwo, że nie próbowała zatrzymać go, wytłómaczyć, że nie tylko ten służy tej wielkiej sprawie, kto idzie z bronią w rękę, ale i ten, kto dostarcza żywności wojsku, pilnuje magazynów, dostarcza potrzebnych rzeczy i amunicji... Wprawdzie wspomniała mu o tem, ale zbył ją śmiechem, mówiąc, że takie zajęcie dobre dla starych, niedołężnych lub tchórzów, ale nie dla niego.

Zaczęły się przed nią przesuwają obrazy bliskiej przyszłości. Zostanie sama w tym dworze dotychczas tak pełnym szczęścia i rozkoszy, sama jedna. Ani przemówić do kogo, ani podzielić się ze smutkiem lub radością i ten wieczny niepokój i trwoga o niego. Czuła, że takiej męczarni życia nie zniesie, że oszaleje...

Pojadę z nim, będę przynajmniej wiedziała gdzie jest, co się z nim dzieje, a gdyby był ranny uratuję go, dopilnuję, wyleczę...

Ale Władysław!? Samego przecież nie może zostawić... Mogłaby go oddać do ciotki, ale to stara panna, choruje na przestrzeganie form i konwenansów, nie lubi jej męża, a z nią jest chłodno. Pobyt tam dla Władysia, gdyby się ciotka nawet zgodziła, zmroziłby chłopca, zwiędłby tam jak kwiatek bez słońca, a Władysław taki wrażliwy, taki kochający i przywiązany, że omal nie rozchorował się, gdy nie było jej przez dwa dni w domu, a był przecież ojciec. Cóżby się z nim stało u ciotki?

Rozmyślając o Władysiu zaniepokoiła się, bo chłopak skarżył się na ból głowy. Wstała, poszła do dziecka, które spało spokojnie, z uśmiechem na ładnej twarzyczce.

Widok Władysia tak ją rozczulił, że zaniechała myśli oddania go do ciotki i była zdumiona, że podobna myśl przyszła jej do głowy.

Spojrzała na zegar ścienny, który wskazy-

wał pół do jedenastej, i zaniepokojona tak długą nieobecnością męża, wyszła na werandę nasłuchując turkotu powozu.

Mąż i Porwa wyjechali po pierwszym śniadaniu do pana Krzyckiego, który mieszkał od Zalesia o trzy mile, obiecując że wrócą przed zachodem, a może wcześniej.

Napróżno jednak Krzysia wyteęzała słuch, prócz szumu drzew i szmeru strumyka, prócz nawoływań nocnych stróży, nic nie posłyszała. Wróciła tedy do pokoju jadalnego, usiłowała czytać, a w tem do uszu jej doleciało parskanie koni.

Zerwała się z krzesła, a polecivszy zaspalnemu lokajowi rozstawienie zimnej przekąski i herbaty, szła witać przybyłych.

— Krzysiu, znów czekałaś, — rzekł z wymówką mąż po przywitaniu.

— Wiesz przecież, że i tak nie mogłabym usnąć, — uśmiechnęła się przyjemnie, — pewno jesteście głodni, siadajcie, zaraz podadzą herbatę.

— Tej chętnie się napiję, — siadł Porwa do stołu, bo wy, tu, na wsi, więcej jecie, aniżeli pić, to też jesteście ociężali.

— Chyba nie mój mąż, — uśmiechnęła się Krzysia.

— Stach jest wyjątkiem, nietylko dla pani, ale dla całej okolicy.

— Tylko bez przesady, — upomniął go gospodarz.

— Ależ nie! Dzisiaj było na obiedzie do trzydziestu osób...

— Stasiu, — przerwała Porwie Krzysia, — czy to dziś nie imieniny pani Krzyckiej?

— Tak jest.

— Przepraszam za przerwę, panie Porwa... słucham.

— Otóż na różne sposoby starałem się wydobyc z nich iskrę, nie to zapału, ale żywszego zajęcia, możliwością wojny, przypuszczalnej klęski Rosyi, uwolnienia Polski... płuca wygadałem do nich.

— No i co?

— No i nic! Dyplomatyczne potakiwania, a częściej przeczenia i zdumiewające przeświadczenia o sile i potędze Rosyi. Byłem tak zniechęcony, zgorzkniały, że chciałem plunąć i wyjechać.

— I byłby pan postąpił niesprawiedliwie, — zarumieniła się Krzysia, — ich dyplomatyczne jak pan nazywa zachowanie, to przymusowa maska. Czy wie pan, że w czasie wojny japońskiej, nie wolno było pod grozą kary za zdradę i ubliżenie wojsku, mówić o klęskach. Rosya wszędzie i zawsze zwyciężała. Cóż dziwnego, że wobec pana, im nieznanego, nie chcieli,

a może i obawiali się wyjawiać swe przekonania.

— Ależ ja przyjechałem ze Stachem.

— Widocznie to im nie wystarczało... i cóż, rozmówiliście się panowie?

— Krzycki obiecał przyjechać do nas za ośm dni, — powiedział mąż.

— A u pana Puszczkowskiego byliście?

— Nie. Zaledwie zdołaliśmy się wymknąć od Krzyckich po kolacyi... Pojedziemy do niego w tych dniach.

— Widocznie sądzono mi być u was dłużej, aniżeli przypuszczałem, — zachmurzył się Porwa.

— Czy panu tak źle u nas? — uśmiechnęła się Krzysia.

— Anielsko! — zaśmiał się, — ale czuję, że wulkan tam wre, kipi, i lada chwila wybuchnie, a ja tu na uwięzi, bo muszę spełnić rozkazy.

— Krzysiu, a posłałaś do Kańskiego?

— Odpowiedział, że jutro będzie u nas na obiedzie.

— No, nie martw się Porwa, nie stracisz czasu, jutro zaczniemy werbunek, a teraz pora spać i wypocząć.

— Zwłaszcza po tej wizycie u mamutów. Czy i Kański z tego gatunku?

— O nie! On młody i wrażliwy, — objaśnił Tożyński.

Nazajutrz gospodarz poszedł z Porwą do stajni, ażeby mu pokazać konie. Stangret wyprowadził ze stajni na dziedziniec, cztery konie cugowe, dobrane, tak co do maści gniadej jabłkowitej, jak wzrostu i chodu. Następnie przyszła kolej na wierzchowce. Jeden z nich złotogniady, anglik w trzech czwartych, zwany Lordem, znany był z chyżości, i na polowaniach żaden koń z okolicy nie mógł się z nim mierzyć. Drugi, Bułat, ze stajni sanguszkowskiej, był reproduktorem, a trzecia, wierzchówka, klacz biała, czysta arabka, Mimi, nadzwyczaj składna, z mądremi oczyma, była ulubienicą obojga Tożyńskich i należała do Krzysi.

Porwy nie interesowały konie, i nudził się, słuchając o ich zaletach, wreszcie rzekł:

— Wiesz, Stachu, to są konie zbytckowne. Na twojem miejscu sprzedałbym wszystkie, bo zmarnieją bez ciebie.

— O, żona ich dopilnuje... Może zresztą uda mi się wziąć ze sobą Lorda lub Mimi, byłyby pyszne do kawalerii.

— W takim razie nie sprzedawaj, bo nam ogromnie brakuje koni kawaleryjskich i pociągowych, a do taborów są bardzo potrzebne.

— Chodźmy na gumno, pokażę ci moje konie folwarczne, u was służyłyby za cugowe, — zaśmiał się ironicznie.

Konie folwarczne były pod dozorem Jakuba Brzozy.

— Hej, Kuba! Pokaż nam swoje konie, rozkazał gospodarz.

Kuba, chłop rosły, silny, blondyn, z twarzą wesołą, z lekkimi śladami ospy, wyprowadzał kolejno czwórki fornalskie i o każdej umiał powiedzieć coś dobrego. Przy ostatniej, ciemnogniadej, dobranej, rzekł:

— Te cztery hamany, nie to wóz naładowany zbożem, ale armatę powiozłyby lekko.

— Służyłeś w wojsku? — spytał Porwa.

— Tak jest, przy dragonach, — wyprostował się po wojskowemu.

— Ten byłby dobry dla nas, — rzekł Porwa po francusku.

— Spróbuję, — odpowiedział Tożyński i zwrócił się do dozorca: — Jestem kontent z ciebie, konie dobrze wyglądają, odprowadź tę czwórkę i przyjdź tu do nas.

Staął wyprostowany, jak do raportu, czekając rozkazu i nie odwracając swych niebieskich oczu z twarzy pana.

— Co usłyszysz teraz, zachowasz przy sobie, ani słowa przed nikim. Rozumiesz?

— Tak jest.

— Jadę za granicę i chciałbym wziąć ciebie ze sobą. Pojedziesz?

— Wedle rozkazu. Dlaczegożby nie?

— Ale zważ, to nie na dzień, nie na tydzień lub miesiąc, ale na dłużej.

— Na dłużej? — zastanowił się chwilę, — ale na jesień będziemy z powrotem?

— Wątpię, a dlaczego na jesień?

— Zmówiliśmy się z dziewczyną, i na jesieni ma być ślub.

— Na jesieni, wątpię czy ślub będzie, bo może zabawimy do wiosny.

— Do wiosny? — patrzył w ziemię, ważył coś w myśli, wreszcie wyprostował się i spytał z pewną nieśmiałością: — a czy mam jechać tak sobie? po próżnicy?

— Nie. To będzie służba, ale co ja będę robił, będziesz i ty. Musisz pracować tak samo, jak i ja, ani mniej ani więcej. Nie będę ci panem ale towarzyszem.

Jakiś czas wpatrywał się w twarz pana, ważył coś, miarkował, wreszcie rzekł:

— Proszę łaski pana, ale ja nic nie rozumiem. Jak biedny człowiek jedzie na kraj świata za zarobkiem, to ma rację, ale pan jest bogacz, ja mam gruntu trochę, to i poco szukać roboty?

— Słuchaj, Kuba... gdyby ktoś twoją matkę sponiewierał, skopał, uwięził; braci pozabijał; siostry zbeszcześcił, czy darowałbyś mu? siedziałbyś cicho w chałupie przy żonie?

Twarz Kuby stała się srogą i zawziętą, oczy zabłysły mu złowrogo i rzekł:

— Takiego psubrata wyszukałbym pod ziemią i darłbym pasy z niego.

— A teraz pomyśl, kto nas gnębi i morduje za wiarę, za język, za szkoły... wiesz, kto?

— Wiem.

— Przyszła chwila obrachunku, pójdiesz?

— To się wie, — uśmiechnął się, — jak rozkaz, to rozkaz. Choćby dziś pojedę z panem... odpłacę im za knuty, któremi pokrwawili ojca.

— Ale pamiętaj Kuba, ani słowa nikomu, poco? naco? gdzie?... Jedziesz ze mną i nie wiesz kiedy wrócisz, a piśniesz słowo, to zgubisz siebie i mnie.

— Czy ja nie wiem? Znam dobrze tych przekletników.

— Ubrania tyle bierz, co na drogę, bieliznę na zmianę, a co ci będzie trzeba dostaniesz na miejscu.

— Słucham pana.

— No, bywaj zdrow, i ani słowa nikomu.

— To już wiem.

Uszli kilka kroków, gdy Kuba podbiegł i rzekł:

— Proszę łaski pana, jeśli trzeba to zmówię chłopców we wsi. Pójdą ochotnie, bo niema we wsi takiego, którego by oni nie skrzywdzili.

— Na razie milcz przed każdym, a co do innych namyśle się i powiem ci później.

— Ty, Stachu, — rzekł Porwa gdy zostali sami, — byłbyś dobrym agitatorem i posiadasz całe me uznanie.

— Wiesz, wśród swoich ludzi łatwo agitować, z obcymi trudniej.

że lud tu taki uświadomiony.

— Ani się spodziewałem, — mówił Porwa, —

— Czy uświadomiony w twojem rozumieniu, nie wiem, ale całe Podlasie, Lubelskie i bardzo znaczna część Siedleckiego, żywołowo nienawidzą Moskali, za ich prześladowania, znęcania się i barbarzyństwa. Lud w tych stronach to palny materiał, rzuć iskrę, a buchnie płomieniem.

— Jaka szkoda, że nie byliśmy dokładnie poinformowani o nastroju tutejszym, — westchnął Porwa, — moglibyśmy byli utworzyć kilka pułków.

— Jeszcze nic utraconego, — upewniał Tożyński, — jeśli zdołamy tu się przedrzeć, cały lud stanie za nami.

— Daleka nam droga, — rzekł Porwa smutnie, — zanim tu dotrzemy, Moskale wyłowią wszystkich i wciela do armii.

— Porwa, iluż nas jest wszystkich?

— Ilu?... Mówią o dwudziestu tysiącach, ale

to przesada, naprawdę sam nie wiem ilu nas jest.

Wyszli z gumna na drogę wjazdową, a Tożyński wskazując na majaczący w oddali wózek, zaprzężony czwórka w lic, zawołał:

— Jedzie Kański!

— Gdzie?

— Widzisz te dwa siwki na przedzie... to on.

— Wprawdzie nie widzę ani wózka, ani siwków... ale ci wierzę.

— Porwa, jakże poradzisz sobie na wojnie, gdyś taki ślepy? — zaśmiał się, — Moskale cię otoczą i wezmą jak barana.

— Więc dowiedz się, obywatelu ze Siedleckiego, i zawiadom swych współwierników, że optyka wynalazła dalekowiedze, sprawniejsze od oczu sokolich. Trochę nauki i inteligencji nie zawadziłoby wam, obywatelom.

— Złośliwy jesteś, — śmiał się gospodarz.

— Czy u was, słowo baran, uchodzi za komplement?

— Powiedziałem tak sobie.

— I ja, tak sobie, — zaśmiał się Porwa.

Kański, widząc idących, zrzucił płótniankę od kurzu i zatrzymawszy konie, zeskoczył z ładnego wózka resorowego, wołając wesoło:

— Dobry dzień, Stachu!

— Witaj Janku! — odkrzyknął gospodarz.

Z uśmiechem na młodej, opalonej twarzy,

podkręciwszy płowe, wąsiki, szedł naprzeciw idących, wtem spostrzegł, że jakiś obcy, ubrany z miejska, towarzyszy Tożyńskiemu, w pierwszej chwili sądził, że to któryś z sąsiadów.

Na widok obcego zmieszał się, onieśmielił, zwolnił kroku i nie wiedząc co zrobić z rękami, obie włożył w kieszenie spodni. Po chwili spostrzegł się, wyjął ręce, ruchem niezgrabnym zdjął kapelusz mówiąc:

— Wezwałeś mnie... to też przyjechałem.

— Bardzo dobrze zrobiłeś, — uściśnął Tożyński rękę przybyłego i przedstawiając ich dodał z lekkim naciskiem do rzeczywistego nazwiska Porwy:

— Przyjechał wprost z Krakowa.

— A... z Krakowa! — ścisnął podaną rękę i nie spuszczał z Porwy swych łagodnych, niebieskich oczu.

— Cóż mnie pan tak ogląda? — zaśmiał się Porwa, — nie jestem dziwolągiem.

— Przepraszam, — zarumienił się, — to mimowoli.

— Nic nie szkodzi, — uśmiechnął się Porwa, i wszyscy trzej szli ku dworowi.

Kański, chcąc pokryć swe zmieszanie, zaczął gorączkowo mówić o swem gospodarstwie, o rozpoczętych żniwach, o drożyźnie robotnika, o próbnym omłocie... Porwa zaś pogwizdując

zlekka, przypatrywał się to tym, to owym roślinom, był bowiem z zawodu botanikiem, aż wreszcie rzekł:

— Czy wiesz pan, panie Kański, że zanosi się na wojnę?

— To możliwe... Byłem wczoraj w Siedl-
cach, mówiono mi, że wkrótce będzie asenteru-
nek koni do wojska w naszej gubernii... nawet
przebąkują coś o mobilizacyi.

— A co Stachu, — zawołał Porwa urado-
wany, — zaczyna się gra.

— Byłem tego pewny, — odpowiedział
Stach, i wiesz Janku... idę na wojnę.

Kański przystanął a po chwili zastanowienia
rzekł:

— Żal mi cię Stachu, wiem, że musisz iść,
ale może się wykupisz lub też wykupisz. U nas
pieniądzmi da się wszystko zrobić.

— Ależ Janku, ja idę bić Moskali!

— Ty!? Moskali?! — stanął zdumiony, a po
chwili rzekł z niechęcią: — nie bierz mnie na
fundusz, to niewłaściwe żarty.

— Wcale nie żarty, daję ci słowo, że idę bić
Moskali.

— Z kim?

— Z wojskiem polskiem.

— Jakiem?

— W Krakowie jest już gotowy pułk strzel-

ców, i ja należę do niego, a Porwa jest wysłanikiem wojska polskiego. Cóż ty na to?

— Dajże mi odetchnąć ze zdumienia, — pochylił swą rosłą, barczystą postać, spuścił oczy i rzekł po chwili, — więc to polskie wojsko jest w Austrii, i ona ma prowadzić wojnę z Rosją.

— Tak jest.

— I sądzisz, że Austria da radę takiemu kolosowi?

— Jeśli mała Japonia zwyciężyła, dlaczego Austria przy naszej pomocy, przy ogólnem powstaniu, nie miałaby zwyciężyć?

— Hm... jest w tem pewna racya... zatem ty chcesz bić Moskali?

— Tak jest.

— A czy wiesz, że jak cię złapią będziesz wisiał?

— Wiem.

— A gdy się dowiedzą, że tam jesteś, skonfiskują i majątek?

— To skonfiskują.

— No, a żona? a syn?

— Mój Janku, wpierw byłem Polakiem, aniżeli mężem i ojcem. I pomyśl, jakie życie prowadzimy w tej upokarzającej niewoli? Czy jest kto z nas pewny dnia i godziny? Przylecą, zakują i powleką na szubienicę lub na Sybir. Trzeba walczyć i ginąć, ażeby nasze dzieci i wnuki były wolne w wolnej Polsce.

— Masz słuszość i jakiś ty dzielny! — zachwycał się szczerze.

— A ty, Janku co myślisz?

— Ja? Pozwól mi się namyśleć, prawdę powiedziawszy, jestem tem wszystkiem oszołomiony i boję się dać się porwać uczuciu, a potem żałować, męczyć się, i nic nie zrobiwszy, ustać w pół drogi.

Przyszedł lokaj prosząc do stołu, a Tożyński rzekł z uśmiechem:

— Będiesz miał Janku dosyć czasu do namysłu, zanim skończy się obiad.

Wszyscy byli młodzi, nic dziwnego tedy, że przy stole rozmawiano o miłości. Porwa był zdania, że miłość przychodzi na człowieka nagle i niespodziewanie.

— Porównałbym miłość, — mówił on, — z rodzajem choroby, dżumy lub cholery...

— Ładne porównanie, — zaśmiała się pani, — miłość a dżuma!?

— Ale prawdziwe, — rzekł Porwa niezmieszany. — Choroby te powstają z bakcyłów, które przy sprzyjających warunkach udzielają się drugim i rozwijają się bardzo gwałtownie. Mojem zdaniem w każdym człowieku jest bakcyl miłości i tylko potrzebuje korzystnego dla siebie zetknięcia lub powinowactwa, ażeby nagle owładnęła daną jednostką choroba zwana pospolicie miłością, która rzadziej kończy się

wyzdrowieniem, lecz najczęściej śmiercią czyli małżeństwem.

— Ależ pan bluźni, — zawołała pani, — miłość dopiero w małżeństwie naprawdę rozwija się w cudowny kwiat.

— Tak jest, — uśmiechnął się, — najlepszy dowód: „Romeo i Julia“, „Dziady“, „Welters Leiden“, „W Szwajcaryi“...

— Ach, to poezye, a co innego życie, — broniła się Krzysia.

— O, pani, miłość bez skrzydeł poezyi, jest tylko robakiem! — zawołał Porwa.

— Czy doznałeś już tej choroby miłosnej? spytał gospodarz.

— Naturalnie... Mówię z doświadczenia.

— I co? — spojrzała na niego zaciekawiona.

— Stało się ze mną to, co czyni zawsze bóg czasu, on zjada swoje dzieci, a u mnie większa miłość pożarła mniejszą.

Oboje Tożyńscy zrozumieli jego słowa, Kański jednak nie zorientował się i rzekł z uśmiechem:

— Pokochał pan tedy inną.

— Tak jest... i wznoszę zdrowie tej najpiękniejszej, najdroższej umiłowanej nad życie kochanki... Polski!

Wypito duszkiem, a gdy minęło pierwsze wrażenie, rzekł Kański do Porwy, prawie pokornie:

— Daruj mi pan... nie zrozumiałem słów pana.

To odezwanie się rozbroiło Porwę i powiedział przyjaźnie:

— Głupstwo... to się zdarza każdemu... widocznie niejasno się wyraziłem... No, a jakie zdanie pana w kwestyi miłości?

— Miłość dla mnie, — mówił twardo i stanowczo, jak gdyby kogoś przekonywał, — rodzi się i polega na pragnieniu uszczęśliwienia kochanej osoby. Jeśli chcę to urzeczywistnić, muszę uwzględnić warunki i obmyśleć sposoby, i dlatego tej nagłej miłości nie rozumiem i nie uznaję.

— Zgadzam się z panem, — pospieszyła Krzysia, — bo i dla mnie miłość jest wyrzeczeniem się swego ja na korzyść ukochanej osoby.

— Moi państwo, — zaśmiał się Porwa, nie powiedzieliście nic nowego, bo każda miłość pragnie uszczęśliwienia wzajemnego, w jeden jedyny wypróbowany sposób...

— Tak jest! Masz rację! — zawołał wesoło gospodarz.

— Każdy kochanek jest przekonany, że kochankę on jeden potrafi uszczęśliwić, i tego samego zdania jest także kochanka wobec kochanego, a wszystko to dzieje się z rozkazu natury, która ma na celu jedynie utrzymanie gatunku.

— Pan jesteś materyalista, — rzekł zgorzszony Kański.

— Nie, panie, jestem właśnie idealistą, — uśmiechnął się Porwa, — bo widząc sidła natury i znając jej nieczne cele, stawiam im opór...

— Idealny! — zaśmiała się Krzysia, — wszyscy wy jednacy.

— A kobiety? — spytał Porwa.

— My jesteśmy inne, wy nas nie znacie, ale co głuchemu mówić o muzyce...

— Dusz zjednoczonych, — dokończył Porwa z powagą, co wywołało śmiech panów.

Wtem wszedł lokaj meldując:

— Przyjechał naczelnik straży ziemskiej z dwoma oficerami.

— Proś ich do kancelaryi.

— Stasiu!... Możeby do salonu, — pospieszyła żona, — zawsze to naczelnik.

— W salonie naprawiają posadzkę... zaprowadź do kancelaryi, — a po wyjściu lokaja dodał: — wkrótce batem przepędzę takich gości.

— Stasiu! Ciszej!... Czy pan Porwa wyjdzie do nich?

— Naturalnie. Gdyby nie wyszedł, ściągnąłby na siebie podejrzenie... a kto wie, czy nie przyjechał tylko dla Porwy?

Wstał z krzesła na wychodnem dodał:

— Krzysiu, każ przygotować tutaj wódkę,

przekąski i herbatę... może trzeba będzie ich ugłaskać.

— Miłe stosunki, niema co? — uśmiechnął się Porwa.

— Niech tylko pan będzie ostrożny, — prosiła Krzysia, — i mów pan z nimi tylko o kobietach, kartach, koniach.

— Kiedy, proszę pani, o kobietach nie lubię mówić, w karty nie gram, a na koniach się nie znam, — odpowiedział z powagą Porwa.

— Niech pan nie żartuje, — upomniała Krzysia, — u nas tak łatwo ściągnąć na siebie podejrzenie rządu.

— Co mogą mi zrobić, jeśli nie mają dowodu, że popełniłem coś przeciwnego ich prawom, — rzekł Porwa, — i zdaje mi się, że z was przemawia lękliwość, nic więcej.

— A wie pan, co to jest administracyjny porządek? — spytał Kański.

— Nie.

— Administracyjny porządek zależy tylko od osobistego poglądu urzędnika na daną rzecz lub osobę. Wystarczy, ażeby wyższej swej władzy doniósł, iż taki a taki zagraża porządkowi, i bez sądu wysyła się na Sybir lub w oddalone gubernie. Takim wszechwładnym urzędnikiem jest naczelnik straży ziemskiej i radzę ostrożność.

— Tak, panie Porwa, jest u nas, — westchnęła Krzysia.

W takim razie wolę ich nie widzieć, — zdecydował Porwa.

— Nie można, bo napewno wie przez strażników o panu, a kto ukrywa się, ten podejrzany wyjaśniła Krzysia.

Wszedł lokaj i zameldował:

— Pan dziedzic prosi obydwóch panów.

— Gdzie pan? — spytała Krzysia.

— Poszedł z nimi do stajni dworskiej.

Porwa szedł z Kańskim, a gdy dostrzegli gospodarza w otoczeniu przybyłych, Kański objaśniał:

— Ten nizki, z wąsami opuszczonemi na usta, to naczelnik straży.

— Widzę... twarz ma dobroduszną.

— O tak, — szeptał Kański, — on bardzo dobrze udaje dobrodusznego i przyjacielskiego ale jest chytry i podobno kat dla więźniów.

— Dobrze wiedzieć, — uśmiechnął się Porwa, powiesimy go przy sposobności. A tamci, co za jedni.

— Nie znam ich... z mundurów sądząc, jeden, ten barczysty, z krótkimi, przyciętymi wąsami, to rotmistrz dragonów... a ten drugi, to oficer kozacki... O, wyprowadzają konie, pewno przyjechali za kupnem.

Zbliżył się, gospodarz przedstawiał, wymieniając nazwiska: Marszuk, naczelnik straży ziemskiej, Sacharowicz, rotmistrz i Żomkowicz, oficer kozaków liniowych.

— Nu, my znakomi, — rzekł naczelnik z przyjaznym uśmiechem podając rękę Kańskiemu, — a wy u nas projezdom, — podał rękę Porwie, który ją lekko uścisnął, — kakże wam nrawiło sia u nas?

— Nie umiem po rosyjsku.

— Nu, żałko... ale to nie szkodzi, — mówił wcale dobrze po polsku, — tak pan przyjechał do przyjaciela, co?

— Jak pan widzi.

— A wolno spytać skąd? bo zdaje mi się, że widzieliśmy się w Warszawie.

— Nie przypominam sobie.

W tej chwili rotmistrz Sacharowicz zawołał na naczelnika skarżąc się, że gospodarz nie chce sprzedać Lorda.

— Stanisławie Władysławowiczu, — zwrócił się naczelnik po rosyjsku do Tożyńskiego, — radzę wam po starej przyjaźni naszej sprzedajcie konia, kiedy kupiec się trafia. Powiem wam pod sekretem, że jest już rozpisany pobór koni w naszej gubernii, i napewno wezmą wasze konie za małe pieniądze. Ja też dlatego do was przywiozłem moich przyjaciół, bo żal

mnie was... Mało zapłaci rząd i konie się zmar-
nują.

— To zależy od ceny, — odpowiedział właściciel.

Rotmistrz dowiedziawszy się, że koń ostrzelany, wydobył rewolwer i strzelił tuż przy koniu, który nie drgnął, a gdy ujrzał jego chody pod chłopcem stajennym, zapalił się i do ofiarowanej ceny tysiąca rubli dodał dwieście.

— Od dwóch tysięcy, nie oddam, — rzekł Tożyński.

Po dość długich targach postąpił rotmistrz do tysiąca ośmset, ale właściciel uparł się i nie godził się na tę cenę. Naczelnik powstrzymywał rotmistrza, ten jednak rzekł szorstko do niego:

— Pawle Mikołajewiczu, nie znacie się na tem, to koń wojenny, i chyba wy panie gospodarzu, wiecie już, że wojna się zbliża, kiedy się tak drożycie.

— Żałuję, że nie wiedziałem, — zaśmiał się Tożyński, — byłbym zażądał więcej, a z drugiej strony żał mi wyzbywać się konia tego, chociaż na wojnie różnie bywa i koń od wroga przechodzi do prawego właściciela.

— Stanisławie Władysławowiczu, — spytał dobroduszenie naczelnik, — co wy rozumiecie pod waszemi słowami?

— Rzecz zwykłą... zwycięzca bierze konia od zwyciężonego.

— Nu, jak on mój, — zaśmiał się rotmistrz Sacharowicz, — to sam czort nie odbierze mi go, a cóż dopiero Austrijcy!?

— Więc to wojna z Austryą? — spytał Porwa z miną niewinną.

— Tak mówią, — odpowiedział rotmistrz wstrzemięźliwie.

— Nu, i pokazało się, że pan rozumie po rosyjsku, — tryumfował dobrodusznie naczelnik, — ot żartowniś z pana, tak teraz mówmy już po rusku. Co?

— Piąte przez dziesiąte, jako język słowiański rozumiem, ale mówić nie umiem.

— To pan chyba zagraniczny.

— Nie, Polak jestem i jestem w Polsce.

— Aha, rozumiem teraz, — obrzucił go badawczem spojrzeniem i przystąpił do targujących się o konia.

Ostatecznie rotmistrz dał żadaną cenę, i zaczął popierać oficera kozaków, Żomkowicza, który upierał się przy kupnie Mimi.

— Nie sprzedam i koniec rzekł twardo właściciel.

— W takim razie rząd ją weźmie, — nachmurzył się kozak.

— Nie weźmie, — oświadczył Tożyński, —

bo to czystej krwi Arabka, a rasowe konie nie podpadają poborowi, jak panu wiadomo.

— Ona mi się tak podobała, — zawołał podrażnionym głosem kozak, — że nabędę ją wbrew woli pana. Nie opierajcie się, bo to wojna, a na wojnie my rozkazujemy, i zechcę, to konia zabiorę.

— Taki koń przynosi nieszczęście na wojnie.

— No, nie mnie, — wyprostował się kozak Żomkowicz dumnie, — nam kozakom, nic się nie osto!

— Zobaczymy... ale Mimi nie dam.

Nasrożył się kozak, ale wmieszał się naczelnik, na stronie coś szepnął kozakowi, a ten zwrócił się uprzejmie do Tożyńskiego i rzekł:

— Ta klacz tak mi się podobała, że aż się trochę uniosłem, ale dla kawalerzysty koń jest wszystkim. Niechże pan to zrozumie, i radzę panu, sprzedaj mi ją pan, ja pieniędzy nie pożałuję.

Zrozumiał Tożyński grę, był niemal pewny, że naczelnik obiecał kozakowi nabycie Mimi przy poborze, ale oburzał go ten nacisk moskiewski i powiedział twardo:

— Nie sprzedam, a na przemoc znajdzie się... sposób... A teraz proszę panów na mohorycz.

Szli zgodnie do dworu, kozak jednak był

rozgoryczony, a idąc obok Porwy skarżył się:

— Ot, żal! Tyle mil tłukł się człowiek i wraca z pustemi rękami.

— Tak to bywa, — uśmiechnął się Porwa, — nie zawsze wraca się z pełnemi rękami i kieszeniami.

Kozak niebardzo rozumiał po polsku, ale naczelnik spojrzał bystro na Porwę i rzekł żartobliwie:

— Oj cienkie wasze słowo i kłujące, ale my to rozumiemy.

Kański, którego bardzo zaniepokoiło zachowanie się Porwy wobec naczelnika, korzystał ze sposobności i szepnął:

— Ostrożnie, panie, żarty pana mogą źle się skończyć.

— Dziękuję za przestrożę, ale już ją słyszałem kilkakrotnie.

— On każe aresztować pana.

— Głupstwo, czy z aresztu nie wychodzą ludzie? — zaśmiał się.

Weszli do pokoju jadalnego, lokaj ponalewał wódkę w kieliszki, ale po wypiciu jej, trzech Moskale skrzywili się, a naczelnik rzekł:

— To, Stanisławie Władysławowiczu polska wódka, ona wam smakuje, ale nam dajcie ruskiego stołowego wina, jeśli chcecie nas ugościć.

— Walenty, podaj czterdziestostopniową

wódkę, — polecił gospodarz, a gdy lokaj postawił na stole flaszkę z etykietą zawołał naczelnik wesoło:

— Ot, nasze ruskie wino i dajcie kiszzonego ogórka na przekąskę, to więcej nam nie trzeba.

W czasie rozmowy zwrócił się naczelnik do Porwy z nieoczekiwanem pytaniem:

— A wy w Krakowie polskie wojsko formujecie na nas, co?

— Może, ale ja o tem nie wiem, siedzę w laboratorium i pracuję.

— Nu, tak pan uczony, a czem się pan zajmuje?

— Botaniką.

— Aha, to kwiatkami niby... to ładnie, bardzo ładnie... i nie dość kwiatków jest w Zalesiu, kiedy pan ich szukał u Krzyckiego, — śmiał się dobrodusznie.

— Mój przyjaciel, odezwał się gospodarz, — towarzyszył mi na imieniny Krzyckiej.

— Ja to wiem... ale to wasze wojsko, panie uczony, skończy się zsyłką i konfiskatą... ot, żal młodych ludzi, żal pięknego kraju, westchnął ze współczuciem.

Porwa lekko przybladł, ale zmusił się do uśmiechu i odpowiedział tonem żartu:

— Nie wszystkie proroctwa się spełniają... nawet Joana Kronsztadzkiego, chociaż to podobno świątobliwy człowiek.

— Nu, z was dierskij maładiec! — zaśmiał się głośno rotmistrz, — a wasz atwiet istinno aficerskij!

Tożyński chcąc przerwać tę rozmowę, zachęcał do picia i opowiedział naczelnikowi, że u Krzyckich trzy razy z rzędu wzięła bank dama.

Naczelnik namiętny gracz, opowiedział podobny przypadek i zawołał do oficerów:

— Panowie, a gdyby tak banczek?

Obydwaj zgodzili się bardzo chętnie, ale gospodarz oświadczył, że niema kart w domu. Naczelnik, którym owładnęła namiętność gry, zaproponował wspólną przejażdżkę do pana Szubarowskiego, mieszkającego o dwie mile, gdzie napewno są karty, a goście będą mile widziani. Oficerowie zgodzili się chętnie. Tożyński wymówił się obecnością gościa z Krakowa, który nie rozróżnia waleta od króla.

Wypito jeszcze strzemiennego i Moskale odjechali.

Wyszła Krzysia ze swych pokojów, pochwaliła sprzedaż Lorda i zatrzymanie Mimi.

— Jakże panu podobali się ci goście? — zwróciła się do Porwy.

— Można udusić się w tych stosunkach, — odpowiedział chmurny, — i sto lat takich rządów musiało zdeprawować naród.

— Wcale nie! — mówił trochę za gorąco

Tożyński, — nauczyliśmy się cierpliwości i przebiegłości, ale tem twardziej stoimy przy swoim.

— Tacy jak ty, ale słabsze charaktery ulegają tej dżumie moskiewskiej, i sędzę, że większość jest zgangrenowana.

— Zdarza się i to, ale bardzo rzadko, jednak i do tych można zastosować słowa: „grattez un Polonais, vous trouverez toujours un patriote“.

— To optymizm, — powiedział lekceważąco Porwa, — nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy.

— Kto kocha kraj, ten jest zawsze optymistą i nigdy nie złorzeczy swemu narodowi. Wam, z Galicyi, zdaje się, że od was dopiero zaczyna się patryotyzm i przychodzicie dawać nam lekcye, a my od stu lat trzymamy w górę sztandar narodowy i nigdy nie zabrakło u nas chorążych, chociaż wszyscy ginęli na szubienicy, w Nerczyńsku, lub gnili w tajgach sybirskich.

— To było, ale nie jest... może byliście dzielni, ale my dopiero natchnęliśmy proletaryat żądzą wolności.

— Ach, Porwa! Porwa! — zawołał tonem litości gospodarz, — czy sądzisz, że zrobilibyście coś z tłumem, gdyby nie rok trzydziesty pierwszy i sześćdziesiąty trzeci? A policz,

ilu jest w strzelcach Królewiaków a ilu Gali-
cjan?

Dla Kańskiego ten spór był przykry, oba-
wiał się, że przyjdzie do kłótni, więc stanął po-
między nimi uspokajając:

— Dajcie pokój... proszę was... i jedni są
dobrzy i drudzy.

To wdanie się Kańskiego rozśmieszyło
Krzysię i zawołała wesoło:

— Dajże pan pokój... to przecież takie szla-
chetne i miłe współzawodnictwo dwóch ko-
chanków, kto z nich lepiej, goręcej i ofiarniej
kocha.

— To prawda, — rzekł Tożyński z dobrym
uśmiechem, — poco ja się unoszę, gdy w jed-
nym szeregu będziemy walczyli za tę samą
sprawę.

— Masz słuszność, — uśmiechnął się Por-
wa przyjaźnie, — no, a pan panie Kański, na-
myśliłeś się?

Zapytany zmieszał się, usiadł na krześle
i odpowiedział niepewnym głosem:

— Tak jest... a właściwie niezupełnie...
w każdym razie bardzo wątpię... prawie pewny
jestem, — umilkł zmęczony.

— Śmiało, panie Kański, — zażartował Por-
wa, — nie jestem naczelnikiem straży ziem-
skiej.

Kański spojrzał złemi oczyma i jak na niego niezwykle ostro odpowiedział:

— Niewłaściwy żart, tu idzie nie o moje życie, ale o przyszłość rodziny, za którą jestem odpowiedzialny.

— No, Janku, bez gniewu, mów szczerze, jak do przyjaciół, — zachęcał Tożyński.

— Hm... widzicie... na majątku jest dożywocie mamy i posag dwóch siostr. Grunta dobre, lasu spory kawałek, ale są długi i te muszę spłacić, bo nie puszczę mamy i siostr na żebry... Sam jestem ekonomem, pisarzem, gumienym, dozorcą, ale z tem się nie liczę, bo za pieniądze, które ja kosztuję, możnaby nająć kogoś... Ale mama chorowita, młodsza siostra dziecko prawie, a starsza idzie za mąż i w jesieni ślub.

— Czy za pana Rzepowicza? — spytała Krzysia.

— Tak jest... Mama uciulała trochę ze swego gospodarstwa na wyprawę, ale trzeba dodać... i jeśli ja pójdę z domu, wszystko zmarnieje, a długi zjedzą majątek.

Słowa jego wzruszyły Tożyńskich, bo jako sąsiedzi znali jego stosunki, ale Porwa słuchał obojętnie i rzekł suchym odmierzoną głosem:

— Panie Kański, przypuśćmy, że pan dzisiaj umiera, czy sądzi pan, że zarazem skoń-

czy się życie, byt i przyszłość rodziny pańskiej? Że majątek przypadnie?... Nikt nie jest nieodzowny na świecie, zawsze ktoś wypełni szczerbę, bo nie było nas, był las, nie będzie nas będzie las.

— Pan ma zupełną słuszość, — odpowiedział z powagą, — tylko zachodzi ta różnica, że gdy umieram, porzucam obowiązki nie z mej winy, a następnie, jako trup nic nie widzę, nie słyszę, nie czuję.

— No, tak, mój Janku, — odezwał się gospodarz, — może i masz słuszość, ale niezmiernie mi żal, że nie jedziesz z nami na tę ucztę.

— Nie utrudniaj mi Stachu położenia, gdybyś wiedział, jak mi przykro.

Wtem na werandzie pokazał się Władyś, a Porwa zawołał czule:

— Władyś, chodź do mnie! Mój Władysiu!

— A czego?

— Opowiem ci o wojnie.

Chłopczyzna wbiegł i stanawszy przy Porwie rzekł:

— Opowiadaj!

— Władyś siadł na Mimi...

— Nie, ja wolę Bułata, on wielki.

— Władyś siadł na Bułata, a tu Moskal nadbiega i bije Władysia, i co ty zrobiłeś?

— Zabiłem Moskala w samą głowę.

— To ślicznie Władysiu... bo inny chłopczyk płacze, jęczy, narzeka, że go Moskał bije, ale siedzi cichutko za piecem.

— On brzydki, — zdecydował Władys, a posłyszawszy głosy dzieci w ogrodzie wybiegł.

— Panie Porwa, jeśli pan chce mi łaskę zrobić, — mówił pobladły Kański, przyjedź pan jutro ze Stachem do mnie, i może pani raczy z Władysiem... Nie zwykłem decydować się na poczekaniu, bez namysłu... zresztą, proszę was bardzo o te odwiedziny.

— Bardzo chętnie będę u pana, — odparł uprzejmie Porwa.

— Jeszcze jedna sprawa Janku, przemówił gospodarz.

— Słucham. Co takiego?

— Jeśli masz pewnych i zaufanych młodych parobczaków, którzyby z nami poszli, zwerbuj ich. Instrukcyę co do podróży, przejścia przez granicę, również mundur i broń dostaną później.

— Dobrze, postaram się, — pożegnał się i odjechał.

— Porwa, byłeś nielitościwy dla niego, — zauważył gospodarz.

— Głupstwo! Albo kocha się kraj i wolność, albo nie, nic pośredniego dla mnie nie istnieje.

— Ale wiesz, Porwa, ten naczelnik mnie niepokoi, coś zanadto interesował się tobą.

— Głupstwo! Pasport mam w porządku.

— Jeśli masz jakie podejrzane listy, papiery, odezwy, gazety, proszę cię, spal.

— A tak... mam trochę szpargałów, ale są mi potrzebne.

— Oddaj mi pan, — przemówiła Krzysia, — schowam, a na odjeźdźnym zwrócę panu. Zrób pan to dla mego spokoju.

— Dobrze... jutro wręczę pani.

— Nie! dzisiaj... Stasiu, idź z panem Porwą i przynieś mi papiery, tylko wszystkie a wszystkie.

— Przyzwyczaiłeś Stachu panią do despotycznych rządów, — uśmiechnął się Porwa, — i ja muszę ulegać.

— I dobrze robisz. U nas rewizye są na porządku dziennym, i nim zasnę, zawsze robię rachunek sumienia, czy nie zostawiłem gdzie na wierzchu dowodu nieprawomyślności.

— U was jednak duszno i straszno jak za inkwizycji.

— Minie i to, — zaśmiał się Tożyński, — już świta dzień wolności.

III.

Na ganku starego dworu w Paprotni, który pamiętał dawne, dobre czasy świetności, jak widać było po murowanej bramie wjazdowej z tarczą herbową, po wielkim gazonie, którego dziś tylko częśćka przed samym dworem była obsadzona kwiatami, a reszta została obrócona na ogród warzywny, stał Kański, gotując się na powitanie wjeżdżających w bramę Tożyńskich.

Krzysia z Władysiem i Porwą siedzieli w powozie, zaś towarzyszył im konno, na Mimi, Tożyński.

— Jakaż pani dobra, że przyjechała z Władysiem, — całował jej rękę Kański, pomagając wysiąść z powozu.

Z obszernego przedpokoju przez drzwi na rozcież otwarte wyszła pani Kańska, szczupła, lekko pochylona, z włosami siwymi niewiasta, ubrana w czarną, skromną suknię. Z uśmiechem czulej przyjaźni na łagodnej twarzy, z oczyma młodem, w których koncentrowało się życie i energia tej kobiety, witała się

z Krzysią, uradowana szczerze jej przybyciem:

— Tak dawno nie byłeś u nas Krzysiu, i czy godzi się nas tak zaniedbywać? — mówiła całując ją w czoło.

— Stach wyjeżdżał... potem goście, — uniewinniała się Krzysia, witając się serdecznie z panną Jadwigą Kańską, wysoką, kształtnie zbudowaną blondynką z bujnemi, pysznemi włosami.

Marysienka, młodsza, podłotek lat czternastu, zajęła się Władysiem, opowiadając mu, że klacz Bianka ma ślicznego źrebaka, a tak łaśkawego, że chodzi za nią po ogrodzie i w pole.

— Pokaż mi go! pokaż! — prosił Władysław usilnie, i zaraz oboje pobiegli do stajni.

Starsi weszli do salonu obszernego, chłodnego z meblami staromodnemi, mahoniowemi, z rozłożystą kanapą, z fotelami jak dla olbrzymów. Na ścianach, w ramach z różanego drzewa wisiały ryciny, przedstawiające całą epopeję Napoleona I. W powietrzu unosiła się delikatna woń róży, którą niegdyś cały salon musiał być przesycony.

Tożyński i Kański rozmawiali o gospodarstwie przy otwartem oknie. Porwa siedząc przy paniach patrzył ciekawie na stare dzieje Napoleona i na szafkę oszkloną mieszczącą różne pamiątki rodzinne.

— Proszę pana, — zwróciła się do Porwy pani domu z miłym uśmiechem, — syn mój powróciwszy z Zalesia mówił nam o blizkiej wojnie, czy możliwem jest, ażeby wybuchnęła w tym roku? Jak pan sądzi, bo przecież przyjechał pan świeżo z zagranicy?

— Sądząc z przygotowań Austrii i Rosyi, wojna jest bliska... może za miesiąc... może za tydzień...

— Ach, mój Boże, więc to prawda... gdyby też Bóg dał, ażeby Moskale przegrali, będę się modliła codziennie o to.

— Zapewne, że modlitwa nie zawadzi, — uśmiechnął się Porwa, — ale gdybyśmy wszyscy stanęli pod bronią, zwyciężylibyśmy Moskali napewno.

— Czy pan myśli o Austrii? — spytała z lekkim rozczarowaniem.

— Nie, pani. O Polsce, bo przecież nie jestem Austryakiem.

— A tak... Janek wspomniał coś mimochodem, że w Galicyi tworzą się polskie oddziały ochotnicze... i to prawda?

— To nie są wcale oddziały ochotnicze, — rzekł Porwa, — ale wojsko polskie wyćwiczone i regularne.

— Wojsko?... Wojsko polskie?... Janku, dlaczego nie powiedziałeś nam o tem? — spytała z wyrzutem.

— Wróciłem późno, mama była zmęczona, więc tylko wspomniałem, a dzisiaj nie było sposobności, — usprawiedliwiał się spokojnie.

— Mój Janku, poco było czekać na sposobność, gdy ta rzecz tak ważna, tak wielka i niespodziewana.

— Bardzo przepraszam mamę.

Ale ona już nie uważała na niego, tylko przysunęła swój fotel bliżej Porwy, z lekkimi rumieńcami na bladej twarzy, z błyszczącymi oczyma mówiła:

— Więc wojsko... i nasze, kto formuje? kto dowodzi? ile tego wojska? I naturalnie na Moskala idziecie? — rzucała raz po raz pytania, wpatrzona w Porwę.

— Formuje i dowodzi Piłsudski.

— Piłsudski... któż on?

— Polak i gorący patryota.

— To już dobrze... i na Moskali?

— Naturalnie, tych psubratów musimy najpierw wyciąć, wyrznać, wygnać.

— Otóż to! Otóż to! — rozjaśniła się jej twarz, — oni są najgorsi... i pan należy do wojska?

— Czyż może być inaczej? — uśmiechnął się, — i Stach należy i tysiące młodych.

— Tak być powinno, — wyprostowała się i z pewną niecierpliwością spytała głośno: — no, a ty, Janku?

Zbliżył się do matki, usiadł obok i mówił łagodnie:

— Moja mamó, nietylko ten pomaga do wywalczenia wolności, który idzie z bronią, ale żołnierzy trzeba nakarmić, przyodziać... i jakże mogę zostawić mamę samą... Jadzię przed ślubem i weselem, i rzucić całe gospodarstwo, zostawić długi i zobowiązania... Jeśli nie ureguluję tych spraw, czeka nas nędza... i nie o mnie idzie, ale o was.

Słuchała go niecierpliwie patrząc mu w twarz badawczo i surowo, a gdy skończył, powiedziała twardo i sucho:

— Twoja miłość i troskliwość o nas, powinny mnie rozczulić... i po kramarsku biorąc, masz zupełną słuszość... zresztą pomówimy później, — i zwracając się do Porwy: — a broń i mundury macie?

— Mieliliśmy, ale zgłasza się tylu, że nam zabrakło, a w kasie wojennej mało gotówki.

— Moja mamó, — zarumieniła się Jadwiga, — niech mama odda te wyprawne do kasy.

— Do kasy? — zawahała się, — a pan Rzepowicz? a ślub?

— On przecież pójdzie... i ślub po wojnie. A gdyby nie poszedł, i ślub niepotrzebny.

— Dobrze, Jadziu, oddam, tyś moja córka.

Janek patrzył z żalem na matkę i rzekł spokojnie:

— Mama robi mi milcząco zarzut niesłuszny i nie chce zrozumieć mego położenia. Ja prowadzę gospodarstwo, interesa i ostatecznie ja odpowiadam za przyszłość mamy i sióstr. Czyż wolno mi się usunąć, gdy widzę, powtarzam raz jeszcze, waszą nędzę?

Matka podniosła na niego spuszczone dotychczas oczy i mówiła z powstrzymywaną dotychczas drażliwością:

— Nie rozumiemy się Janku istotnie, dla mnie największą nędzą jest życie w takiej niewoli, a nędza w Polsce wolnej jest szczęściem i bogactwem.

— Ależ mamu, — zawołał Janek — ja tylko dla mamy zmusiłem się do pozostania, i jeśli mama mnie zwalnia sama, jestem najszczęśliwszy z ludzi, — ucałował jej rękę.

— Dobrze, mój Janku... idź!... ale mi przykro, że ty pewne sprawy przeceniasz, a innych nie doceniasz. I jak mogłeś, prywatne, osobiste stosunki stawiać wyżej, aniżeli publiczne?

— Byłem głupi mamu, ale to minęło... Porwa! Ja idę! — ucałował ręce matki, i rozjaśniony poszedł do uśmiechniętego Tożyńskiego mówiąc:

— Stachu, ja z tobą! — ucałował go głośno dwa razy, chodźmy obejrzeć broń.

— Janku, co tobie? — upomniała matka.

— Taki jestem szczęśliwy mamó... tylko co wy zrobicie tu bezemnie?

— No, dziura w niebie się nie robi, — uśmiechnął się Porwa, — a pani pozwoli, — ucałował rękę pani domu, — że wyrażę nie tylko mój szacunek ale i cześć dla pani.

— Tylko bez pochwał, — uśmiechnęła się smutnie, — bo taki obowiązek należy spełniać radośnie, a mnie już się oczy łzawia, — a widząc rozczulenie Krzysi, uśmiechnęła się z dobrocią mówiąc: — przepraszam cię Krzysiu za tę scenę liryczną... może zechcesz obaczyć nowy gwoździak, który sama wyhodowałam.

Wszyscy przeszli do ogrodu, rozmawiano o kwiatach, żniwach, cenach za zboże, lecz wkrótce rozmowa przeszła na wojnę i możliwe następstwa.

Gdy zasiedli do herbaty zbliżył się do Janka chłopak usługujący mówiąc, że strażnik przyszedł do dworu.

— Daj mu jeść i pić, niech czeka.

Przybycie strażnika zaniepokoiło panią Kańską:

— Janku, czego on chce?

— Nie wiem, mamó... pewno śledzi kogoś lub szpieguje.

— Ci strażnicy wszędzie się kręcą, — mówiła Krzysia, — w naszym kościele byli z rządu przez dwie niedziele na kazaniu księdza Radka.

— I nie dostał wezwania? — spytała Jazdia, a na przeczący ruch Krzysi dodała: — nasz ksiądz musiał już dwukrotnie jeździć do naczelnika powiatu z usprawiedliwieniem.

— Kosztowało go z pewnością słono, — uśmiechnął się Tożyński, — ale on ma z czego, bo parafia rozległa.

— Wstydź się Stasiu, — powiedziała Krzysia, — jak można nie mieć współczucia.

— W takim razie musiałbym cały być tylko współczuciem, — zaśmiał się, — bo naczelnikowi zawsze brak pieniędzy.

— Janku, a możebyś spytał strażnika, czego chce i wyprawił go. Poco ma rozpytywać służbę i bałamucić ją?

— Dobrze, mamu.

Po pewnym czasie wrócił i opowiadał:

— Zastałem go w czeladnej, na czulej rozmowie z twoim stangretem, Stachu, dopytywał się z kim przyjechał i kto do was przyjeżdża.

— A czego chce od nas? — spytała matka.

— Niby to spytać, czy nie zgłaszał się na służbę, jakiś obieżyświat z Rosyi. Dałem mu rubla i poszedł.

— Zdaje mi się, że ta wizyta strażnika, — powiedziała Krzysia, — ma związek z naszym gościem z Krakowa.

— To możliwe, — przyznali jednocześnie

Kański i Tożyński, a Kański dodał: — pan był zbył otwarty.

— Traktowałeś go jako człowieka, — uśmiechnął się Tożyński, a to zwykły donoszczyk.

Po chwili Tożyńscy poczęli się żegnać z gospodarzami.

— Zostańcie na kolację, — prosiła pani domu, — nie miałam czasu nacieszyć się tobą, Krzysiu, i Władysiem.

— Nie możemy, — odpowiedział Tożyński, muszę obejrzeć robotę i wypłacić żniwiarzom.

— Dużo masz? — spytał Kański.

— Pięćdziesięciu dwóch... żniwiarke i kosiarkę.

— Cóż za gwałt? — uśmiechnęła się pani Kańska.

— Wojna, muszę się spieszyć.

— To racya... Janku i nam trzeba.

— Dobrze, mam, dziś pojedę zamówić żniwiarzy.

IV.

Po wyjeździe Tożyńskich kazał osiodłać konia i ruszył do poblizkiego miasteczka, ażeby u mechanika zamówić parową młockarnię na oznaczony czas młocki, i wziąć od kupca na rachunek pszenicy kilkaset rubli na wypłatę robotnikom.

Młockarnię wynajął łatwo, gdyż prócz Tożyńskiego, żaden z sąsiadów jeszcze się nie zgłosił. Natomiast kupca, z którym miewał stosunki pieniężne, nie zastał w domu, a żona kupca oświadczyła, że niewiedomo kiedy wróci, bo w sprawie dostawy dla wojska pojechał do miasta gubernialnego, a może będzie musiał być i w Warszawie.

Zawód ten nie zmartwił tak dalece Kańskiego, liczył bowiem, że pożyczy pieniądze u sąsiada Pawła Berdysza, który wygodził mu już w potrzebie kilka razy na krótki termin.

Ten Paweł Berdysz, chłop z dawien dawna tu osiadły, należał do bogatszych i zasobniejszych gospodarzy. Gruntu miał prawie włókę i stać go było na inny dom i miejskie życie, ale on twardo stał przy starym obyczaju i tyle

tylko uprosiła żona, że w świetlicy stał piec kaflowy, a zamiast stołków były krzesła.

Miał pięcioro dzieci, trzech synów i dwie córki. Z tych najstarszy Błażej, był taki zawołany majster, że zbudował sobie młyn i siedział w nim z żoną. Drugi, Michał, odsługiwał trzeci rok w wojsku, a trzeci, Jędrrek, chłopak lat ośmnastu siedział w chałupie i pomagał ojcu. Z córek, Marysia była już po słowie, a najmłodsza Hanisia, ulubienica ojca i matki, śmigała i zgrabna, z bujnemi blond włosami, z ładnemi piwnemi oczami, liczyła rok siedemnasty. Zawsze wesół, gotowa do żartów i śpiewu, umiała rozruszać nawet ojca, statecznego gospodarza, który rzadko kiedy nie usłuchał jej prośby.

Kański, nie chcąc zwracać uwagi na swe odwiedziny, kazał spotkanemu parobkowi odprowadzić konia do dworu, a sam pieszo podążył do sadyby Berdysza.

Właśnie wrócili z pola, po żniwnym dniu, a gospodyni postawiła przed mężem, Marysią, Jędrkiem i Hanisią, miskę ziemniaków okraszonych słoniną i drugą ze zsiadłem mlekiem, gdy wszedł Kański.

Spostrzegł, że przyszedł nie w porę, ale nie mógł się cofnąć, i po przywitaniu, gdy zobaczył, że gospodarz i dzieci przestali jeść, odezwał się z dobrym uśmiechem do gospodyni:

— Matko, wracam z miasta, strząśłem się na koniu, zgłodniałem, a wasze ziemniaki, tak smakowicie wyglądają, że pozwólcie mi skosztować.

— Bóg zapłać, paniczu, że nie pogardzacie naszym jedzeniem, — powiedziała zadowolona, — i stawiając farfuruowy talerz z łyżką cynową, zachęcała: — jedzcie paniczu, niech wam będzie na zdrowie.

Jadł tedy, rozmawiał o żniwach, ale częściej aniżeli na talerz spoglądał na Hanisję, którą w skrytości serca miłował i chwilami sądził, że i ona mu rada. Przy jego wejściu Hanisia zarumieniła się po białka oczu, i kontenta była, że jakoś opuściła nóż do chleba i musiała się schylić aż pod ławę. Wkrótce jednak uspokoiła się i pozierała wesoło, a upatrzwszy chwilę spytała:

— Paniczu, a nie kołą was ziemniaki ze słoniną?

Siostra i brat zaśmiali się, ojciec się nachmurzył i już miał ją strofować, gdy zarumieniony Kański odpowiedział:

— Myślisz Hanisiu, że jak ty masz kolce, muszą mieć i ziemniaki... ale nic dziwnego, bo pewno i różyczka myśli, że każdy kwiat ma kolce.

— Zapłacił ci panicz gładko za twoją swa-

wolę, a teraz ci wstyd, — rzekł ojciec i zwrócił się do Kańskiego:

— A cóżeście paniczu w mieście robili?

— Najałem młockarnię parową... i chciałem u Szmula wziąć kilkaset rubli na wypłatę robocizny, ale żyd wyjechał.

— Cóż wam tak pilno ze żniwami i młócbą? Pogoda, chwała Bogu jest, można spokojnie zebrać i w swoim czasie zmłócić, macie przecież we dworze konną młockarnię.

— Prawda, i w innym czasie zmłóciłbym na swojej ale teraz nie pora mi zwlekać.

— Cóż się stało? — spytał zaciekawiony.

Wojna idzie.

— Słyszałem... tak, tak... mówią o tem ludzie. Był też u nas starszy strażnik i powiadał, że ma dużo roboty z tą wojną.

— I jaką?

— Ano swoje rzemiosło, pilnować Polaków niby nas, bo od czegoż są oni w powiecie? — uśmiechnął się złośliwie.

— Jakto nas pilnować? — dopytywał się Kański, — a czy to my prowadzimy wojnę?

— Ja tam nie wiem dobrze... ale widzi mi się, że oni zawsze boją się powstania... Co was jednak paniczu wojna nagli? Wy przecież jedynak na gruncie i wolni od służby.

Kański, który dobrze widział, jak Hanisia

pilnuje, ażeby słowa nie uronić z rozmowy, chciał wypróbować jej serce i rzekł:

— Wiecie, Pawle, wolny jestem od moskiewskiej służby, ale nie od innej... i jak wypadnie iść, muszę, na to rady niema.

— Co wy też gadacie? — zdziwił się — jakże to, samemu szukać guza? No, a ziemia? a gospodarstwo? Przy starszej pani może zmarnieć.

— Pawle, przecież ptaszynie w klatce dobrze, ma jedzenie, picie, ciepło w zimie, chłódno w lecie, a ona tłucze się o pręty i tylko wolności pragnie. Czy myślicie, że z człowiekiem inaczej?

Mówił wprowadzie do Pawła, ale nie dla Pawła, tylko dla Hanisi, i poczuł wielką radość, że ona przy wzmiance o jego wyjeździe zrozumiała się, a potem pobladła i oczu z niego nie spuszczała.

— Wiadome to rzeczy paniczu,—westchnął, ale jak pręty mocno osadzone, co ptak poradzi?

— Jeden ptak zmarnieje, ale jak tysiące a tysiące się zleci rozniosą klatkę.

— Święta prawda i daj to Boże!

— I pomyślcie, Pawle, czy to godzi się z boskiem prawem, ażeby brat brata zabijał? A jednak tak będzie, bo Austria rekrutuje Polaków, a Rosya sobie, to czy nie lepiej bić się tylko po jednej stronie?

— Prawda wasza, paniczu, — westchnął i zasępił się.

— Otóż Pawle dlatego mi pilno ze żniwami i omłotem.

— Prawda... a jeśli wam paniczu trzeba pieniędzy, mam trochę grosza w domu, dam wam, a oddacie mi, jak sprzedacie zboże.

— Dziękuję wam, Pawle, a nie zdążę sam oddać, to odda wam matka.

— Dlaczegoż nie mielibyście paniczu sami oddać?

— Mówiliście przed chwilą, że strażnicy węszą jak te psy gończe, anuż przewachają... Żywcem wziąć się nie dam, a zdążę na czas zniknąć, to umknę.

— Prawda! — i patrząc po obecnych rzekł: — a was tu wszystkich proszę i zaklinam pod błogosławieństwem, nie pamiętajcie słów panicza, bo to sprawa nie tylko jego, ale nasza.

Poczerwieniały i zawstydzili się dzieci, jakoby im dowierzać nie można, zaś żona powiedziała z przekąsem:

— Poco nas uczyć? Czy my ich nie znamy? Czyśmy mało wycierpieli?

Nie zważał na jej słowa gospodarz, ale poszedł do komory, wyniósł trzysta rubli, odliczył i podając rzekł:

— Bierzcie, niech wam idą na pożytek.

— Dziękuję, ale bez kwitu nie wezmę.

Jędrrek zaczął szukać papieru i atramentu, a gospodarz mówił z uśmiechem dobrym:

— Ja was tak nie puszczę paniczu, musicie wypić ze mną na szczęście i powodzenie wasze i tych wszystkich innych... Ano, dziewczęta, ruszcie się, pomóżcie matce.

Zerwały się od stołu i poszeptały z matką, i Jędrrek, który przez cały czas jak zaczarowany patrzył na Kańskiego, wstał zwolna, i usiadł na ławie opodał.

Napróżno wymawiał się Kański, Berdysz tak serdecznie prosił, gospodyni namawiała, a nawet oczy Hanisi prosiły tak słodko, że zgodził się, poczęstował papierosem gospodarza, sam zapalił, i obydwaj poczęli uradzać, w jaki sposób nakłonić robotników, ażeby liczniej wyszli na łan dworski.

Zauważył też Kański, że Hanisia zarzuciła chusteczkę na głowę i zniknęła z izby, gdy gospodyni z Marysią nakryły białym obrusem część stołu i stawiały talerze z nakrajaną kiełbasą, z masłem, ze serem, wycierały talerze i szklanki. Pojawiła się też flaszka z wódką i dwa kieliszki.

Kański niecierpliwił się temi przygotowaniami, a gospodarz rozmawiał, jak gdyby nie widział tych zachodów gospodarskich na przy-

jęcie gościa. Wreszcie gospodyni przyszykawszy wszystko rzekła:

— Pawle, a możebyś przypił do panicza.

Wstał gospodarz, prosił gościa, ażeby zajął miejsce i nalał obydwu kieliszki wódką.

— Nie może tak być! — zawołał Kański, — po staremu pijemy z jednego kieliszka, bo jak to mówią, jedna nas matka rodziła, jedną mamy ziemię naszą.

Gdy Kański mówił, weszła Hanisia kryjąc koszyk za sobą, czekała aż skończy, i podeszła do matki.

— Piję w ręce wasze paniczu, — wzniosł kieliszek, — na szczęście i pomyślność waszej i naszej sprawy, czego nam daj Panie Boże doczekać... amen! — wypił i napełniwszy kieliszek podał gościowi.

— W ręce wasze, Pawle, — mówił Kański podniecony przemową Berdysza, — piję za wolność, równość i braterstwo wszystkich nas wolnych w wolnym kraju!

— Siadajcie paniczu... jedzcie... ślicznie też mówicie, aż się serce raduje... ale najpierwsza rzecz pozbyć się ich... w tem rzecz cała.

— Jak nas krocie staną, zwyciężymy. jak amen w pacierzu.

Jedli, rozmawiali, aż gospodyni rzekła wśród chwilowej ciszy:

— A co będzie z Michałem, jak ich przepędzą.

— Biedny Michał, — westchnął ojciec ten dopiero radowałby się, gdyby słyszał was, paniczu, bo on bez waszej obrazy, taki zapalny, jak wy i pewno nie usiedziałyby w domu.

Jędrak na te słowa zarumienił się i spuścił oczy, a po chwili usiadł obok Hanisi w cieniu i szeptał:

— Hanisiu, jeśli masz Boga w sercu poproś panicza, niech mnie weźmie.

— A tobie co? Przeżegnaj się, a kto w chałupie zostanie?

— A kto we dworze zostanie, a panicz idzie na nich.

— Co ci w głowie, co panicz, to panicz.

— Ja ci tego nie umiem powiedzieć, ale wiem, że każdy powinien ich bić.

— To się wie, — przyznała mu Hanisia.

— Poproś panicza, mojaś ty kochana, ty śmielsza.

— Jakże z nim rozgadać się?

— Na osobności.

— I gdzie?

— Jak będzie wracał.

— Ani mi się śni, — odpowiedziała, chociaż serce jej silniej zabiło i pragnęła z nim mówić.

— Zrób mi to, zrób! Moja ty złocista.

— Jakże wyjdę, a mama? a tatuś?

— Haniś! Gdzie wino? — zawołała matka.

Zerwała się i przyniosła do stołu, butelkę wina i kilka kieliszków.

— Pawle, to już rozrzutność.

— Pan Bóg wie, kiedy się obaczymy, to już na pożegnanie, bo może nie starczy wam czasu zejść do nas.

Kański nakłonił gospodynię, dziewczęta i Jędrka do napicia się, a raczej skosztowania wina i wręczywszy kwit gospodarzowi zabierał się do odejścia.

Zanim odszedł, Hanisia wytłómaczyła matce, iż musi dzisiaj odnieść kieliszki pożyczone jako że obiecała, a jutro ze świtem pójdzie w pole.

Niemile dotknęło Kańskiego, że Hanisia nie czekała na pożegnanie, ale nie wypadało dłużej zostać i poszedł do dworu.

Prócz drogi jezdnej łączyła dwór ze wsią ścieżka nad rzeczką, ocieniona rozsochatemi wierzbami.

Właśnie miał do wsi skręcić na ścieżkę, gdy posłyszał głos Hanisi:

— Już idziecie, paniczu?

— Haniś! Haniś! To ty! — zawołał uradowany i pochwycił jej rękę, której mu nie broniła.

— Pobieglam oddać kieliszki, a wy zaraz z chaty... bez pożegnania.

— Byłbym wrócił, Haniś, chociażby o sto mil, ażeby cię widzieć i pożegnać.

— Tak się to mówi, — zarumieniła się zadowolona.

— Jak pragnę wrócić z wojny, tak szczerze ci mówię... Ja cię tak miłuję, tak kocham, — a posłyszawszy zbliżające się głosy ludzkie, skreśli oboje na ścieżkę silnie ocienioną przez wierzby, za którymi wschodził jasny księżyc, i Kański mówił dalej rozmarzonym głosem:

— Wiesz, Haniś, gdy ciebie widzę, to mi słońko jaśniej świeci, niebo piękniejsze i ziemia cudniejsza...

— Mówicie tak słodko, paniczu, — zaśmiała się chcąc pokryć wzruszenie, — jakbyście śpiewali, i źle robię, że was słucham.

— Haniś, moja Haniś! Tyś dla mnie weselem, rozkoszą i radością... Chciałbym przez całe życie patrzeć w twoje oczy, słuchać twego głosu i czuć, żeś moją, tylko moją, ach Haniś, moja Haniś! — wziął jej rękę i przyciągał ku sobie.

— Paniczu, — odsunęła się, — co wam przyjdzie z tego miłowania? Wy panicz, a ja nie z tych, które dają się bałamucić.

— Jak możesz tak źle o mnie myśleć Haniś! Ja nie chcę, nie pragnę i nie będę miał innej żony, tylko ciebie, Haniś.

— Żoną? — aż przystanęła zdumiona, — no, a co powie starsza pani?

— Moja Hanisiu, to już zostaw na mej głowie... Mama tak mnie kocha, że przyjmie ciebie za synowę. I cóż Hanisiu?

— Kiedy mi wstyd...

— Powiedz mi, powiedz... nie wzdragaj się, — przyciągnął ją ku sobie i szepnął: no, powiedz, Haniś, lubisz mnie choć trochę?

— Alboż panicz nie wiedzą? — powiedziała cichutko.

— Nie wiem nic, jedyna, boję się, że mi powiesz: ano lubię tak, jak naszego psa lub konia.

— Co też wygadujecie, paniczu! — obruszyła się, — gdzieżbym zaś was równała ze zwierzętami bez duszy.

— Więc powiedz mi Haniś, życie moje, serce moje, — objął ją w pasie i ucałował, — powiedz, że mnie lubisz.

— Czyżbym się dała pocałować nielubemu! — zaśmiała się.

— Więc kochasz mnie? kochasz? I będziesz moją?

— Co to, to nie! Podobacie mi się paniczu... i bardzo... ale żoną nie będę, ale i żadną kochanicą.

— Nie chcesz być moją żoną, — zdziwił

się, — jakże to? Podobałem ci się, lubisz mnie, a żoną być nie chcesz... I dlaczego?

— Dlaczego? Nie przywykłam do pokojów, do waszych strojów, i będą mnie palcami pokazywali... nie, nie chcę!

— Ależ Haniś, tyś taka piękna, że wszyscy będą cię wielbili, kochali...

— To tylko w waszych oczach paniczu, a dla innych zawsze będę prostą dziewczuchą... I wam się nie godzi, żenić się z chłopką, bo będą z was się naśmiewali i od was uciekali... powiedzą też, że was ciągnęłam, mamiałam... nie, nie chcę!

— Ależ Haniś, skarbie mój, — całował jej oczy, usta, tulił do siebie, — co nas świat i ludzie obchodzą? Będziemy żyli we dwoje, szczęśliwi i radośni, naco nam ludzi?

— To się tylko teraz tak mówi, a później będziecie mieli żal do mnie, że usłuchałam was.

— Haniś, idę na wojnę, może zginę, niechże przed śmiercią mam tę pociechę, że mnie kochasz.

— Alboż nie mówiłam już, bardzo was miłuję, — ucałowała go.

— Hanisiu, jeśli powiesz, że zostaniesz moja żoną, to mi szczęście przyniesie i będę unikał śmierci; a jeśli nie przyrzekniesz, to i co mi po życiu.

— Nie mówcie tak, nie mówcie... zgodzę się

na wszystko, tylko wracajcie zdrowo i cało do nas.

— O, wróć, napewno wróć do mej Hanisi, do mej żoneczki, — całował ją namiętnie.

Wtem posłyszeli gwizdanie jakiejś piosenki i ktoś wszedł na ścieżkę. Haniś szybko uwolniła się z uścisku i poprawiając chusteczkę i włosy szepnęła:

— To Jędrak... po mnie... zabaczyłam na śmierć, a on prosi, ażebyście wzięli go ze sobą na wojnę?

— No, a ojciec?

— Weźcie go, on was dopilnuje, będzie waszym sługą i będę o was spokojniejsza.

— Sługą mi nie będzie tylko towarzyszem... ale ojciec... ojciec... Jędrak taki potrzebny w chacie.

— A wy we dworze niby nie? — zaśmiała się, — każdy z was potrzebny nie temu, to owemu, albo onej, a jednak idzie.

— Prawda... ano, dobrze.

— Jędrak!... Jędrak! — zawołała.

— Jestem Hanisiu, — zbliżał się nieśmiało.

— Podziękujże pięknie paniczowi... zgodził się... ledwie, że uprosiłam.

Jędrak z wielkiej wdzięczności chciał koniecznie ucałować rękę panicza, ale ten nie pozwolił, i ściskając rękę chłopca rzekł:

— Od tej chwili tyś mi towarzyszem i bra-

tem. Razem staniemy w szeregu i jedną służbę będziemy pełnili.

— A kiedy przyjść? Czy jutro?

— Jutro nie... dam ci znać, albo sam, albo przez Hanisę. Ubranie tylko na drogę, mundur i broń dostaniesz na miejscu... A pamiętaj, nikomu ani słowa, bo jeśli oni nas schwycą, nie zobaczymy światła dziennego, tak nas schowają.

— Paniczu, — spytała zaniepokojona Haniś, — czy oni mogliby was zabić?

— Zabić nie, ale powieszą.

— O, Matko Przenajświętsza! — zawołała, — a te psy strażackie kręcą się, i starszy mówił do tatusia: zachciewa się Polakom powstania, ale już nie wstaną.

— Był dziś i u nas, we dworze, strażnik, — rzekł zaniepokojony Kański, — coś węszą... to i pilnujcie się.

— Paniczu, rzućcie tę wojnę... zostańcie... będziecie szczęśliwi — prosiła Haniś gorąco.

— Nie, Haniś, nie mogę... Wpadnę jeszcze do was, a teraz idźcie spać. Dobranoc Haniś!... Dobranoc Jędrku.

— Dobranoc, a przyjdźcie do nas!

V.

Przy czarnej kawie po obiedzie, opowiadał Tożyński żonie i Porwie, że będąc w lesie rano przypomniawszy sobie, iż podleśny, Maciej Lin, znakomity strzelec, ma stawać do wojska w tych dniach.

— Żał mi się zrobiło, ażeby taki strzelec służył u Moskali, i zaproponowałem mu, ażeby wyjechał ze mną.

— I naturalnie zgodził się, — uśmiechnęła się Krzysia.

— Ucieszył się jak dziecko i obiecuje sobie, sprzątać Moskali tuzinami.

— Czy to ten ładny blondyn, którego widziałem onegdaj w kurtce myśliwskiej? — spytał Porwa.

— Tak jest... I wiesz, Krzysiu, on utrzymuje matkę, zostawisz ją w chałupie dworskiej i trzeba będzie pamiętać o niej.

— Dobrze, Stasiu.

— Pół pensyi syna i całą ordynaryę.

— Dobrze.

— Gdybyśmy byli wcześniej wiedzieli o wojnie, — westchnął Porwa, — jaki tu u was materyał na żołnierzy!

— Możliwy i teraz zabrać dużo ludzi, tylko nagły ich wyjazd wzbudziłby podejrzenie, no i ta przeprawa przez granicę.

— W pogranicznych miejscowościach mamy swoich... i może wystarczy czasu na zorganizowanie przemycania się przez granicę... Stanowczo za długo tu siedzę.

— Pojutrze ma zjechać Krzycki, Puszcowski i jeszcze ktoś, zaproszony przez Krzyckiego. Po konferencji odjedziemy.

— Czy Kański jedzie z nami?

— Przypuszczam, i dziwi mnie, że nie był tu wczoraj.

— Stasiu, jeśli to nie jest niedyskrety, w kim on się kocha?

— W kim? nie wiem... tylko domyślam się, że jest zakochany, bo dowodził mi bardzo ognistcie, że jedynie małżeństwo z miłości jest racjonalne i szczęśliwe. A gdy zadzwiliem, że z żydówką zapewne, on w zapale powiedział, iż nigdy z żydówką, ale zapytał co ja myślę o ożenieniu się z chłopką?

— Ach, tak? — rzekła rozczarowana, — to chwilowe upodobanie, nie miłość.

— Sądę, że u niego jest miłość, bo gdy mi zaczął wychwalać zalety wiejskiej dziewczyny, przekonałem się, że nosi w sercu portret ukochanej.

— I sądzisz, że z nią się ożeni?

— Dlaczegożby nie? Miłość nie zna przesądów rasowych, klasowych lub majątkowych... jest ślepa i bezwzględna.

Wszedł lokaj i oddał depeszę Porwie, który ją szybko otworzył i podał Tożyńskiemu, a ten żonie. W depeszy prócz adresu było jedno słowo: „przyjeżdżajcie“ i podpis: Zawisza.

— Czy na dzisiejszy pociąg do Warszawy, mogę zdażyć? — spytał Porwa.

— Możesz; pociąg odchodzi po północy, o pierwszej, ale czy musisz jechać zaraz?

— Jestem żołnierzem, a depesza rozkazem przełożonego. Ty, Stachu, rozmów się z panami Krzycki i spółka. Idzie o szerzenie dobrej opinii o nas, powstrzymanie poborowych od stawieństwa i ułatwienia im ucieczki do nas. No, i pieniądze!

— Pamiętam, mówiliśmy już o tem, — zadzwonił i do wchodzącego lokaja, rzekł: — niech Antek ze stajni siądzie na Poganiacza i jedzie w skok do wójta po pasport...

— Stasiu, bezpieczniej napisać do wójta i przypomnieć mu, ażeby pasport pana Porwy miał wizę na wyjazd.

— Prawda... więc niech Antek stawi się na koniu przed gankiem.

— Dziękuję ci za pamięć o pasporcie, zapomniałem o waszych niewolniczych kajda-

nach... ty, pisz do wójta, ja pójdę się spakować...

Gdy mąż wrócił z biletem gotowym, powiedziała Krzysia:

— Jak to dobrze, że zostaniesz jeszcze ze mną, obawiałam się, że wyjedziesz z panem Porwą.

— Wiesz, Krzysiu i ja rad jestem, — uśmiechnął się czule do niej, — tak mi się nie chciało teraz wyjeżdżać.

— Czy masz jakie złe przeczucie? — spytała zaniepokojona.

— Ach, ty zawsze z przeczuciami, które się nie sprawdzają, — zaśmiał się, a ja jestem pewny zwycięstwa i wrócę zdrów i cały.

— Mój Stasiu drogi, oby się sprawdziło, byłabym najszcześniejsza, bo i ty wróciłbyś zdrów, i zwycięstwo.

Wszedł lokaj, a Tożyński wręczył mu list i polecił wyszukanie wójta i szybki powrót.

— A ty, Stasiu, nie wyśmiewaj się z moich przeczuc... Pamiętasz naszą rocznicę i mój niepokój?

— No, i co? — zaśmiał się.

— Przyjechał pan Porwa i wyjeżdżasz.

— Ależ Krzysiu, on przywiózł nam cudowną wieść... wojnę o wolność!

— Tak, ale ciebie nie będzie tutaj, — westchnęła, — tak samo i dziś jestem dziwnie nie-

spokojna o ciebie. Myślałam, że depesza przynosi złą wieść, na szczęście omyliłam się.

— Moja Krzysiu, jeśli będziesz się tak zagłębiała w przeczucia, uniemożliwisz sobie życie. Chciałbym wpoić w ciebie przekonanie moje, że wszystko będzie dobrze i skończy się najlepiej.

Wszedł Porwa i poprosił o papiery wręczone Krzysi na przechowanie.

— Zaraz... ale czy nie lepiej, raczej czy nie byłoby bezpieczniej, ażeby ktoś inny przewiózł je przez granicę, kto wie, czy nie zechcą rewidować pana.

— Głupstwo!... tego się nie obawiam, — uśmiechnął się Porwa.

— A jakie to papiery? — spytał Tożyński.

— Nic ważnego, trochę adresów, kilka listów, bo miałem jechać dalej, no i trochę notatek.

— Wszystko najgorsze, — zaśmiał się Tożyński, — bo możesz wsypać mnóstwo ludzi i będą cierpieli za nic! Daj mi te papiery... przewiozę ci.

— Nie ty, Stasiu, nie ty! Już pan Kański jest mniej podejrzany.

— Co to, to nie! Dlaczegoż mam narażać Kańskiego, nie siebie!? Wezmę sam, a w żadnym razie nie pozwolę tobie, Porwa, przewozić.

— Ja was pogodzę, — zaśmiał się Porwa,

zauważył bowiem niepokój Krzysi, — część niepotrzebną spale, a resztę przewiezie albo Kuba, albo podleśny Maciej Lin.

— Na to zgoda! — pospieszyła Krzysia, — prawda Stasiu?

— Niech i tak będzie, — westchnął, — oni tak dalece nie zwracają na siebie podejrzeń; a swoją drogą ty, Krzysiu, teroryzujesz mnie.

— Już i tak niedługo, — zaśmiała się, — i niech powie pan Porwa, kto kogo tyranizuje?

— Wart Pac pałaca, a pałac Paca, — zaśmiał się Porwa, — zresztą nie lubię kłaść palca między drzwi.

— O, z pana dyplomata... idę po papiery.

Po chwili przyniosła, a papiery uznane przez Porwę za zbędne, sama spaliła. Wróciwszy rzekła do Porwy z uśmiechem:

— No, teraz jesteś pan, jako tako „błagonadiożnyj“.

— Dlaczego jako tako? Nic nie wiozę.

— Może się jednak wygląd pana nie podobać żandarmowi... może pan być podobny do jakiegoś rewolucjonisty... to wystarczy zupełnie do aresztowania pana i do śledztwa.

Posłyszeli turkot i za chwilę wszedł Kański wesoły i uśmiechnięty, przywitał się, a gospodarz spytał:

— Dlaczego nie byłeś wczoraj? Oczekiwaliśmy ciebie.

— Nie mogłem, żniwa, i mam dosyć robotników; a ty?

— Zacząłem młócić.

— I sprzedałeś może?

— Tak jest... teraz potrzebuję gotówki.

— Szczęśliwy, ale i ja będę młócił w przyszłym tygodniu.

— Wiesz, Janku, — częstował go papierosem, — Porwa jedzie.

— Gdzie? Dokąd?

— Wracam do Krakowa. Otrzymałem depeszę, więc gra się rozpoczęła.

— Stachu, a my kiedy?

— Za kilka dni... a możebyś, — zwrócił się do Porwy, — zatelegrafował do mnie, ale coś obojętnego, na przykład: sprzedaj pszenicę; będę wówczas wiedział, że mam się stawić.

— Wiesz, Stachu, właściwie gdyby nie ten zjazd z panem Krzyckim, żądałbym, ażebyś ze mną jechał.

— Dlaczego?

— Zawisza, gdyby tylko o mnie chodziło, byłby telegrafował: przyjeżdżaj, a jeśli napisał: przyjeżdżajcie, pewno miał na myśli ciebie i nowych ochotników.

— Jeśli sądzisz, że jestem już potrzebny w szeregu, pojedę, — rzekł Tożyński.

— No, tak, ale ty jesteś może potrzebniej-

szy tutaj... zresztą napiszę ci a raczej zatelegrafuję.

— Proszę pana, przyjechał Antek, — meldował lokaj, — i przywiózł od wójta odpowiedź, — podał list.

Tożyński rozerwał kopertę, odczytał list i zawołał:

— Wiecie, twój pasport Porwa, jest w powiecie, odesłany na żądanie naczelnika straży ziemskiej.

— A niechże ich wszyscy dyabli wezmą! — zaklął Porwa, — przez tych psubratów spóźnię się o jeden pociąg, bo chyba dzienny kursuje.

— Gdyby się pan tylko spóźnił, — rzekł poważnie Kański, — ale to zażądanie pasportu do powiatu źle wróży. Będą protokoły, śledztwa, mitręga czasu i pieniędzy.

— I ja sędzę, podobnie jak Janek, — dorzucił zamyślony Tożyński, — podobne wypadki z pasportami są bardzo rzadkie i dają dużo do myślenia.

— Głupstwo! — uśmiechnął się Porwa, — wiekował tu nie będę. Zabrali pasport, dobrze, niech sobie schowają, a ja pojedę bez pasportu. Przez granicę pójdę z przemytnikami.

— W sam raz dobrze obmyśliłeś, — zaśmiał się Tożyński. — Wiedz o tem, mój kochany, że nigdzie nie będziesz mógł na czas dłuższy, to znaczy na jedną noc; opuścić wagonu, bo zaraz

gospodarz pyta o pasport, a cóż dopiero, gdybyś zajechał do pogranicznego miasteczka!? Aresztowanoby cię w tej chwili.

— Więc co robić?— spytał stropiony Porwa.

— Zaczekaj. Pojadę sam do powiatu, mam tam kancelistę, który pilnuje moich spraw, dowiem się, co i jak, a może uda mi się wydostać twój pasport. Innej rady nie widzę.

— I ja nie, — potwierdził Kański.

— Ależ ja muszę jechać! — zawołał gniewnie Porwa.

— Jeśli chcesz przesiedzieć w więzieniu, miesiąc, może dłużej, jedź, ale ja cię nie puszcę, bo jako gospodarz odpowiadam za twoją wolność i bezpieczeństwo.

Lokaj zameldował, że Kuba Brzoza od koni ma ważną sprawę.

— Niech przyjdzie tutaj.

Wszedł Kuba i trochę zmieszany licznem towarzystwem, skłonił się dość niezgrabnie i stanął przy drzwiach.

— Cóż tam Kuba? — spytał uprzejmie Tożyński, — czy co z końmi?

— Nie, chwała Bogu, zdrowe.

— Cóż tedy?

— A to względem strażników.

— Byli u nas?

— To nie, ale na wsi był wieczorem jeden, i bardzo rozpytywał czy pan dziedzic nie zwo-

ływali schodu, po naszymu zebrania... Co mówił pan dziedzic o wojnie?... Czy ten pan zagraniczny, — spojrzał na Porwę, — chodził po wsi? czy rozmawiał i z kim?... Nakazywał srogo, ażeby nie słuchali pana dziedzica i pana zagranicznego, i żeby zaraz dali mu znać.

— Ano, to jego rzemiosło, żeby szpiegować... tylko za dużo gadał i pytał, — uśmiechnął się Tożyński, — i cóż więcej?

— Dzisiaj rano był we wsi starszy strażnik... poszedł do sołtysa i jemu kazał pilnować dworu, dowiadywać się kto przyjechał, kto odjechał i także baczyć czy nie chodzi pan po wsi, czy nie ma zмовy z gospodarzami, a już najbardziej uważać na pana zagranicznego...

— Dobrze, dziękuję ci Kuba... A cóż ludzie na to? *

— Słuchają, bo muszą, ale i tyle tego, a on za próg, to już nie uważają... tyle tylko mówią, że te pilnowania pewno z wojny, a może, jak mówią, będzie nowe powstanie.

— Dziękuję ci Kuba za wiadomość, a gdybyś jeszcze co posłyszał, daj mi znać.

— To się wie, — zrobił półobrót i zatrzymał się, — jeszcze jedno. Strażnik ostro nakazał sołtysowi, ażeby nikogo z popisowych i zapasowych nie wypuszczał ze wsi, bo lada chwila będą powołani do służby.

— Zwykła rzecz przed wojną, ale dobrze wiedzieć... Dobrze, Kuba, dziękuję ci.

Po wyjściu Kuby rzekł Kański:

— Te wywiady strażników są tylko na intencję pana Porwy.

— Czy tylko, wątpię, — odezwała się chmurno Krzysia, — i bez pana Porwy opiekowali się nami strażnicy gorliwie, dopytując się naszej służby o wszystkie szczegóły.

— A tak, — potwierdził mąż, — jestem podejrzany i zawsze miałem znaczne utrudnienia w otrzymywaniu zagranicznego pasportu. Rewidowano mnie osobiście dwukrotnie w Granicy.

— Ja byłem szczęśliwszy, — uśmiechnął się Kański, — miewałem tylko zwykłe wizyty strażników, ale od chwili przewidywań wojny mało który dzień obejdzie się bez strażnika, albo u mnie albo we wsi.

Lokaj zameldował przyjazd syna pana Żurskiego, sąsiada Tożyńskich.

Do pokoju wszedł młodzieniec siedmnastoletni, szatyn, z okrągłą chłopięcą twarzą. Zarumieniony, pokrywając uśmiechem zmieszanie, skłonił się, nie wiedząc co ze sobą zrobić.

— Jak się masz, Michasiu, — podał mu rękę Tożyński, dawno cię nie widziałem.

— Dopiero od kilku dni jestem na wakacjach, — odpowiedział cicho.

— Urosłeś, zmężniałeś, nawet wąsiki już się sypią, — weszła w tej chwili Krzysia i Michaś ucałował jej rękę.

— A, pan Michaś, miły a niespodziewany gość, — mówiła uprzejmie, — z panem Kańskim zna się pan, — i przedstawivszy go Porwie zapraszała: — siadaj pan, zaraz podadzą herbatę.

— Dziękuję... ja tylko na chwilę, — usiadł przy stole.

— Cóż u was słychać? W domu zdrowi wszyscy? — pytał gospodarz.

— Tak jest, dziękuję... ale tatuś przysłał mnie do pana z wiadomością.

— Jaką?

Michaś spojrzał zaniepokojony po gościach i wyjąkał:

— To ważne wiadomości dla pana.

— Michasiu, to są moi przyjaciele, nie mam tajemnic przed nimi, chyba, że to dotyczy waszego domu.

— O nie! To dla pana wiadomość.

— Więc mów!

— Tatuś przyjechał dzisiaj ze Siedlec i dowiedział się, to jest kazał powiedzieć panu, że dzisiaj ogłosili mobilizację w naszej gubernii... Tatuś sądzi, że dla pana ta wiadomość dość ważna.

Wszyscy spojrzeli na siebie, a Porwa zawołał:

— Zaczyna się! Teraz rozumiem depeszę poranną... już wiedzieli, i ona przyszła nie do mnie, ale do nas.

— Tak, tak, — potwierdził Tożyński lekko zasepiony. Zamienił z Krzysią spojrzenie i zwrócił się do Michasia: — podziękuj bardzo tatusiowi za tę ważną wiadomość... i tobie dziękuję.

— To nie wszystko, proszę pana, — rzekł Michaś, — tatuś kazał mi powiedzieć panu, że zagraniczni poddani będą wywiezieni w głąb Rosyi i już ich nie wypuszczą.

— Co!? — zerwał się Porwa z krzesła, — ależ ja muszę tam być.

— Uspokój się, — powiedział łagodnie Tożyński, — znajdziemy wyjście... musimy znaleźć... Czy to wszystko, Michasiu?

— Od tatusia wszystko... ale ja mam prośbę do pana...

— Słucham cię i chętnie spełnię.

— Kiedy to tajemnica...

— Tajemnica? — zdziwił się, — dobrze, powiesz mi po herbacie.

— Chociaż, właściwie, nie mam potrzeby ukrywać się...

— Więc mów!

Wszedł lokaj i nakrywał do herbaty, a Michaś zwrócił się do Krzysi:

— Mama kazała zapytać, jak zdrowie pani i Władysia?

— Podziękuj pan mamie za pamięć... zdrowi jesteśmy; a Bronia wróciła z pensyi?

— Jest w domu... Także o żniwach i wydajności pszenicy, kazał tatuś zapytać.

Tożyński odpowiedział szczegółowo na pytanie, a gdy lokaj wyszedł, dodał:

— No, śmiało Michasiu, ciekaw jestem jaki interes masz do mnie?

— Wie pan, że jestem od trzech lat skautem, nawet starszym...

— Wiem i cieszę się z tego.

— Otóż my skauci wiemy, — obejrzał się na drzwi i zniżył głos: — że w Krakowie tworzy się polskie wojsko... był nawet jeden skaut z Krakowa u nas...

— No, tak, to prawda, — skinął głową Tożyński, — wojsko już jest.

— I naturalnie na Moskali? — spytał z rozjaśnioną twarzą.

— To nasz najcieńszy wróg i na niego idziemy, — odpowiedział Porwa.

— Dziękuję panu, — zarumienił się, — jak tylko tatuś mi powiedział o zagranicznych poddanych, domyśliłem się, że to idzie o pana... i że pan wojskowy.

— Prawie zgadłeś Michasiu, — zaśmiał się Tożyński, — a wiedziałeś już o naszym gościu?

— Wprawdzie w tajemnicy, ale wszyscy szepcą sobie, że pan Porwa przyjechał do nas w ważnej misyi.

— A bodaj to partykularz, — zaśmiał się Porwa, — już plotki.

— O, przepraszam cię, — rzekł gospodarz, — Kraków pod tym względem prym trzyma.

— Ja też nie bronie Krakowa.

— Cóż tedy Michasiu?

— Ja chcę wstąpić do naszego wojska, — powiedział nieśmiało.

— A mówiłeś z tatusiem?

— Tak jest... i tatuś w zasadzie się zgodził, obiecał mi mundur, karabin, konia, i mam ćwiczyć się w strzelaniu... ale to łatwa rzecz... i jestem pewny, że puściłby mnie z panem, — spojrzał z prośbą w oczach na Porwę, — bo jeśli wszyscy idą bić Moskała, dlaczego ja mam zostać za piecem?

— A cóż mama na te projekta? — spytała Krzysia.

— Mama, jak każda kobieta, — odpowiedział z powagą, — najpierw płakała, i nie chciała mnie puścić, ale po rozmowie ze mną zezwoliła.

— A toś chwat Michasiu, — zaśmiał się Tożyński, — i w jaki sposób uzyskałeś pozwolenie?

— W bardzo prosty, — mówił nie bez dumy, — powiedziałem, że jeśli mama się nie zgodzi, umknę z domu i przedrę się do naszego wojska... i wówczas ani słowa nie napiszę, co się ze mną dzieje.

— A tak... teraz rozumiem, — westchnęła Krzysia.

— Więc co? — spytał Michaś śmieiej, — czy pan weźmie mnie ze sobą?

— Wpierw porozumiem się z ojcem pana i jeśli on zgodzi się, pojedziemy wszyscy razem, — spolitykował Porwa, bo mu żal było zmartwić chłopaka odmową.

— A możeby pan zobaczył, jak ja strzelam? — zaproponował Michaś, — jeszcze słońce nie zaszło.

— Chodźmy! — rzekł gospodarz, — spróbujemy naszych karabinków:

Strzelanie do celu przeciągnęło się do zupełnego zmroku. Wrócili ożywieni, rozprawiając z wielkiem zajęciem o celności swych karabinków.

Zasiedli do kolacyi, gdy posłyszeli sprzeczkę w przedpokoju, która stawała się coraz głośniejszą.

Niezadowolony Tożyński wstał, otworzył

drzwi i ujrzał chłopaka wiejskiego, który właśnie głośno i dobitnie tłumaczył lokajowi:

— Kiedy mówię, że muszę, to muszę, co mi tam wieczera.

— Czego chcesz? — spytał go Tożyński.

— Ja, proszę łaski pana, do panicza naszego, muszę zaraz.

Kański posłyszawszy ten głos zerwał się z krzesła i stanawszy w drzwiach obok Tożyńskiego zawołał z niepokojem:

— Jędre, co się stało?

— Niestety... leciałem na łeb na szyję do panicza.

— Chodź tutaj, do pokoju, — rzekł Tożyński, — i mów.

Jędre wszedł śmiało, skłonił się, obejrzał się podejrzliwie, zamknął drzwi za sobą i rzekł przyciszonym głosem:

— Niema co ukrywać, bo czasu szkoda. Do dworu przyjechali żandarmi... dużo ich... szukają pana i wszystko przetrząsają. Haniś akurat była we dworze, wymknęła się im, bo nie puszczają nikogo z dworu, ani ze wsi... wszędzie rozstawili się strażnicy, po drogach i ścieżkach...

— Cóż Hanisia? — spytał bezdźwięcznie Kański.

— Hanisia wpadła do izby i krzyknęła do mnie: Jędre bierz konia i leć duchem do Za-

lesia, na przełaj, przez pola, powiedz że żandarmi są we dworze. Wszystkich zabiorą i niech panicz i inni uciekają póki czas.

— I cóż? — odezwała się Krzysia blada, ale spokojna.

— Jak wsiadałem opowiedziała mi, że dwór przetrząsają, a pani starsza powiedziała im, że panicz w miasteczku sprzedaje pszenicę.

— Już dobrze, — rzekł Tożyński spokojnym głosem, — dziękujemy ci za wiadomość. Idź do kuchni, zjedz coś boś leciał.

— Ja nie jestem głodny i od panicza nie odejdę, — powiedział stanowczym głosem.

— Idź, Jędrku, musimy się naradzić, — prawie prosił Kański.

— Kiedy mi Hanisia powiedziała, ażebym na krok nie odstał panicza.

— To dobrze... wrócimy razem.

— Co to, to nie. Panicz muszą ujść Moskalom, bo powieszą panicza... Ja ucieknę z paniczem, nie może być inaczej... albo panicz chce żeby nas obydwóch powiesili.

— Idź, Jędrku, daję ci słowo, że bez ciebie nie wyjadę z Zalesia.

— Kiedy tak, to już idę, — skłonił się i poszedł do przedpokoju mówiąc: — zaczekam na panicza.

Po jego wyjściu wśród chwilowej ciszy przemówił Tożyński:

— To wielka obława, głównie na Porwę i na nas. Pewno list pochwycili, albo depeszę... ale to nie należy do rzeczy... Musimy uciekać... Koleją niebezpiecznie, wyszłą depesze gończe, przychwycą nas. Jedziemy końmi... Mojem zdaniem na Lublin, bo w Lubelskiem mam dosyć znajomych i krewnych. Ułatwią i pomogą nam dostać się do Galicyi... Janku masz może pasport miejscowy dla siebie?

— Mam... zawsze go noszę od czasu przewidywanej wojny.

— To dobrze... wezmę swój i dla ciebie Porwa wezmę pasport leśnika... Moja Krzysiu droga, każ mi spakować tylko najpotrzebniejsze rzeczy do małego kuferka, żadnego ubrania... zaraz przebiorę się do podróży.

— Z kim Stasiu pojedziesz? — spytała Krzysia zmęczonym głosem.

— Kuba jedzie ze mną. We trzech zmieścimy się w powozie.

— No, a Jędrek? — spytał Kański.

— Jędrek? Czy musi jechać Janku?

— Musi... przyrzekłem.

— To pojedzie; — zadzwonił i wydał lokajowi rozkaz: — Zawołaj mi zaraz Kubę od koni... Antek niech skoczy do podleśnego Lina, ażeby natychmiast się stawił, również ekonom Gwizdek, ale zaraz.

Weszła Krzysia mówiąc:

— Stasiu, ubranie przygotowane, chodź, nie trać czasu.

— Już idę... Porwa, zniszcz papiery, ani świstka ze sobą. Ty, Michasiu, wracaj do domu i opowiedz tatusiowi, coś widział, — wyszedł wraz z żoną.

— Jakto, a pan mnie nie zabierze? — spytał Michaś Porwy z żalem.

— Teraz niepodobna... ale jak tu przyjdziemy ze strzelcami, zgłoś się pan do mnie... czekam.

— Radzę ci szczerze, Michasiu, jedź, — mówił Kański, — jeśli znajdą tu ciebie Moskale, uwiężą cię i tatusia pewno także.

— Tak pan sądzi?

— Jestem tego najpewniejszy.

— Dobrze, pojedę, robię to dla tatusia, ale obaczę panów wcześniej, aniżeli myślicie, — pożegnał się i wyszedł.

— Idę papiery spalić, — rzekł Porwa wstając.

— A nie pal pan w piecu, bo żandarmi będą podejrzewali Tożyńskich. Najlepiej przynieś pan, a ja spalę w kuchni.

— Dobrze.

Gdy Kański wrócił z kuchni, weszli Tożyński z żoną i Porwa, a lokaj meldował:

— Jest już pan ekonom i podleśny.

— Niech wejdą... i ten chłopak także.

Pierwszy wszedł ekonom Gwizdek, blondyn około czterdziestu lat, z twarzą szczerą, ozdobioną zawieszonymi wąsami. Obok niego stanął smukły blondyn, włosy miał krótko przycięte, rysy twarzy niemal piękne i oczy niebieskie, bystre i szczerze. Trochę z boku stanął Jędrak.

— Panie Gwizdek, — przemówił Tożyński, — wyjeżdżam na czas dłuższy. Całym majątkiem zarządza moja żona i tylko ona ma prawo rozkazywania. Ktokolwiek byłby jej nieposłuszny, traci miejsce, to powiedz pan całej służbie. I chociażby się to panu zdawało ruiną majątku, wielkiem złem, usłucha pan jej bez żadnego szemrania. Wszelkie sprzedaże, kupna, oddalenia lub zmiany służby, tylko od pani zależą i o tem proszę pamiętać zawsze.

— Rozumiem, — skłonił Gwizdek, — i rozkazy pani będą wykonane.

— Nadchodzą, panie Gwizdek, ciężkie czasy. Znając wypróbowaną uczciwość, przychylność dla nas i pracowitość pana, jestem pewny, że pan nas nie porzuci w złej czy dobrej doli. Policzymy się, gdy wrócę... a Moskalom nie daj pan rządzić, łapówki dawać, ale od rządów w majątku wara! Czy pan mnie rozumie?

— Tak jest i wszystko zrobię dla państwa, przecież idzie o naszą ziemię.

— To dobrze, dziękuję panu, — podał mu rękę.

— Ty, Macieju, — zwrócił się do podleśnego, — weźmiesz jedną parę z ciemnogniadej czwórki Bartka. Zaprzęgniesz do wasagu i razem z Jędrkiem, — wskazał na chłopca, — pojedziesz za mną. Droga daleka, weź owsa na cztery konie i koniczu. Jeśli klucznica ma chleb, słoninę, masło, ser, niech ci wyda.

— Już kazałam przygotować, — powiedziała Krzysia.

— Dziękuję ci jedyna... Macieju, spiesz się, każda chwila droga i grozi uwięzieniem.. Idź i zaprzęgaj.

— Panie Gwizdek, przypilnuj pan, ażeby Kuba zajeżdżał. Stangret zostanie z parą koni, a gdyby Kuba nie wrócił, dobierze pan czwórkę do powozu pani z koni folwarcznych. Żywo, panie Gwizdek, dawaj pan Kubę. I każ pan otworzyć wrota od gumniska, polną drogą będzie bliżej do szosy. I spiesz pan, każda chwila droga.

Wkrótce zajechał powóz przed ganek, a za nim wasag, na którym siedział Maciej Lin z Jędrkiem.

Tożyński pożegnał się z Krzysią w pokoju bardzo serdecznie i wyszli na ganek. Tu powstrzymywane siłą woli łzy, polały się po zmę-

czonej i zbolalej twarzyczce Krzysi., a mąż objawszy ją w ramiona szeptał czule:

— Nie płacz... wróć.

— Przepraszam cię za ten płacz, wiem, że go nie lubisz.

— Już cicho, Krzysiu.

Wtem Maciej Lin zawołał:

— Słyszać tentent na drodze.

— Krzysiu, do widzenia, wróć! Pojechaliśmy na karty! — i do Kuby: — ruszaj w skok przez gumno, na drogę polną.

Za kilka sekund przed gankiem i na gumnie było cicho i głucho, natomiast tentent koni żandarmskich słyszać było coraz wyraźniej. Krzysia, zamykając drzwi od ganku szepnęła rozczulona:

— Uratowani!

VI.

Obozowali pod lasem sosnowym na nad-rzecznej łące szmaragdowej, przesianej kwiatami wiosennymi.

Słońce południowe złociło kwiaty, różowiło wysokopienne sosny, zapalało stojące w kozły karabiny błyskami stalowymi i rozkosznymi promieniami otulało obozujących legionistów.

Był to batalion Zawiszy, idący w straży przedniej, przed brygadą. Doniesiono bowiem do głównej komendy, że Moskale zgromadziwszy znaczniejsze siły w Oładowie, zamierzają dalszemu pochodowi armii nieprzyjacielskiej nie tylko stawić opór, ale od strony Wisły przejść do ofensywy.

Gdzie i jakie siły rosyjskie były rozłożone na tej linii, nie wiadano, a zdobycie odpowiedzi na te pytania było zadaniem Zawiszy.

Batalion posuwał się w długiej linii zwolna po lesistym, pełnym wzgórz i wąwozów terenie, wysyłając w różne strony, w rodzaju maczków, patrole wywiadowcze.

Dotychczas nie natrafiono na Moskali i linię należało przedłużyć. Do uzupełnienia tej linii

przysłano z głównej komendy pluton pod dowództwem chorążego Rewery, który dotarł do batalionu, gdy ten rozłożył się chwilowo obozem na czas obiadowy.

Chorąży Rewera, młody, dwudziestokilkuletni blondyn, z twarzą delikatną jak rzeźba Kamei, szczupły, wiotki, zawsze uprzejmy, wyświeżony, w ładnym mundurze, zadziwiał swą wytrzymałością na trudy wojenne, mimo pozorów wąłości.

Natychmiast po przyjściu poszedł zameldować się majorowi Zawiszy. Zastał go leżącym na ziemi wraz z adjutantem, chorążym Prawdżicem, i obydwaj pilnie studyowali mapę sztabu generalnego, nie zważając na głośne rozmowy, nawoływania i śpiewy opodał rozłożonych legionistów.

Rewera stanął wyprostowany i przemówił głosem dźwięcznym:

— Melduję posłusznie, że z rozkazu komendy głównej przybyłem wraz z plutonem liczącym dwudziestu ludzi na służbę i pod komendę pana majora.

Zawisza podniósł z mapy swą twarz młodą, z lekkim, czarnym zarostem, i rzekł przyjaźnie:

— Dziękuję. Ile kilometrów zrobiliście, panie chorąży, od wyruszenia.

— Około dziesięciu.

— Pluton jest tedy mniej zmęczony od mo-

ich żołnierzy... Po obiedzie zgłosi się pan do mnie.

— Według rozkazu.

— Nie znam was, panie chorąży, dawno służyście?

— Od początku wojny, ale ranny pod Kielcami, wyszedłem świeżo ze szpitala. Nazywam się Rewera.

— Miło mi poznać, — podał mu rękę.

— Witaj kolego! — uśmiechnął się adiutant Prawdzic, — wkrótce poznamy się bliżej.

— I ja tego pragnę, — i jeszcze jedno pytanie. Czy szwadron Krzysia na postoju?

— Porucznik Krzyś niedawno wrócił z rekonesansu, — odpowiedział uprzejmie Zawisza, — znajdziecie go na łące, bliżej rzeki, na lewo.

Skreślił na lewo i kroczył obok karabinów stojących w kozłach. Większość legionistów poukładała się na wonnej trawie z plecakami pod głową, i rozmawiali ze sobą, niektórzy czytali, inni stali z menażkami w rękę, spoglądając niecierpliwie w stronę dymiącej kuchni polowej.

Legioniści, niemal wszyscy bez wyjątku, byli młodzi, a niektórzy zaledwie wyrosli z wieku pacholęcego. I wszyscy byli pełni wesela i radości. Na piersiach mieli przypięte gałązki bzu, czeremchy, konwalii, sasanek, że

widząc ich rozjaśnione twarze zdawało się, iż idą na wesele, zabawę, tańce.

— Czy ten parzygnat upitrasi raz ten obiad,
— zawołał głośno, z żalem, blondyn puculo-
waty.

— Cicho, Sobek! bo jak kucharz się dowie o parzygnacie nie pozwoli ci wylizać kotła, — zaśmiał się kolega z innej grupy.

— Ja nie liżę jego łap jak ty, ażeby mi dodał kawałek mięsa, — odciął się Sobek.

Snać było w tem coś prawdy, bo przeciwnik Sobka krzyknął:

— Milcz ty zatracony rekrucie!

— Ho, ho, ho! — zawołał Sobek, — odskoczyłeś ledwie trzy tygodnie odemnie, a nosisz nos wyżej pępka.

— A ty, Sobek, pod pępkiem, — krzyknął inny, co wszystkich rozśmieszyło.

Rewera szedł dalej odmierzoną, wojskowym krokiem i mijał grupę, w której kwitł uczniowski handel.

— Słuchaj Józik, daj mi twój kawałek szrapnela, odleję ci pierścień.

— Mądryś, jeden mnie, a dziesięć sobie, — zaśmiał się drwiąco Józik.

— Więc, co chcesz?

— Daj mi ten „mental“, coś go zabrał Moskalowi, gdy wziąłeś go do niewoli.

— Szukaj, Józik, głupiego... ten „mental“, to moje trofeum.

Wreszcie doszedł do postoju kawaleryi przydanej Zawiszy i na skraju ujrzał leżącego na kocu Krzysia, rozkoszującego się promieniami słońca.

— Stacho! — zawołał serdecznie.

Zawołany zerwał się na równe nogi, mundur spadł mu z ramion, a on przysłoniwszy oczy od słońca odpowiedział radośnie:

— Głuchowski! a ty skąd?

Uścisnęli sobie ręce, ucałowali się serdecznie, byli to bowiem przyjaciele z ławy szkolnej, a chociaż później Rewera-Głuchowski, syn doktora z Grodna, poświęcił się studjom nad językami romańskimi, i lata przebywał za granicą, jednak obaj szukali siebie i widywali się zawsze kilka razy do roku.

Dopiero nagły wybuch wojny, niemożność korespondencyi z zagranicą przerwały ich stosunki.

— Skąd się tu wzięłeś? I to chorążym?

— Właśnie tą samą drogą, co i ty, — zaśmiał się, — na wieść o naszej walce rzuciłem studia, Paryż i stanąłem w szeregu.

— I gdzie się ukrywałeś?

— Zaraz na początku, po nominacyi, byłem ranny... wracam ze szpitala.

— A teraz tu?

— Zostałem odkomenderowany i przed chwilą meldowałem się Zawiszy.

— Głodny jesteś?... Hej, Julek! Julek! — a gdy nadbiegł chłopak, w fartuchu niegdyś białym, rozkazał: — dawaj na obiad co masz najlepszego, wyjmij koniak i tę ostatnią butelkę węgrzyna, i żywo podawaj!

— Byłem pewny, że jesteś w naszym wojsku, dopytywałem się o ciebie, — mówił Rewera wyciągając się na kocu, — nasłuchiwałem się o tobie, ale nigdzie spotkać cię nie mogłem.

— Z początku byłem w uzupełniającym batalionie, a gdy przyszedłem na front, pytałem również o ciebie.

— Jeśli o Głuchowskiego, — uśmiechnął się, nikt mnie nie zna. Ze względu na ojca i tak podejrzanego przez Moskali, nazwałem się Rewera, a ty dla żony: Krzyś! Zawsze romantyk! — zaśmiał się.

— Boże, czyż to zbrodnia kochać? — śmiał się Tożyński, — i wiesz, gdyby nie ten pseudonim, możebym zapomniał, że mam żonę.

— I ja to samo odczuwam, — rzekł Rewera, — całą romanistykę i moje studia dyabli wzięli, od chwili gdy jestem w polu.

— Bo wiesz, — mówił zamyślony Tożyński, — to nie jest to, co mówił Porwa, że większa miłość pożera mniejszą, ale gdy idzie walka o najpierwsze i najwyższe dobra, bo o życie

mego narodu i moje... reszta spraw odpada jak łuski niepotrzebne i maleje do nicości.

— Hm... może i tak... ale czy to nie są pozory... Czy tamte sprawy osobiste nie są tylko przygłuszone; bo statecznie człowiek jest egoistą i dąży do osobistego szczęścia.

— Ach, egoizm! — uśmiechnął się drwiąco, — póki nie byłem na wojnie nie wiedziałem co znaczy egoizm. Tu dopiero ujrzałem go naгим, bez obsłonek... To są bajki dla dorosłych dzieci, o miłości bliźniego, o altruizmie, o poszanowaniu własności, o współczuciu dla słabych i bezbronnych... Tu gra idzie nieustannie o życie, a reszta to niepotrzebne fatałaszkі.

— Tak... wojna jest straszną, — westchnął Rewera, — gdy w zdobytej miejscowości widzi się trupy kobiet, dzieci, starców... gdy przejdzie się przez szpitale wojenne...

— Nie! Nie! Mój kochany! — zawołał Krzyś, — wojna jest rozkoszą i radością, weselem i szczęściem, gdy za nią świta dzień wolności.

— Przerwałeś mi, a miałem ci to samo powiedzieć, — rzekł Rewera. — A gdzie byłeś dzisiaj?

— Przeszukiwałem lasy, — wskazał ręką na dalsze wzgórza odcinające się od jasnych, umajonych pól granatową linią, — to męczy konie, a nudzi ludzi.

Nadbiegł Julek, dawniej chłopak z lokalu restauracyjnego, został z tego tytułu mianowany kucharzem. Co prawda gotował mniej niż średnio, ale po uciążliwych marszach, przy głodzie i niezwykłym apetycie stołowników, potrawy przez niego gotowane uchodziły za dobre i smaczne.

Obok leżących postawił na kocu dwa kubki cynowe, każdy z łyżką, widelcem i nożem.

— Co masz dzisiaj na obiad? — spytał Krzyś.

— Krupnik, sztuka mięsa i kasza jęczmienna.

— To samo było wczoraj, nie mogłeś zgotować co innego?

— Nic innego nie było w intendancji, bo spóźniła się dostawa.

— Ach, ta nasza intendancja zawsze niedomaga, — narzekał Krzyś, — Julek a gdzie koniak?

— Zaraz przyniosę.

— Co dasz na przekąskę?

— Chleb, sól i słonina.

— Czy ta sama? Czuć ją.

— To tylko z początku, — uśmiechnął się Julek, — ale mogę ją przysmażyć z cebulą... le dwie dwie cebule wycygałem.

— Dawaj z cebulą lub bez, — odezwał się Rewera, — ale dawaj, bom głodny.

— Zaraz! — pobiegł Julek.

— Ty, Stachu, — żyjesz wspaniale, — uśmiechnął się Rewera, — masz koniak, wino, słoninę, chleb... a u nas w piechocie bieda aż piszczy.

— To вина komendanta kompanii. W mym szwadronie każdy zje do syta. Zresztą jem z kotła, jak moi podwładni... a te niezwykle dodatki na ufetowanie ciebie są owocem sprytu Kuby Brzozy.

— A kto jest komendantem twojej kompanii?

— Hannibal.

— Znam go. Młody szatyn, niesłychanej odwagi w boju, zresztą rumieniący się jak panna i byle co go onieśmiela.

— Otóż to, — westchnął Rewera, — intendatura zbywa go niczem, a on nie umie się postawić.

Julek przyniósł flaszkę koniaku, chleb, sól, słoninę przysmażoną z cebulą, której zapach podniecił i tak bardzo dobry apetyt dwóch przyjaciół.

— Zostawiłem go przy czwartej kompanii, a plutonowy postara się o dobry obiad dla nich.

Znów przypili, przegryźli, i gdy w menażce z przysmażoną słoniną pokazało się dno, przyniósł Julek dwie porceje krupniku jęczmienego i nalał do kubków. Następnie podał mięso gotowane, wprawdzie było twarde i łykowate,

ale obydwaj mieli zdrowe ostre zęby i doskonały apetyt.

— Po kaszy, dasz nam herbaty, — rozporządził Krzys.

— Już gotuję, — zabrał Julek próżne po krupniku cynowane kubki.

Gdy przyniósł w menażkach kaszę jęczmienną, okraszoną słoniną, rzekł Rewera, który już pierwszy głód zaspokoił:

— Stachu, a nie żal ci komfortu dawnego?

— Ani mi się śni, zaśmiał się, — tu u nas tak wesoło, serdecznie i rozkosznie, że za niczem nie tęsknię, i tak chciałbym żyć i umierać.

— Ach, zapomniałem! — zawołał Rewera, — mam kilka słów od twojej żony, — szukał w pugilaresie.

— Widziałeś ją, — zawołał zdumiony. — Gdzie? Kiedy?

— W kwietniu na stacyi... przy skrzyżowaniu pociągów, — podał kopertę zamkniętą.

Tożyński szybko otworzył i czytał. List był pisany ołówkiem, na poczekaniu, dużo było w nim uczucia, więcej tęsknoty, a najwięcej obawy o zdrowie i życie męża. Zresztą ogólne o Władysiu i gospodarstwie.

Na wrażliwej twarzy Tożyńskiego widoczne było rozczerzenie, ale szybko się opano-

wał, i po przeczytaniu miał już swój zwykły, wesoły wyraz z odcieniem surowości.

— Dziękuję... jak wygląda żona?

— Dobrze... może trochę przybladła.

— A tak... podróż koleją zawsze ją męczy... I powiedz, jakim sposobem dostałeś się w granice Rosyi?

Julek przyniósł herbatę w tych samych kubkach z krupniku i trochę oczek tłuszczu pływało w gorącym, mętym, niepewnej barwy napoju, zwanym herbatą.

— Julek! Znów źle wymyłeś kubki! — upomniał go Krzyś, — tłuszczyk pływa.

— Nie miałem, panie komendancie, gorącej wody pod ręką, ale zebrałem oczka... jakieś zabłądziły.

— Stachu, wszystko jedno, i tak mamy w żołądku krupnik, — uśmiechnął się Rewera.

— Julek uważaj na drugi raz!

— Według rozkazu, panie komendancie.

— Czy spotkałeś, Stachu, kolegów naszych tutaj?

— Zaraz... wpierw powiedz, jak się dostałeś do Rosyi?

— Po szpitalu, wyznaczono mi dwutygodniową rekonwalescencyę. Umyśliłem odwiedzić rodziców i skorzystałem z dawnych znajomości z Hiszpanami w Paryżu; otrzymałem legalny pasport hiszpański, no i przez Rumunię poje-

chałem, jako Don Sebastiano do Serro Azul, do Grodna.

— Sentymentalna eskapada, — zaśmiał się drwiąco Krzyś.

— Każdy z nas ma swoją głupotę... no, a kiedzy?

— Mówiono mi, że są niektórzy, ale nie spotkałem się z nimi. Jest tu Janek Kański, pamiętasz go?

— Trochę, nie bardzo zgrabny, no i niezbyt lotny.

— Ten sam, ale nie poznałbyś go. Kilka miesięcy wojny zmieniło go do niepoznania na korzyść, a swoją drogą zawsze pokutuje w nim romantyk, nawet na wojnie.

— Taki kochliwy? — uśmiechnął się Rewera.

— Ależ nie, kobiety mu nie w głowie, podobnie jak nam, lecz zawsze gotów do nadzwyczajnych przygód.

— Gdzie służy?

— W batalionie Zawiszy.

— Nie w kawaleryi?

— Był, ale z własnej ochoty przeniósł się, jako chorąży do piechoty, bo uważał, że tam będzie pożyteczniejszy.

— I ja z tego samego powodu służę w piechocie.

Odezwał się pierwszy sygnał trąbkowy do

zbiórki. Rewera wstał szybko i na pożegnanie spytał:

— Kiedy się zobaczymy, Stachu?

— Jeśli się uda, dziś wieczorem, zaproszę Kańskiego i kilku innych.

— Dobrze... do widzenia.

Przyspieszonym krokiem szedł w stronę Zawiszy, omijając legionistów, z których jedni ścigali się do swych plutonów; drudzy porządkowali plecaki, niektórzy klęli na ciężary i odciśnięte ramiona, inni zawieszali chlebaki, ścigali paski ładownic, poprawiali bukiety kwiatów na piersiach...

Rewerę nie interesowały te zajęcia żołnierskie, bo zżył się z nimi w czasie swej służby.

Równocześnie z nim podeszli do Zawiszy chorąży piechoty i podporucznik ułanów.

Zawisza, w ubraniu do marszu, trzymał w lewej ręce mapę złożoną, w prawej szpicrutę, którą uderzał się po cholewach butów.

Gdy wszyscy trzech zbliżyli się i wyprężeni salutowali, oddał im ukłon i rzekł krótko:

— Mapy do ręki.

Każdy z oficerów stojących przed majorem wyjął mapę i wyszukawszy miejsce postoju czekał.

— Obok naszego postoju idzie droga w kierunku wschodnio-południowym, czy jest?

— Tak.

— Pod krzyżem, czy figurą rozdwaia się droga na początku lasu. Jedna prowadzi na północny wschód, a druga na południowy wschód, i obydwie kończą się mostami nad rzeką Olszanką, — wskazał na rzeczkę przepływającą przez łąkę. — Ten las, nie wychylając się z niego, przeszuka z dziesięciu ułanami podporucznik Scipio, chylając się z lasu. Rozumie podporucznik?

— Według rozkazu, — salutował słuźbiście.

— Droga leśną na lewo pójdzie chorąży Rewera z dziesięciu żołnierzami, jako patrol wywiadowczy; zaś chorąży Janek z dziesięciu żołnierzami, również jako patrol wywiadowczy, pójdzie drogą na prawo... Jak widać z mapy, rzeczka Olszanka opuściwszy las robi łuk, wygięty ku wschodowi. Brzegi z jednej i drugiej strony są błotniste, a z każdego z dwóch mostów, o ile jeszcze istnieją, prowadzi na brzeg wschodni, grobla wązka z młynem. Obowiązkiem obydwóch patroli jest zbadanie: czy droga wolna? czy mosty w porządku?... Chorąży Rewera, przeszedłszy most, przeszuka wioskę Szuwary i obsadzi ją... Chorąży Janek po przejściu Olszanki obsadzi wioskę Zabłocie... Do każdego z pieszych patroli podporucznik Scipio doda po jednym ułanie dla szybszego przesłania raportów, ale dopiero po przeszukaniu wyznaczonego mu lasu... Skończyłem!... Cze-

kam raportów przed zachodem słońca, — salutował na znak pożegnania.

I jeden, i drugi chorąży szli w tym samym kierunku, i po chwili odezwał się Rewera:

— Zdaje się, że znamy się dawniej.

Janek spojrzał przelotnie na towarzysza i odpowiedział:

— Wprawdzie nie mogę sobie przypomnieć, ale i tak służąc jednej sprawie jesteśmy już przyjaciółmi.

— A wiesz, Janku, — uśmiechnął się Rewera, — powiedziałaś to więcej niż dobrze i Stach miał rację, że zmieniłeś się na korzyść.

— Jaki Stach? — spytał zdziwiony.

— Ano, Krzyś dzisiejszy.

Teraz Janek przypatrzył mu się baczniej i zawołał:

— Głuchowski!

— O, przepraszam chorążego Kańskiego, nazywam się Rewera, — zaśmiał się.

— Tak samo, jak ja, Janek... ale że nie poznałem ciebie, dawno służysz?

— Prawie od początku, ale z tego sześć miesięcy w szpitalu. A ty?

— Prawie dziesiąty miesiąc w polu, licząc w to odpoczynek w Kętach.

— I nie byłeś ranny? — dziwił się.

— Trzy razy, ale lekko i po kilku dniach peł-

niłem służbę... Tu moja kompania... idę po pluton, — podał mu rękę.

— Zobaczymy się na drodze, — pożegnał go Rewera.

Patrol wywiadowczy Rewery był pierwszy na drodze, niemal równocześnie z patrolem ułańskim, i mniej więcej dopiero w połowie drogi do Krzysia, gdy Rewera odpoczywał z patrolem, dopędził go Janek.

— Cóżęś tak gnał? — spytał z pewną pretensją, cierpiała bowiem jego ambicya służbiści, że inny go wyprzedził.

— Pilno mi do Moskali, — zaśmiał się Rewera, — tak dawno ich nie widziałem.

— I my od dwunastu dni idziemy i nie spotkaliśmy ich, tylko patrole ułańskie spotykały się z kozakami, ale kozacy nie są żołnierze, byle ułani, a oni w rozsypkę.

— Siadaj Janku obok... Co do kozaków, to znane rzeczy, ale że ich piechota, chłop w chłopu nie dotrzymują ataku na bagnety, bardzo mnie dziwi.

— Zdaje mi się, że przyczyną klęsk Moskali, jest brak ducha, brak idei.

— A może, — mówił z rozmysłem Rewera, — dawniej wystarczał im car i jego wola, ale socyalizm i nihilizm obniżył pojęcie słowa: car, a do patryotyzmu jeszcze nie dorośli.

— Co mi po dociekaniach, — zaśmiał się Ja-

nek, — tak czy owak bijemy Moskali, a w tem rzecz... Kto twoim komendantem?

— Hannibal.

— Dobry żołnierz i odważny. Wiesz, że raz widziałem go stojącego nad rowem i rozmawiał z legionistami. Naturalnie Mochy wzięły go na cel, kule jak osy latały koło niego, jedna przeszła mu czapkę na wylot, a on był spokojny. Prawie przemocą wciągnęli go żołnierze do rowu, a gdy mu robiono wymówki, odpowiedział spokojnie: — nie zginę, jeszcze nie mój czas.

— Tak... to odważny oficer, ale takie stawianie nad rowem bez potrzeby nie podoba mi się... nie lubię popisów.

Ta krytyka dotknęła niemile chorążego Janka, sam bowiem lubił tego rodzaju brawury, jak je nazywał: kpiny z kul moskiewskich, i odrzekł:

— To nie żaden popis, ale czasem trzeba podnieść odwagę i zapal żołnierzy, zwłaszcza wobec wielkiego niebezpieczeństwa.

— No, tak, ale wtedy oficer spełnia swój obowiązek, — powiedział obojętnie Rewera. — A kto jest komendantem w twojej kompanii?

— Porwa.

— To dzielny oficer, słyszałem o nim dużo dobrego.

— I w tem co słyszałeś, — mówił gorąco Janek, — nietylko niema przesady, ale z pewno-

ścią niedocnienie jego zalet. Jako komendant jest zdolny, energiczny, śmiały a ostrożny, i serdeczny przyjaciel oficerów swoich i żołnierzy.

— Dawno go znasz?

— Przed wybuchem wojny był u Krzysia i u mnie.

— Co tam robił?

— Agitował, i był zachwycony naszą okolicą.

— No tak, ucisk silniejszy w Siedleckiem i Lubelskiem wywołał pożądaną reakcyę. Czy dużo zwerbował?

— Zabrakło czasu... ale zawsze poszedł Ku-ba, Maciej, to z Zalesia, no i ja z Jędrkiem, — kończył z leciutkiem wahaniem.

— Któż to Jędrzek?

— Parobczak z mojej wsi, — odpowiedział ciszej, — dziś sekcyjny, — wskazał oczyma na ludzi ze swego patrolu.

— Czy ten szatyn?

— Tak jest.

— Wygląda na śmiałego żołnierza.

— O, tak... w jego wyobrażeniu nie istnieje niemożliwość.

— Dobry nabytek w plutonie i w patrolu... no, w drogę... słyszę tupot koni.

Zanim doszli do rozstajnej drogi spotkali wracający patrol ułanów.

— Jest co nowego? — spytał Rewera porucznika Scipiona.

— Zupełnie cicho... ani żywego ducha w lesie, zresztą większym niż się zdawało, bo będzie miał dobre trzy włoki.

Gdy z lasu spojrzałem na wieś, po drugiej stronie rzeki, wydała mi się niezdrowo cicha, — uśmiechnął się. — Nie było jednak rozkazu zbadania i nie badałem.

— A która to wieś? — spytał Janek, — bo jest ich dwie.

— Szuwary, bo w stronie północnej. Powodzenia! — salutował.

— Dziękujemy. A ułani dla nas?

— Stoją na drodze każdego z kolegów.

— Dziękujemy.

Wkrótce rozłączyli się i każdy poszedł drogą wyznaczoną.

Wprawdzie las był przeszukany przez ułanów, więc bezpieczny, ale Janek, stosownie do instrukcyi patrolu wywiadowczego, zostawił trzech legionistów pod kierunkiem sekcyjnego na drodze wraz z ułanem, trzech wysłał w las na prawo od drogi; a z trzema poszedł na lewo.

Las był mieszany, szpilkowy z liściastym, a jego świeżość i woń mile i kojąco podziały na Janka.

Idąc schylał się od czasu do czasu po fiołki lub konwalie i rozkoszował się ich zapachem.

Mimo tego miał czujne ucho i bystre oczy na wszystko dokoła.

Nagle posłyszał w gęstwie leszczyny jakiś szmer. Przystanął, nasłuchiwał, lecz szmer nie powtórzył się. Pewno ptak lub zając, pomyślał i poszedł dalej. Do uszu jego doleciał cichy trzask suchej gałązki. Postanowił zbadać gęstwę leszczynową i z rewolwerem w ręku odchylił jedną gałąź, drugą, a gdy postąpił kilka kroków, ujrzał przyczajonego pod krzakiem człowieka.

— Chodź do mnie, bo strzelę, — rzekł głośno, a gdy postać zaczęła się dźwigać z ziemi, rozkazał: — Ręce w górę!... i do mnie.

Był to żyd w średnim wieku, dość nędznie i niechlujnie ubrany, z twarzą bladą, spoconą. Nogi uginały się pod nim, i szczękając zębami jęczał z cicha:

— Ja niewinny... ja niewinny.

Janek poprowadził go na bardziej otwarte miejsce, skinął na legionistę, będącego w pobliżu i rzekł:

— Zrewidujcie go obywatelu.

Równocześnie stanął cały patrol, gdyż w lesie i w zaroślach idzie się w ten sposób, że żołnierze patrolujący mają siebie na oku.

Rewizya była dość ściśła a przedmioty znalezione przy żydzie nie przedstawiały nic podejrzanego.

W czasie tej rewizyi Janek indagował:

— Skąd ty?

— Z Wólki Jastrzembowej... pachciarz... ja nie winien.

— Co tu robiłeś?

— Ja sobie szedłem do miasteczka, — wskazał na wschód, — ale ja się zląkł i wrócił... ja niewinien.

— Dlaczego nie szedłeś drogą?

— Jak ja zobaczył panów żołnierzy, ja się zląkł i schował.

— Kłamiesz! Nie mogłeś nas widzieć, bo droga ma liczne skręty.

— Ja słyszał... ja niewinien.

— Panie komendancie, czy zrewidować te jego zabłocone buty? — Spytał żołnierz.

Janek spojrzał na świeżo zasychające błoto na butach, a przypomniawszy sobie o mokradłach nadrzecznych spytał:

— Skąd to błoto na twoich butach? Las jest suchy.

Żyd na mgnienie oka zmieszał się, ale odpowiedział z jękiem:

— Tu wszędzie błoto, jak ja biegł, to ja nie patrzył gdzie błoto.

— Tak? Prowadź nas tą drogą, którą uciekałeś w las.

— Czy ja mogę pamiętać? Ja tak się bał, ale ja niewinny.

— Gdzie są Moskale?

— A poco mi Moskale? Niech ich nie ujrza moje oczy. Czy ja mało od nich dostał złego i bicia?

— To błoto jest z grobli, ty wracasz z tamtej strony rzeki i jesteś szpiegiem.

Żyd zatrząsł się, a nogi mu tak drżały, że gdyby nie podtrzymał go legionista, byłby upadł:

— Ja niewinny... ja niewinny... ja z Wólki...

— Powiedz, gdzie są Moskale, a nie będziesz wisiał.

Żyd trząsł się jak w febrze i w jednej chwili objął całe niebezpieczeństwo wyznania, że Moskale są niedaleko. Jeśli powie, przyzna się tem samem do szpiegostwa, i będzie powieszony, bo nie udało mu się dziś, uda mu się jutro szpiegostwo. Postanowił zaprzeczać wszystkiemu.

— Czy ja mogę wiedzieć, gdzie te złodzieje i rabuśniki? Oni byli trzy dni temu w Wólce. Oni jedli, pili, kradli, rabowali i oni poszli.

— Więc pokaż, gdzie zabłociłeś się, a uwierzę ci.

— Ja spróbuję, ale ja nie wiem, czy ja trafię.

— Zabierzcie,—zwrócił się do legionisty,—tego żyda. Związać ręce i przytroczyć go do konia ułańskiego.

— Ja niewinny... ja niewinny... jęczał żyd.

Janek szedł dalej z patrolem. Las się kończył, a na lewo od drogi, było niewielkie wzniesienie, z którego jednak można było obejrzeć okolicę.

Janek zostawiwszy patrol na skraju lasu, sam poszedł na zasiany żytem wzgórek. Żyto było już prawie wykłoszone i sięgało mu do pasa.

Na wzgórzu rozejrzał się.

Dolina Olszanki w tem miejscu, licząc od wzniesienia pod lasem do wzniesienia na przeciwległym brzegu, była szeroka na jakie tysiąc do tysiąca pięciuset metrów w linii powietrznej. Rzeczka tworzyła łuk długi, wygięty ku wschodowi, a od strony lasu, na jakie trzysta metrów, ziemia była pod uprawą. Następnie zielenił się pas mokrej łąki, przechodzącej bliżej rzeki w mokradła porośnięte szuwarami i trzcina.

Droga kołowa na drugą stronę rzeki była prosta, bez zboczeń, a przy moście od strony wschodniej stał młyn wodny, obecnie nieczynny.

Za młynem, na lekkim wzniesieniu, które stopniowo szło wyżej, rozsiadła się wieś Zabłocie.

W około panowała cisza przerywana nuceniem skowronka w górze, skrzeczeniem chruś-

ciela w trawach nadrzecznych, skrzekiem żab, a chwilami odzywało się niespokojne kwakanie kaczek, które zrywały się z mokradeł i okrażywszy okolicę, zapadały znowu w trzcinach i szuwarach Olszanki.

Zabłocie zdawało się puste i bezludne, chociaż Janek pilnie patrzył przez polową lornetę. Z żadnego komina nie wznosił się dym, nikt nie wychodził z domów, tylko słychać było skowyt psi, a w ogrodach gwizd wilgi i skrzek srok.

Gdy po krótkiej chwili znów spojrzał przez lornetę dostrzegł, iż w jednej z chat, stojących powyżej wsi otworzyły się drzwi, ktoś biało ubrany szybko przeszedł obejście i wpadł do szopy przez niedomknięte wrota. W innej znów chacie, bliżej drogi ktoś pchnął okno, które wypadło na ziemię, ale nikt nie wyszedł, ażeby je podjąć.

Zatem wieś nie jest bezludna, są tam jacyś ludzie, ale się ukrywają... kto wie czy nie Moskale?

Zeszedł ze wzgóрка i zarządził:

— Komendantem patrolu zostaje do mego powrotu sekcyjny Jędrək Berdysz. Gdyby we wsi byli Moskale i gdybym zginał, sekcyjny, dasz natychmiast znać do batalionu, a wszyscy z patrolu, będziecie bronić do ostatka przejścia przez rzekę... Teraz stać w ukryciu

i czekać, nie strzelać, póki nie zechcą sforsować przejścia, — salutował im i zwrócił się ku wsi.

Iść drogą wydało mu się zbyt niebezpiecznem, bo jeśli są Moskale po drugiej stronie, a przypuszczał, że są, na drodze stanowiłby dogodny cel dla nich. Zeszedł tedy na zasiane pola i miedzą pomiędzy żytem szedł w stronę rzeki, obserwując bacznie młyn i dalsze chaty.

Przeszedł już przeszło dwieście metrów i kończyły się wkrótce zasiane zagony, gdy stanął i przez lornetkę badał cichą wieś.

Nagle padł strzał z młyna, kula musnąwszy z boku lornetkę przeszła daszek czapki. Lornetka wypadła mu z ręki, a on chroniąc się przytulił się do ziemi. Jeszcze padły dwa strzały i nastała cisza.

Jędrek, podobnie jak inni żołnierze, był przekonany, że Janek został zabity, widzieli bowiem wytrącenie lornetki. Jędrek z wielkiego wzruszenia i żalu pobladł, zdusił jęk w sobie i rzekł do ułana:

— Widziałeś sam, co się stało, jedź, co koń wyskoczy do batalionu, zamelduj coś widział i dodaj, że będziemy bronili przejścia przez rzekę i czekamy rozkazów.

— Już wiem, — odrzekł ułan, — a co z żydem?

— Posadź go przed sobą i oddaj do batalionu.

Po wyprawieniu ułana rzekł Jędrek:

— Idę po komendanta... Piotruś obejmuje komendę patrolu, i nie strzelać, póki nie zechcą sforsować przejścia.

Szybko pobiegł na tę samą miedzę, po której szedł Janek, ale chociaż się kurczył i zgiął, jednak był widoczny w niezbyt wysokiem życie. Padły dwa strzały. Jędrek przykucnął do ziemi i posuwał się na czworakach, był bowiem jednym z lepszych pełzaczy. Ruch żyta zdradzał jego posuwanie się, zagrzmiały gęste strzały.

Gdy uciszyły się, rozpoczęła się gęsta strzelanina w górze rzeki, naprzeciw wsi Szuwały. Widocznie patrol Rewery posuwając się dostał się na pole obstrzału karabinów moskiewskich.

Jędrek posuwał się tedy ostrożnie i pełzał, ażeby się dostać do miejsca, gdzie według jego obliczenia padł Janek.

Wtem posłyszał głos znany sobie:

— Jędrek!

— Żyjecie paniczu! — zawołał uradowany, — chwała Panu Bogu, a nie ranniście?

— Nie. Dlaczego porzuciłeś komendę patrolu? Wracaj natychmiast.

— Dobrze, ale i wy ze mną paniczu, ja was

samego nie zostawię, tak mi Panie Boże pomóż.

— Ruszaj do patrolu, — rzekł groźnie Jank.

— A wy, paniczu? — spytał trochę oniesmielony.

— Zostanę.

— To i ja... a coby mi Haniś powiedziała, gdyby, co nie daj Boże, przytrafiło się co złego paniczowi?

To wspomnienie Hanisi rozculiło Janka i z resztką gniewu zawołał:

— Głupiś, Jędreku, jak but, — a po chwili dodał łagodniej: — na ten raz ci przebaczam... posłałeś raport?

— Według rozkazu.

— Kto twoim zastępcą?

— Piotruś.

— Dobrze... a teraz uważaj... Nie bez tego, ażeby Moskale nie chcieli przeszukać trupa i obedrzeć. Czy patrolowi nakazałeś spokój?

— Tak jest.

— Otóż, jestem pewny, że wkrótce ktoś od Moskali wyruszy na poszukiwanie, dlatego tu zostałem. Leż cicho, a gdy dam ci znak, gotuj strzał, a dobrze mierz.

— Nie chybię psubrata.

Leżeli bez ruchu, zaszyli w żyto, obydwa nasłuchiwali pilnie i ledwie czasami adganiiali

zbyt natrętne muchy. Chruściel, który obok w mokrych trawach żerował skrzecząc, wpadł niemal pod rękę Janka i wydawszy okrzyk trwogi szybko umknął.

Nareszcie posłyszeli daleki skrzyp drzwi. Nasłuchiwali... urwane dźwięki słów dochodziły ich... potem odgłos kroków, który stopniowo stawał się wyraźniejszy.

— Ida! — szepnął uradowany Janek, — gotuj broń!

— Już.

— Gdy zbliżą się, klęknieś, i pal! Ty bierz prawego, ja lewego.

— Wiem.

Jędrak przyłożył ucho do ziemi i po chwili szepnął:

— Idzie więcej niż dwóch... może trzech... o, zeszli na rolę... idą ku nam.

Janek nasłuchiwał, a gdy posłyszał wyraźnie rozmowę, szepnął:

— Na kolana w mig!

Huknęły dwa strzały. Jeden z Moskali padł na miejscu, to Jędrka strzał. Drugi raniony w ramię z obwisłą ręką i trzeci, który uszedł cało, biegli co sił w stronę młyna.

Janek wstał i strzelił z rewolweru dwukrotnie. Prawdopodobnie trafił, bo Moskal okrzyknął się, zachwiał, ale biegł dalej.

Dwa strzały Jędrka chybiły.

— Biegiem do swoich, ty na prawo, ja w lewo... a padnij!

Zaledwie ubiegli trzecią część drogi ku lasowi, gdy zaczęły grzmieć strzały karabinowe.

Padali na ziemię... pełzali czas jakiś... znów zrywali się do biegu, wreszcie dopadli lasu.

W tej samej prawie chwili na pozycję patrolu w pełnym biegu nadjechało pół szwadrona ułanów pod komendą Krzysia, który zobaczywszy Janka zawołał:

— Żyjesz!?

— Jak widzisz, — odpowiedział obojętnie.

— Raportowano, że padłeś od kuli.

— Padłem, to prawda, ale z własnej woli, nie chciałem być celem.

— Gdzie Moskale?

— We wsi.

Krzyś rozejrzał się w terenie i po chwili rzekł:

— A gdyby tak sforsować drogę?

— Nie radzę, — powiedział Janek z powagą, — młyn i chaty obsadzone, i pewno dalej są rowy i siatki... Zdaje się, że mamy do czynienia z linią obronną... dziwi mnie, że dotychczas armaty nie grają.

— A może to tylko oddział wywiadowczy i pierzchnie przy natarciu?

Krzyś wyjechał z lasu, ażeby dokładniej obejrzeć drogę, gdy sypnął się grad kul, które

poczęły gwizdać po lesie. Cofnął się tedy i rzekł do Janka:

— Szarża bez poparcia piechoty i artylerii jest tu niemożliwa.

Wkrótce nadjechał major Zawisza, starannie obejrzał teren cały i zwołał oficerów, do których przemówił:

— Moskale zamierzają bronić przejścia Olszanki. Korzystając z wysokich zbóży kopią rowy za wsią, na samem wzniesieniu. Nasz batalion stanie po drugiej stronie lasu, żadnych ognii, śpiewów, głośnej rozmowy. Z nastaniem nocy, my zaczniemy sypać szanice i rowy, wzdłuż cięciwy łuku rzeki, a mianowicie odcinek od zagięcia Olszanki do wsi Szuwały obejmie kompania pierwsza... Stamtąd do połowy cięciwy kompania druga... Od połowy cięciwy do drogi wiodącej do Zabłocia trzecia kompania... zaś czwarta, od drogi do końca łuku. Ułani pełnią straż na skrzydłach. Na lewem podporucznik Scipio z pół szwadronem, na prawem porucznik Krzyś z pół szwadronem. Jak najgoręcej zalecam spokój i ciszę, bo kopanie rowów pod strzałami, mogłoby nas drogo kosztować. Cisza i spokój! — salutował na znak pożegnania.

Zanim słońce zaszło, przyjechał wódz główny. Wysłuchał raportu, poczynionych zarządzeń, pochwalił, zalecił spokój i wysłał natych-

miast łączników w stronę operującej armii austriackiej.

W pół drogi spotkali się oni z patrolem austriackim wysłanym w tym samym celu.

Techniczna kompania zajęła się telefonicznym połączeniem, tak z dalszymi oddziałami wojska polskiego, jak również z armią austriacką.

VII.

Zapadał gęsty zmrok, a z mokradeł i rzeki podnosiły się mgły, które zasłaniały brzeg przeciwległy i płynęły w stronę lasu.

Zabezpieczając się przed możliwym napadem nocnym Moskali, rozciągnięto gęsty łańcuch straży wzdłuż całego łuku Olszanki z rozkazem, iż tylko na dany znak wolno strzelać.

Major Zawisza, któremu poruczono dozór nad robotami ziemnymi, obrał na chwilową swą kwaterę dąb rozłożysty, rosnący w pobliżu drogi wiodącej do Zabłocia i tu przyjmował raporty poszczególnych oddziałów.

Niebo wyiskrzzone, bez księżyca, który dopiero wschodził po północy zapowiadało noc cichą i pogodną.

Zaczęto kopać rowy, a robota nie była zbyt uciążliwa, ziemia bowiem nie stawiała wielkiego oporu.

Naturalnie nie obeszło się bez szczęku i dźwięku ryskali i łopat uderzających o kamienie, ale mgła nadrzeczna przytłumiała odgłosy.

Od strony Zabłocia rozległ się stuk siekier i młotów. Wkrótce nadbiegł legionista z raportem, że Moskale rozbierają most na rzece.

— Nic nie szkodzi, nie przeszkadzać im w tem i nie strzelać, — rozkazał Zawisza.

Legionom bowiem i majorowi zależało na tem, ażeby Moskale jak najpóźniej dowiedzieli się o kopaniu rowów i o rozmieszczeniu legionów.

Za chwilę przyprowadzono z łańcucha straży dwóch rozbrojonych żołnierzy moskiewskich, a legionista, który ich eskortował, meldował:

— Do naszej linii podeszli ci dwaj żołnierze rosyjscy, poddali się i złożyli broń.

Jedna latarka elektryczna rozświetlała chwilową kwaterę majora, szczelnie zasłoniętą od strony Zabłocia. Major zaśwycił drugą i spojrzał bystro na dobrowolnych jeńców.

Jeden z nich, niski, krępy brunet, nosił odznaki podoficerskie; drugi jasny szatyn był szeregowcem.

— Dlaczego porzuciłeś wojsko rosyjskie? — spytał major podoficera.

— Jestem Polak, przeciwko swoim walczyć nie będę. Czekałem sposobności, dziś się nadarzyła i przeszedłem do swoich.

— No, a ty? — zwrócił się do drugiego.

— Należę do partyi, przysiągłem walczyć

przeciw despotyzmowi cara i przeszedłem do was.

— Jak twoje nazwisko?

— Bartłomiej Trzos.

— Wiedz tedy Bartłomieju, — przemówił major, — że my, legioniści, nie jesteśmy wojskiem partyi, lecz walczymy przeciw caratowi, jako Polacy.

— A przecież i ja Polak, tylko z partyi.

— My nie uznajemy żadnej partyi, wszyscy są Polacy i mają równe prawa, robotnik czy fabrykant, chłop czy szlachcic. Jeśli chcesz zostać u nas, musisz poddać się naszym prawom: posłuszeństwo bezwzględne i żadnej agitacji, a nie posłuchasz, sąd wojenny i kulka w łeb... Cóż ty na to?

— Niedoczekanie ich, ażebym wrócił, — rzekł z błyskiem nienawiści, — zostanę w legionach, będę posłuszny i żadnej agitacji partyjnej prowadzić nie będę.. Tak mi Panie Boże dopomóż.

— Już dobrze, a na znak wiary i zgody daj mi twą rękę.

Te słowa rozczyliły Bartłomieja, z pewnem zawstyżeniem podał rękę mówiąc:

— Ja przecież Polak i na Moskala zawsze pójdę z ochotą.

Po pytaniach ogólnych: z jakiego pułku,

roty, jak nazywa się pułkownik, jak brygadyer i t. p., zwrócił się major do podoficera:

— Wczoraj było dwa pułki, ale popołudniu nadciągnęły nowe dwa pułki, a potem jeszcze jeden razem z artyleryą i kilkoma setniami kozaków.

— To wszystko?

— O, nie, mówiono, że od Oładowa idzie cały korpus.

— I gdzie idą?

— Mają oczyścić Królestwo i zająć Kraków.

— Wcale piękne zamiary, — zaśmiał się Zawisza, — a pułki jak są rozstawione?

— Wzdłuż rzeki, trochę po chatach, ale większość przy rowach i robią na gwałt.

Więc dlatego nie zapalono wsi, ażeby ukryć robotę, pomyślał major i spytał:

— Daleko rowy się ciągną?

— Górą wsi i w dół rzeki, na jakie dwie, trzy wiorsty. Na samym końcu jest folwark na górze, tam staną kozacy i dragoni.

Major spojrzał na mapę, poszukał i rzekł:

— Pewno Jaworzynka...

— Tak, tak... mówił mi o tem sierżant dragonów, mój znajomy.

— A gdzie stoją armaty?

— Część armat ustawiali wieczorem na przeciw lasu... zresztą nie wiem.

Rozpytawszy się o szczegóły: czy jest ży-

wność; amunicya; gdzie są składy; gdzie stoją konie; major zawołał jednego z podoficerów, pełniących służbę i rozkazał:

— Plutonowy Iskra zaprowadzi tych dwóch żołnierzy do pana pułkownika, któremu zatelefonuję o nich, — i dodał uprzejmie do żołnierzy: — spotkamy się we wspólnych szeregach.

Po ich wyjściu przystąpił do telefonu, zdał raport o dwóch żołnierzach i dodał:

— Może pan pułkownik zechce ich przesłuchać i wobec wiadomości o rozlokowaniu wojsk rosyjskich przesłać mi swe rozkazy.

Pułkownik, po przesłuchaniu zbiegów, których odesłał do batalionu uzupełniającego, gdzie ćwiczyli się w mustrze napływający ochotnicy z Królestwa zawiadomił szefa sztabu przy głównej komendzie legionów o sile i rozlokowaniu wojsk rosyjskich.

Wkrótce przyszedł rozkaz, ażeby batalion Zawiszy przesunął się w dół Olszanki aż do folwarku Niedobory i umocnił swą pozycję rowami, a na wysunięte prawe skrzydło do Niedoborów, wyznacza się dwa szwadrony ułanów, pod komendą porucznika Krzysia, dla pilnowania jazdy rosyjskiej, zakwaterowanej w Jaworzynce. Zaś rowy w łuku rzeki, zajmie pułk drugi.

Zaledwie dniało, gdy armaty rosyjskie za-

częły ostrzeliwać las, przypuszczając, że w nim kryje się nieprzyjaciel.

Gdy padły pierwsze salwy armatnie, cały las zadygotał i wszczął się niezmierny huk, trzask, jęk. Jedne drzewa przecięte w połowie, padały łamiąc gałęzie sąsiednich drzew; drugie rozłupane wzdłuż waliły się z jękiem; tam granat wybuchnął w korzeniach sosny, wyrzucił ją w górę i padła strzaskana opodal, leciały konary jak liście jesienią i niektóre drzewa stały nagie, okaleczone. Nie szczędziły kule praojców leśnych, starych dębów, z rozgłosnym jękiem, rzekłbyś ludzkim waliły się na ziemię.

Inaczej granaty, a inaczej szrapnele huczały i gwizdały w leśnem, cichem powietrzu, przepojonem woniami drzew, mchów, kwiatów. W poświście kul była jakaś groza nieuniknionej zagłady i śmierci.

Gdy huk armat przycichł na chwilę, dał się słyszeć charakterystyczny turkot latawca, krążącego na znacznej wysokości.

Legioniści w okopach spojrzeli w górę i rozszedł się szept: — Austriacki.

Wnet ze strony rosyjskiej sypnęły się strzały w kierunku latawca, szrapnele jednak, znaczne po białym dymku przed wybuchem, wyrzucały ze siebie kule poniżej aeroplanu,

który wspaniale, jak ptak olbrzymi, wzbił się w górę.

Gdy mgły opadły, artyleria rosyjska zaczęła ostrzeliwać rowy, wprowadzie bez szkody w ludziach, ale wyrzucony przez granaty piasek, zasypywał rowy i przeszkadzał w strzelaniu.

Na swe stanowisko zajęła artyleria polska. Jej pierwsze dwa strzały były rodzajem wywiadów, trzeci zmusił baterię rosyjską do milczenia, granat bowiem uderzył w jaszczyk ze szrapnelami i spowodował wybuch, który uszkodził znacznie działa rosyjskie, pozabijał dosyć ludzi i koni.

Teraz skierował się polski ogień armatni na Zabłocie i wieś zaczęła płonąć.

Na prawem skrzydle w dół rzeki, batalion Zawiszy przy wschodzie słońca nie zdążył jeszcze wykopać rowów, z czego korzystali Moskale i zasypywali linię strzałami karabinowymi.

Zawisza zaprzestał roboty około rowów, oszczędzając legionistów, i rozkazał skrzydłowej kompanii czwartej, zostającej pod komen-dą Porwy, rozwinać się w tyralierkę i odstrzeliwać się Moskalom, którzy również w tyralierce zbliżyli się niemal do brzegów rzeki.

Nadbrzeżny teren od strony legionistów czwartej kompanii, składał się z niewielkich

pasów ornej ziemi, poprzedzielanych krzakami i dołami po świeżo skarczowanym lesie; bliżej rzeki rozciągała się mokra łąka, dość gęsto porośła wikliną i łożą.

Teren taki nadawał się wybornie do walki tyralierskiej, z powodu możności ukrywania się przed strzałami wroga.

Porwa, stanąwszy przed kompanią wydał rozkaz:

— W kierunku brzegu przeciwległego, wprost na rzekę! — pierwszy i trzeci pluton w tyraliery! Drugi i czwarty pluton w rezerwie.

Przed pierwszy pluton wystąpił Janek Kański, jako komendant i zakomenderował gromko:

— Kierunek na brzeg przeciwległy. Pluton w tyraliery wprzód na prawo!

I poszedł pierwszy ze sekcyą, ażeby utrzymać kierunek, reszta plutonu sekcyami rozwinęła się w linię.

Zaledwie uszli trzydzieści kroków, Moskale wzięli ich na cel.

W tej walce żołnierz jest niemal samodzielny, sam szuka ochrony, sam strzela w czasie dowolnym, sam upatruje swego wroga.

Wbrew zwyczajowi, chorąży Janek wziął ze sobą swój karabinek magazynowy i rozpoczęła się walka na upatrzonego.

Moskale, których linia była gęściejsza, padali rażeni kulami, ale i trzech legionistów uczynili niezdolnymi do dalszej walki.

Odszczególniała się wśród Moskali zwłaszcza jedna grupa, starannie wkopana w ziemię, której strzały wprawdzie nie zawsze dosięgały legionistów, ale dość było podnieść głowę lub rękę wysunąć, ażeby celny strzał z tej grupy przedziurawił bodaj czapkę, albo uderzył w miejsce gdzie ręka była.

Janek miał tych czterech na oku i udało mu się przestrzelić jednemu lewą rękę, ale inni byli teraz bardzo ostrożni, i oddawali strzały rzadko.

Krzyś, który z ułanami o jakie sześćset metrów w głąb a czterysta metrów w dół rzeki zajmował folwark Niedobory, widział doskonale walkę tyralierską, i ci celni moskiewscy strzelcy irytowali go.

To rozdrażnienie Krzysia podzielał inny świadek tej walki, sekcyjny w jego szwadronie, Maciej Lin, który po starej znajomości, czuł się upoważniony do zrobienia głośnej uwagi:

— Niema wśród tych piechurów dobrego strzelca i pozwalają się dziurawić tym psubratom.

— Kiedyś taki zuch, Macieju, — uśmiechnął się Krzyś, — idź na ochotnika.

— Ochotnie, panie komendancie, tylko czy mi pozwoli pan kapitan pójść w tyraliery?

— Powiesz, panu kapitanowi Porwie, że ja cię posyłam, to wystarczy.

Ładna twarz Macieja rozjaśniła się, schwytał swój krótki karabinek ułański, i biegł wprost do kompanii czwartej nie zważając na odkryty teren, nad którym gwizdały kule.

Dobiegł, zameldował się Porwie, a otrzymawszy pozwolenie, skoczył w linię tyralierską.

Zanim stanął wśród tyralierów, kula wysłana przez celną trójkę moskiewską urwała mu wiszącą z lewego boku manierkę.

— Poczekaście psubraty, — syknął przez zaciśnięte zęby i przypadł za krzakiem tarniny.

Janek, który znał Macieja, widząc go nadbiegającego ucieszył się i zawołał wesoło:

— Macieju, wystrzelaj tych borsuków przeklętych.

Maciej, chociaż mu się ci i owi nawijali na strzał, czekał cierpliwie, a jako myśliwy umiał być cierpliwym.

Ta beczynność Macieja niecierpliwiła legionistów i siaki taki drwił:

— Boi się pudła!... Czekaj aż mu się zaprezentuje!... Nie zjesz chleba z tej maki!

Maciej czerwieniał z gniewu, ale nie odwracał oczu z trójki strzelców moskiewskich i na-

gle strzelił. Karabin Moskala wyleciał mu z ręki i padł na wzniesioną osłonę z ziemi. Moskal sięgnął prawą ręką po karabin, Maciej strzelił i zgruchotana ręka zwolna z trudnością została wciągnięta za osłonę.

— Wiwat! Wiwat! — zawołali legionieści, podziwiając celność strzałów.

Maciej zerwał się z miejsca, krzyknął uradowany:

— To dopiero pierwszy! — i wyszukawszy miejsce dogodniejsze, znów czekał cierpliwie.

Tuż na wierzchu piaszczystej osłony ujrzał błysk metalowy pierścionka na lewej ręce strzelca, wymierzył, strzelił i karabin bezwładny przechylił się na osłonie.

— To drugi! — krzyknął Maciej.

Jednak trzeci Moskal widząc celność strzałów nie czekał swej kolei, lecz chciał się wycofać z niebezpiecznej kryjówki i począł pełzać w kierunku swego frontu.

Raz nieostroźnie wychylił głowę i został na miejscu.

Śmierć tego Moskala, a uczynienie dwóch nieszkodliwymi podnieciły ambicję legionistów i na wyścigi starali się strzelać jak najcelniej, co widocznie mieszało Moskali, gdyż zwolna poczęli się wycofywać.

— Górą nasi! — wołali legionieści.

Wtem odezwał się znany im dobrze grze-

choć karabina maszynowego. O cofnięciu się i ucieczce mowy nie było, każdy na miejscu gdzie był, starał się ukryć jak najgłębiej. W całej nagości i grozie wyłaniała się z tego karabina kosa śmierci, która bezlitośnie i mechanicznie zmiata życia ludzkie.

Maciej przed rozpoczęciem śmiertelnego grzechotu leżał w dużej jamie po wykarczowanym pniu, teraz wgłębił się bardziej, a gdy obstrzał posunął się na prawo, wyrzwał, śledząc skąd to lichy pluje kulami.

Ujrzał, że na strychu jednego z domów, z pomiędzy krokwi odartych z gontów i łat widnieje maszynowy karabin, a obsługa tegoż pewna siebie stoi obok, pełniąc swą służbę.

Tu i ówdzie wśród tyralierów dawały się słyszeć jęki i postękiwania, co obudziło w Macieju wściekły gniew i pragnienie zemsty.

Wysilał się na celność strzałów, a każdy z nich leciał na szybkich skrzydłach śmierci. Wkrótce obsługa została wybita, karabin przestał grzechotać.

Wtem zabrzmiała trąbka do odwrotu. Tyralierzy spełnili swój obowiązek, ogień nieprzyjacielski skierowali na siebie, a legioniści dokonczyli kopania rowu.

Działalność Macieja Lina obserwował z wielkiem zajęciem Krzyś i był zadowolony, że jego ułan sprawia się tak dzielnie.

Wtem posłyszał znany sobie głos Kuby Brzozy:

— Panie komendancie, melduję posłusznie, że znalazł się nasz koń.

— Jaki? Alboż zginął, który?

— Nasz, panie komendancie, z Zalesia.

— Zwaryowałeś? Czy co? Gdzie on jest?

— Tam, — wskazał na przeciwny, za rzeką folwark Jaworzynkę, — jak widzę pana komendanta, tak widziałem Mimi naszą.

Tożyński drgnął. Przed oczyma stanął mu dwór w Zalesiu, żona, Władysław, konie. Czy to możliwe, ażeby żona sprzedała Moskalowi swą ulubioną Mimi? Ułożyli się przecież i zgodzili się oboje, że Mimi zatrzymają. Spojrzał na Kubę i powątpiewał:

— To chyba nie Mimi, zdawało się tobie; skądby Mimi znalazła się tutaj?

— Przysięgnę, że to Mimi, czyż jej nie znam? Wśród tysiąca poznałbym ją po wygięciu szyi, po jej chodzie i odsadzie ogona.

— I kto na niej jechał?

— Zdaje mi się, że jakiś starszy oficer, bo wiódł trzy setnie kozaków.

Żomkowicz, przemknęło mu w myśli, on upierał się przy kupnie Mimi, groził, że w ten lub inny sposób ją dostanie. Pewno z naczelnikiem straży ziemskiej najechali dwór i przemocą wzięli. Zatrząsał nim gniew, oczy zabłyśły

złowrogo, zapalał zemstą i gryzł wargi do krwi, ażeby nie wybuchnąć przekleństwem i krzykiem. Pohamował się jednak i zmienionym głosem spytał:

— Gdzie ona?

— Tam panie komendancie, — wskazał na folwark Jaworzynkę.

Krzyś wpatrzył się w budynki folwarczne, rad byłby oczyma przejrzeć ściany i po chwili rzekł:

— Uważaj, kiedy Mimi wyjdzie, dasz mi znać... a pilnuj i natychmiast mnie zawołaj, gdziekolwiek będę i chociażbym rozmawiał z Bogiem czy dyabłem.

— Wedle rozkazu, panie komendancie.

Krzyś rozdrażniony nie mógł znaleźć miejsca i ażeby się otrząsnąć z gnębiących go obrazów najazdu dworu w Zalesiu, cynicznego zachowania się najeźdźników, upokorzenia i przykrości Krzysi, opuścił zabudowania folwarczne i zbliżył się do rzeki przez otwarte pole.

Nasłuchiwał. Bitwa była w pełnym rozwoju. I z jednej i z drugiej strony grały armaty, grzechotały karabiny maszynowe, rozbrzmiewały salwy ze strony Moskali i odstrzeliwania się legionistów z rowów.

Moskale nie żałowali amunicyi; prawdopodobnie dlatego tak gęsto walili z armat, ażeby usunąć i zniszczyć potrójne rzędy drutów przed

rowami legionistów i ułatwić sobie wzięcie rowów szturmem.

Gdy tak stał przez chwilę, nagle usłyszał niedaleko siebie gwizd kuli, po chwili druga wryła się w ziemię o jakie piętnaście kroków przed nim. Rozejrzał się i zobaczył kozaków przyczajonych za węglem stodoły w Jaworzynce i biorących go na cel.

— A psubraty! — syknął, — nauczę ja was strzelania.

Wrócił na folwark, kazał podać sobie karabinek, ładownicę i zmierzał do ogrodu, gdy zobaczył wracającego Macieja, który podszedł, salutował wypreżony i rzekł:

— Melduję posłusznie, panie komendancie, jestem z powrotem.

— Dobrze się spisałeś, jestem kontent z ciebie. Czy masz w ładownicy naboje?

— W prawej będzie pięć.

— Chodź za mną i masz tu jeszcze pięć nabojów.

Przyszli do rowu zarośniętego głogiem i kolczastą akacją, a oddzielającego ogród od pola ornego.

— Z Jaworzynki strzelali do mnie kozacy, — odchylił gałęzie, i wskazując mówił dalej:— Widzisz tę stodołę murowaną... z za węgła strzelało dwóch... Niema ich teraz, ja wyjdę na pole, może znów się pokażą.. Odległość nie

większa jest jak 1200 do 1300 metrów. Zresztą to twoja rzecz.

Krzyś wyszedł na otwarte pole i szedł normalnym krokiem. Może uszedł trzydzieści kroków, gdy Maciej strzelił. Kozak wypuścił karabin z ręki i runął na ziemię. Towarzysz jego usiłował podnieść leżącego, ale zaledwie się wychylił z za węgła, padł drugi strzał, po którym kozak rozkrzyżował ręce i legł obok pierwszego trupa.

Na folwarku w Jaworzynce wszczął się gorączkowy ruch. Krzyś wrócił do ogrodu i rzekł do Macieja przyjaźnie:

— Za twą dzisiejszą tyralierkę i za te dwa strzały ostatnie, mianuję cię plutonowym.

— Według rozkazu, panie komendancie, — salutował rozpromieniony.

— Chodźmy, na dziś dosyć!

Zaledwie uszli ze dwadzieścia kroków w kierunku domu mieszkalnego, gdy padły dwie salwy ze strony Jaworzynki. Posypały się liście, gałęzie, a powyżej drzew gwizd kul.

— Zgórowali, — rzekł tonem znawcy Maciej.

— Widać, — uśmiechnął się Krzyś złośliwie, — oni chcą na swą rękę wojnę ze mną prowadzić... a dobrze, będą ją mieli.

Przed zachodem słońca przybiegł Kuba do pokoju Krzysia, obudził śpiącego mówiąc:

— Jest Mimi!

Zerwał się Krzyś i schwyciwszy czapkę i lornetę polową, wybiegł poprzedzony przez Kubę.

Po drugiej stronie rzeki, z folwarku wysuwała się secina, czy dwie kozaków, a na czele jechał oficer na białym koniu w dół Olszanki.

Przez chwilę badał Krzyś konia i jeźdźca, wreszcie rzekł głucho:

— Tak... to Mimi... a, złodzieje!

Wobec tego, że kozacy mogli przełamać luźną linię straży nad rzeką od strony legionów, Krzyś z jednym szwadronem pojechał celem ubezpieczenia linii w tym samym kierunku. Wprawdzie nie wyjeżdżaliby kozacy tak otwarcie w biały dzień, gdyby mieli zamiar urządzić napad, ale może zająć ten wypadek, że zapadną gdzieś za dnia w lesie, a nocą pokuszą się o przeprawienie się na drugą stronę.

Późną nocą wrócił do Niedoborów zgęściwszy straże nadbrzeżne.

Na drugi dzień walka pozycyjna trwała dalej, zwiększył się tylko ogień z dział rosyjskich, co było do pewnego stopnia oznaką, że Moskale spróbują szturm, i to, jak zwykle, w nocy.

Przed zachodem słońca przyjechał na front bojowy szef sztabu, młody, bardzo przystojny szatyn, zawsze elegancki, uprzejmy, spokojny,

i zaprosił komendantów pułków, kompanii i szwadronów na rozmowę.

Ze wszystkimi przywitał się z równą uprzejmością i stanawszy wśród nich przemówił:

— Przypuszczalnie dziś w nocy Moskale spróbują szczęścia, świadczy o tem ich trwonienie amunicji działowej, i potwierdzają to zbiegi z ich armii.

— Tak... to pewne... — odezwały się głosy oficerów.

— Nasi legionieści wszyscy są młodzi, zderwowani dwudniową walką, a przy dzisiejszym szturmie idzie o próbę cierpliwości. Wiem, jak trudno powstrzymać żołnierzy rozgorączkowanych zbliżającym się szturmem od strzelania. A jednak idzie o to, ażeby jak najbliżej dopuścić szturmujących i dopiero strzelać. Znaczne straty osłabiają ducha żołnierzy rosyjskich i zdemoralizują ich. Przestaną ufać swym wodzom i oficerom.

— Tak... słusznie... — rzekli ci i owi.

— Więc zechciejcie panowie sami wpływać osobiście na legionistów.

— Wedle rozkazu! — powiedzieli oficerowie.

— Po ich nieudanym szturmie, my musimy przełamać ich front. Przypuszczalnie szturm odbędzie się na całej linii. Saperzy przygotowują mosty.

— Czy oznaczony jest dzień szturm? — spytał jeden z oficerów.

— W tych dniach, ściślej nie mogę oznaczyć. Rozumiecie panowie, że to zależy od przygotowania i innych warunków... Trudną służbę masz panie komendancie ułanów, — zwrócił się do Krzysia, — oni mają liczniejszą, chociaż gorszą kawaleryę. Czy nie potrzebujesz pan pomocy?

— Prosiłbym o zgęszczenie łańcucha straży nad rzeką w kierunku armii pruskiej. Ułani pełnią służbę bez wytchnienia i mam zaledwie dwa plutony w pogotowiu.

— Panie pułkowniku, — zwrócił się szef do jednego z oficerów, — proszę wyznaczyć z rezerwy pół kompanii do straży nadrzecznej.

— Dziękuję, — skłonił się Krzyś.

Szef sztabu odjechał, a oficerowie rozeszli się na swe stanowiska.

Noc była parna i mglista. Po wieczery doniesionej do rowów, zawiadomiono legionistów o możliwym szturmie dzisiejszej nocy i rozdano znacznie większą ilość ładunków.

Porwa nie opuszczał swej kompanii w rowie, przesuwał się przez całą długość rozmawiając i żartując z legionistami.

Część ich tylko stała przy strzelnicach obserwując wroga i teren, inni zabawiali się.

Jedni w zagłębieniach rowów, w rodzaju

komór z dachem z okraglaków, położyli się pokotem i zabawiali się rozmową. Drudzy strasznie zabrudzonymi kartami, przy ogarku grali, przeważnie na rachunek, gdyż o drobną monetę było trudno, a częściej wcale jej nie było.

Idąc potknął się Porwa o czyjeś nogi, wystające z zagłębienia.

— Co to? — spytał odruchowo.

— Święty Florek, mówi paciorek, — odpowiedział jeden z legionistów, co wywołało ogólną wesołość.

Florek wysoki, silny, wstał z klęczek i otrzepując kolana z ziemi rzekł:

— Teraz schowani w rowie śmiejecie się, a każdy przed walką żegna się zawzięcie.

— Ze zwyczaju.

— A ja z potrzeby i codziennie modłę się za was wszystkich.

— Czy i za mnie? — uśmiechnął się Porwa.

— I za pana komendanta, ażeby z nimi miał cierpliwość, — odpowiedział poważnie.

— Pomódlże się Florku, ażeby dopiero na dany sygnał strzelali.

— Panie komendancie, na to wystarczy rozkaz.

W jednym zakręcie rowu, czuć było silnie palenizną piór i mięsa.

Porwa przeczytał kartkę przypiętą szpilką

do płaszcza zakrywającego wgłębienie. Napis opiewał: Hawełka pod zdechłym granatem. Podniósł płaszcz i zobaczył trzech legionistów, z których jeden, puciołowaty Sobek, skwarzył coś w menażce.

— Co wy robicie? — spytał Porwa łaskawie.

Dwóch podniosło się szybko, Sobek nie ruszył się.

— Mamy dostać pieczęć od Hawełki, — odpowiedział jeden z legionistów.

— Skądże to?

— Idąc przez las, panie komendancie, — odpowiedział Sobek, — znalazłem trzy zabite ptaszki, i ażeby się nie zmarnowały, podniosłem. Wyprawiam kolację.

— Na wety dam wam po papierosie, chłopcy, — śmiał się Porwa, — i proszę was, nie strzelajcie aż na dany sygnał.

— Wedle rozkazu, panie komendancie, — odpowiedzieli jednogłośnie.

Nietylko Porwa, ale i inni komendanci chodzili po rowach swych oddziałów, podtrzymując humor i swobodę podwładnych, gdyż rozumieli dobrze, że posępnie nastrojony żołnierz ulegnie pokusie możliwie rychłego zastrzelenia wroga, który zbliża się, ażeby go uśmiercić, a wesoly jest pewny siebie i ufa przełożonym.

Wśród ciszy nocy przerywanej przytłumionem echem śpiewek po rowach, dał się słyszeć nagły plusk wody, jak gdyby coś ciężkiego padło.

— Spać Mochy! — zawołał, jeden ze straży, — już późno!

Legioniści zajęli swe stanowiska, nasłuchując gorączkowo. Gdzieś w oddali zarżał koń, odpowiedział mu drugi i cisza. Po chwili przeszył powietrze gwizdek i ucichł. Rozległy się przytłumione uderzenia młotów, mgła jednak przesłaniała mokradła i rzekę.

Do legionistów doleciał odgłos równych, ciężkich kroków, które nagle ustały. Po pewnym czasie powtórzyły się kroki, z których można było wyczuć, że stawiane są na deskach, i znów cisza.

Już w pobliżu rozległ się pisk żelaza o żelazo.

— Przecinają druty, czy co spytali ci i owi, stojąc w gotowości z karabinem, którego lufa opierała się o zasłonę usypaną z ziemi.

Wszyscy byli podnieceni, jedni bladzi, z zacisniętymi wargami; drudzy z wypiekami na twarzy; inni drżeli z niecierpliwości i przechodziły ich dreszcze zimne i gorące, a wszyscy zniecierpliwieni, w naprężeniu nasłuchiwali sygnałowej trąbki, klnąc powolność zbliżających się Moskali.

I zabrzmiał sygnał.

Ze wszystkich rowów sypnęły się strzały, które raz po raz powtarzały się.

A poniżej rozległy się jęki, przekleństwa, wrzaski komendy, sygnały trąbek, tupot nóg tysięcy, rozpaczliwe krzyki: hurra! hurra!

I po upływie kilkunastu minut nastąpiła względna cisza w dole, przy nieustannej palbie z rowów, jak gdyby legionieści chcieli do woli zaspokoić pragnienie strzelania po przymusowym milczeniu.

VIII.

Szary, brudny dzień odsłonił pobojuwisko. Kilkadziesiąt trupów żołnierzy rosyjskich zostało na stłoczonej i wdeptanej trawie, resztę unieśli Moskale ze sobą. Drobną deszcz zmywał z ocalałych traw czerwoną krew.

I znów zaczęły grać armaty, znów gwiżdżały kule karabinowe, pękały granaty wyrzucając ziemię w górę i zostawiając po sobie lejki obszerne; szrapnele leciały ze skowytami i rozrywając się z trzaskiem, sypały wokoło kulami.

Krzyś w czasie szturmów odparł trzykrotnie kozaków, którzy usiłowali przedrzeć się na tyły armii polskiej, zmęczony też nocną, uciążliwą służbą zasnął nad ranem i zbudził się na obiad.

Jeszcze półsenny wyjrzał przez okno na szary, dżdżysty dzień i rozmyślał czy wstać, czy też przespać się jeszcze chociaż chwilę.

Właśnie przez dziedziniec folwarczny prze-

chodził wyrostek wiejski, w zgrzebnej koszuli, takich samych spodniach, bosi, z odkrytą głową i gwizdał zawzięcie jedną z piosnek ułańskich.

Folwark zastał Krzyś wyludnionym, i skąd ten chłopak? Zawołał Kubę i spytał o wyrostka.

— To pastuch tutejszy, Michał, zaszył się w słomę i spał dwie noce i dzień, mimo strzałów i krzyków. Teraz przy kuchni pomaga.

Krzyś przez ciekawość chciał wiedzieć czy to majątek? gdzie właściciel? gdzie inwentarz? i rozporządził:

— Kuba, zawołaj tu chłopca tego.

— Zaraz.

Po chwili wszedł Michaś i trochę zastraszony cisnął się przy drzwiach.

— Nie bój się chłopcze, nie zrobię ci nic złego.

— Pocałuj rękę pana komendanta, — rozporządził Kuba.

Chłopak z ociąganiem się podszedł, ale Krzyś z miłym uśmiechem wziął garść biskoptów ze stolika, i wręczając mu rzekł do brotliwie:

— Jedz, Michałku.

Chłopak obejrzał się na Kubę z obawą i podniesioną z biskoptem rękę szybko opuścił.

— Zostaw nas, Kuba, — i po jego wyjściu spytał: — ty tutejszy?

— Nie, ja służę na folwarku.

— Co robiłeś?

— Pasałem krowy i jałownik.

— A czyj to majątek?

— Pana Cierskiego... i ten... i drugi... to bogaty pan.

— Jaki drugi?

— O, a przecież Jaworzynka.

Krzyś leżący w ubraniu, przy tych słowach usiadł na swem polowem łożku.

— A gdzie Michałku pasłeś krowy?

— Tam gdzie pan rządca kazali.

— I dobrze ci tu było?

— Żle to nie, ale nie zawsze i dobrze, bez tego polowego stróża, który mnie przeskarżał wedle szkody.

— Aha... no a jedzenie?

— Gospodyni nie zawsze dawała mi jadło, niby że krowy źle napasione... ale to wierutne kłamstwo.

— To się wie, Michałku, ty wyglądasz na rozgarniętego chłopca... a kto pasł krowy w Jaworzynce?

— Tam był stary Grzela.

— A ty tam nie pasales?

— Dlaczegożby nie? To przecież nasza ziemia.

— I gnałeś krowy przez most?

— Ale! — uśmiechnął się, — gdzieżby tyli świat gnać krowy, nie dałyby kropli mleka.

— Więc jak?

— Ano przez rzekę...

— I dobrze było?

— Co miało być źle... tam grunt twardy i wody niżej kolana w lecie.

— Gdzież to jest?

— Nad rzeką.

— Już dobrze. Jeśli prawdę powiedziałeś o tem przejściu, dostaniesz portki ułańskie i buty.

— No, a mundur?

— Dostaniesz i mundur, ale mówiłeś prawdę o tym przepędzie krów?

— Klnę się na Boga, a bez co miałbym kłamać.

— No, tak... a umiesz milczeć?

— Jak trzeba, to umiem.

— Słuchaj, jeśli chcesz dostać buty, portki i mundur, to nikomu, ale to nikomu nie piśniesz i słowa o tem przepędzie przez rzekę, a powiesz słowo, nic nie dostaniesz i wypędzę na cztery wiatry. Rozumiesz?

— Toć słyszę.

Krzyś spojrzał na wypogadzające się niebo i uśmiechnął się, rad temu, że woda nie przybierze, a mokradła nie rozkisną.

— Teraz idź do ogrodu, staniesz pod orzechem, niedaleko rowu. Znasz to miejsce?

— Jeszczeby nie... znam.

— Zaczekasz na mnie.

— Dobrze.

— Idź, Michałku.

Chłopak dokładnie wskazał miejsce i zapewniał, że na własne oczy widział przejeżdżające tym przepędem wozy ze snopami.

W pierwszej chwili zamyślił zrobić wyprawę na Jaworzynkę, na własną rękę, jednak poczucie obowiązku wojskowego wzięło górę i wróciwszy zatelefonował do pułkownika, komendanta obronnej pozycji.

— Niema go, — odpowiedział adjutant, — czy sprawa pilna?

— A gdzie pułkownik?

— Rozmawia ze szefem sztabu, który przed chwilą przyjechał.

— Jest co nowego? — spytał Krzyś.

— Podobno mamy atakować pozycje rosyjskie.

— Proszę cię, jak tylko zobaczysz pułkownika, powiedz, że mam sprawę ważną i pilną.

— Dobrze.

— Czekam przy telefonie, a to średnia przyjemność, więc im prędzej, tem lepiej.

— Rozumiem.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy pułkownik spytał:

— Co nowego?

— Spotkałem chłopaka, pastucha bydła folwarku Niedobory, zna bród przez mokradła i rzekę.

— W mojem przekonaniu tak.

— Może umyślnie podsunięty przez Moskali?

— Nie. Spał w słomie przy naszym wejściu i dopiero na drugi dzień wylazł z legowiska.

— Zaczekaj pan przy telefonie.

Po chwili poznał znany sobie głos szefa sztabu:

— Dzień dobry, panie Krzysiu.

— Dzień dobry, panie szefie.

— Podobno zrobiłeś pan cudowne odkrycie, bród do Jaworzynki.

— Przypadek mi usłużył.

— Bród pewny?

— Według wszelkich danych, tak.

— Gdzie ten chłopak?

— Zajęty przy naszej kuchni.

— Czy wie kto z naszych o tym brodzie, prócz pana?

— Zdaje się, że nikt.

— Nakazał pan chłopcu milczenie?

— Tak jest.

— Przyjadę za chwilę do pana. Do widzenia!

Po skończonej rozmowie Krzyś zawołał Kubę i rzekł:

— Dopilnujesz tego chłopca, Michałka, ale żeby on tego nie spostrzegł. Odpowiadasz za niego.

— Wedle rozkazu pana komendanta, tylko on nie ucieknie, bo aż płacze, ażeby iść z nami.

— Wszystko jedno... pilnuj.

Następnie sprawdził Krzyś, czy warta w porządku, czy w stajni czysto, czy pogotowie czuwa, i czekał przyjazdu szefa.

Wkrótce przyjechał oczekiwany z jednym ordynansem, zeskoczył z konia, obciągnął ubranie, podkręcił ciemne wąsiki, a przywitawszy się spytał:

— Gdzie pana kwatery?

— W tym domu, wskazał na skromny dworek z gankiem o dwóch kolumnkach.

— Wygodnie panu? Może wejdziemy?

— Proszę.

Gdy usiedli spytał szef:

— Jakim sposobem dowiedziałeś się pan o brodzie od tego chłopca?

— Zobaczyłem go dzisiaj rano na dziedzińcu, zawołałem do siebie. W rozmowie dowiedziałem się, że Niedobory i Jaworzynka należą do pana Ciecierskiego i że on jest pastuchem

krów. Zgadało się o pastwisku i opowiedział, że bydło z Niedoborów pasał w Jaworzynce i że jest przepęd przez mokradła i rzekę... Reszta wiadoma.

— Widziałeś pan ów przepęd?

— Pokazał mi dokładnie i zapewnia, iż wozy ze snopami przejeżdżają przez ten przepęd.

— To bardzo szczęśliwie nam się zdarzyło, — uśmiechnął się, — jutro przed świtem uderzamy na pozycye rosyjskie, a pana bród zaoszczędzi nam ludzi. Chodźmy, pokaże mi pan ów bród.

Gdy wyszli na dziedziniec, spytał szef:

— A gdzie wasza kuchnia?

— W czworakach, — wskazał budynek.

— Zajdziemy.

Gdy weszli, kucharz i ułani stanęli na baczność, a Michałek, który niecił ogień, skamieniał i siedząc w kuczki, nie ruszył się. Polano drzewa trzymał w jednej ręce, drugą był podparty i wielkimi oczyma patrzył.

— Cieszy mnie porządek, jak widzę, — mówił szef, — a co dzisiaj kucharzu na wieczerzę?

— Kasza jaglana ze słoniną.

— Wcale dobra rzecz... a cóż to za ułan bez munduru? — wskazał na chłopca, — jak się nazywasz?

Zaczerwieniony, puścił polano i milczał.

— Wstań! Wstań! — zawołał kucharz.

— Jakże się nazywasz? — spytał łagodnie szef.

— Michał, — wyszeptał.

— Czy tutejszy?

— Nie, ja tu na służbie.

— Gdzie twój ojciec?

— Tatuś pomarli jak mi było pięć roków, był fornałem we dworze.

— A matusia twoja gdzie?

— Pomarli łośńskiego roku.

— Ile masz lat?

— Idzie mi szesnasty.

— No, pal pod kuchnią, — uśmiechnął się przyjemnie, salutował i wyszedł.

— Ma pan rację, panie Krzysiu, chłopak nie kłamie, można liczyć się z jego słowami... A gdzie bród?

Wyszli za ogrodzenie folwarczne zabudowań, na koniczysko, i Krzyś wskazując oczyma określił szczególne cechy miejsca, gdzie się zaczyna i gdzie kończy bród.

— Przeszedł pan dobrą szkołę, panie Krzysiu, — uśmiechnął się przyjaźnie szef, — nie ruszył pan ręką.

W tej chwili z Jaworzynki padły dwa strzały i kule zabzykały, jedna utkwiała w koniczu, druga pognęła dalej.

— Czy oni często tak pukają? — spytał szef, zwracając się do folwarku.

— Jak tylko pokaże się kto z naszych.

— No, jutro spodziewam się, że zaprzestaną. Ten bród musimy mieć w rękę, a Jaworzynkę zdobędziemy.

— Mam prośbę do pana szefa.

— Słucham, panie Krzysiu.

— W Jaworzynce stoją kozacy, komendant ich jeździ na moim koniu, arabka czystej krwi, Mimi. Tę klacz wziął ten oficer przemocą od żony, korzystając z mej nieobecności.

— Podłe zrobił.

— Żona moja pod żadnym warunkiem nie chciała sprzedać Mimi, chociaż ten oficer kozacki zapewnił mnie, że targować się nie myśli i zapłaci żadaną sumę. Ten oficer użył gwałtu i przemocy, muszę Mimi odebrać, a tego łajdaka powieszę.

— Na odebranie Mimi zgoda, — zaśmiał się szef, — ale wroga walczącego z bronią w rękę nie zechce pan przecież wieszać.

— To go zabiję.

— Wolna panu zabić w walce.

— Zależy mi na tem, — mówił dalej Krzyś, ażebym ja poprowadził atak na folwark jaworzyniecki.

— Zgoda i na to... Gdzie telefon?

— Obok mego pokoju.

— Chodźmy.

Gdy weszli, szef odesłał podoficera pełnią-

cego służbę przy telefonie, wziął słuchawkę i rzekł:

— Pułkownik Nałęcz... Poprosić... Dobry wieczór panie pułkowniku... O świcie zaatakujemy rosyjskie pozycje. Pan pułkownik o zupełnym zmierzchu poprowadzi całą rezerwę, wraz z karabinami maszynowymi, które zgłoszą się do pana przed zachodem, w marszu bojowym pod folwark Niedobory. Wojsko ukryć starannie w lesie, żadnych ogní, śpiewów, głośnych rozmów. Tabory i kuchnie zostawić na miejscu, czy pan pułkownik dobrze słyszy? ...Niedobory, nasze prawe skrzydło... w lesie, tak jest... i porozumie się pan osobiście z porucznikiem Krzysiem, na folwarku Niedobory... Gdy przejdzie pan na stronę Jaworzynki zaatakują pan Moskali z ich lewej flanki... Rezerwa rosyjska jest w centrum i z nią przyjdzie panu walczyć, pierwsze natarcie musi pan wytrzymać... poprą pana dwa bataliony z rowów wycofane... czy jasno się wyłtómaczyłem?... Już dobrze, życzę zwycięstwa i sławy...

Pod noc przyjechał do Krzysia pułkownik Nałęcz, wysoki, szczupły brunet, lat trzydziestu kilku, dosyć chmurny, zasepiony, i po przywitaniu rzekł twardo:

— Szef kazał porozumieć się z panem, przyjechałem na tę konferencję.

— Wiem o tem, panie pułkowniku.

— Mam przejść do Jaworzynki. Wysłałem jednego z oficerów na zwiady... wszędzie błota, moczary i rzeka bagnista... Moskale wystrzelają nas jak kaczki.

— Tak źle nie będzie, — uśmiechnął się Krzyś, — przejście przez rzekę jest...

— Dobrze panu na szkapie, — rzekł podrażnionym głosem, — ale jak można kazać brnąć legionistom po pas w błocie i mieć na karku całą rezerwę moskiewską.

— Panie pułkowniku... pozwól mi pan przyjść do słowa.

— Słucham, — uśmiechnął się z goryczą, — ciekaw jestem wymowy pana.

— Innym zostawiam niepotrzebną frazeologię, — rzekł Krzyś popędliwie, — jest bród wygodny do Jaworzynki, nie dosiegający kolan.

— Bród!?!... Dlaczego mi pan porucznik nie powiedział tego na samym wstępie? To był jego obowiązek.

— I spełniam go, zawiadamiając o tem pana pułkownika.

— Moskale wiedzą o nim?

— Nie. Któż miał im powiedzieć?

— Tak... to prawda. Jeśli bród, to zmienia postać rzeczy. Przewodnik jest?

— Ja nim będę.

— Hm... pan, czy pan zbadał ten bród.

— Jutro go zbadam.

— Jutro, — zaśmiał się drwiąco, — a jeśli legioniści wpadną w błoto i ani wprzód, ani w tył się nie ruszą?

— Odpowiadam za bród... zresztą taki jest rozkaz.

— Prawda, niema potrzeby dysputować... I w jaki sposób to się odbędzie?

— Przed świtem wyruszę z ułanami... oznaczę miejsce wejścia palikami... Może zresztą pan pułkownik wyszle kogoś na naocznego świadka.

— Sam będę... I co dalej?

— Jak tylko dopadnę twardego gruntu, owładam folwarkiem jaworzynieckim.

— Kto go broni?

— Kozacy.

— Hm... nagły napad może się udać, nie przeczę, ale strzały, wrzawa, zresztą uciekinierzy sprowadzą siły nowe, tak łatwo nie oddadzą placówki.

— Liczymy, że pan pułkownik poratuje nas i zwycięży wroga, — powiedział uprzejmie.

— No... tak... Przypuszczam, że z tej racji powierzono mi tę niebezpieczną ekspedycję.

— Rzecz oczywista, wszyscy znamy dzielność i męstwo pana pułkownika.

— Ano, zrobi się swoje... Zatem przed świtem wyrusza pan pierwszy ze swymi ułanami.

— Tak jest.

— Będę w czasie przeprawy... niepokoi mnie jednak straż nadrzeczna, pukanina... zanim się wygramolę z błota, mogą nadbiegnąć Moskale.

— My ich zatrzymamy.

— No, zapewne, ale wolałbym, ażeby tam była kompania legionistów.

— Przyjdzie ich kilka z panem pułkownikiem, — zaśmiał się Krzyś.

— Więc dobrze... będę przed świtem, — wstał pułkownik.

— Może pan pułkownik zechce tu przenocować... razem wyruszemy.

— Nie! Sam muszę poprowadzić legionistów.

— A może pan pułkownik wyda stosowne rozkazy i zechce przyjąć nocleg, o tyle wygodny, że pod dachem... a jutro ciężki dzień i praca.

— Nietylko dla mnie, ale i dla legionistów. Nie czekaj pan na mnie... przed świtem obaczymy się, — pożegnał Krzysia i odjechał.

Kolację jadalі wszyscy oficerowie ułańscy razem, a byli tacy młodzi, że Krzyś wśród nich wyglądał starszym, chociaż miał dwudziesty siódmy rok.

Rozprawiano o jutrzejszej wyprawie i tacy byli tem rozradowani jakby szło o bal lub kulig.

— Koledzy jutro musimy wziąć folwark Jaworzynkę, — od tego zależy nasza sława, — przemówił Krzyś.

— I weźmiemy, o tem niema co gadać, — rzekł młodziutki, blondyn, z twarzą panińską.

— Ja uderzę z pół szwadronem, — zaczął Krzyś, — jak tylko wydostanę się na brzeg, zaś pół szwadronu spieszę, bo końmi nie wszędzie wjadę.

Sprzeciwili się temu oficerowie, i ostatecznie, stało na tem, że Krzyś spieszy pluton ułanów, a z drugiego szwadronu doda się do spieszonych jeden pluton.

— Zdaje się, że dowodzi kozakami oficer, który ukradł mi konia, arabkę, Mimi, — zawołał Krzyś, — zabrał ją przemocą, bo wiem dobrze, że moja żona jak najgoręcej protestowała przeciw temu rabunkowi. Możecie sobie wyobrazić jak dotknęło i upokorzyło żonę takie postępowanie rabusia.

— Musimy go ukarać! — zawołali ci i owi. — Powiesić złodzieja! — dodali inni.

— Trzeba nauczyć psubrata, jak się zachowywać wobec naszych pań! — rzekł z powagą młodziutki chorąży, — i najpierw konia odebrać.

— A jaki to koń komendancie? — zapytał jeden z oficerów.

— Mówię wam, — zapalał się Krzyś, — czy-

stej krwi arabka, lat sześć, pierś szeroka, nogi ze stali, główka maleńka, odsada pyszna, a nosi jak w kolebce. Cudo, nie koń!

— Musimy odebrać, żeby nie wiem co kosztowało, — zawołał młody chorąży.

— Hm... powiadasz komendancie biała... czy nakrapiana?

— Ależ nie! I wiecie, jak to mówią: „Biały, albo cały dobry, chrobry, albo wszystek pies“, otóż ona cała dobra i chobra.

— W takim razie już ona nasza, niema co.

— Liczę na waszą pomoc koledzy, — przemówił Krzyś, — nie pozwólcie mu uciec.

— To się wie!... Nie umknie złodziej!... Pochwycimy go!

— Koledzy, już óma... spać... i przypilnujcie ułanów... o godzinie pierwszej każę wszystkich zbudzić... dobranoc.

IX.

Zaledwie niebo poczynąło błędnąć na wschodzie, już konie były nakarmione, napojone i osiodłane.

Wszyscy ułani wiedzieli, że dziś dzień szturmowy, i że ich czeka trudna i niebezpieczna wyprawa. Jakiś taki westchnął i przeżegnał się w skrytości; inni próbowali palcami ostrza szabel; niektórzy opatrywali ładownice i sprawność zamków karabinków; podciągali popręgi, opatrywali rzemienie przy strzemionach, jakkolwiek wszystkie te szczegóły już raz byli sprawdzali i przekonali się o dobrym stanie.

Na żadnym jednak nie było znać przygnębienia, przeciwnie, nadzieja walki z wrogiem ożywiła ich i rozweseliła. Zwłaszcza, że szczególnie do kozaków czuli głęboką nienawiść za gwałty popełniane na bezbronnej ludności, a zarazem mieli ich w pogardzie, za wyraźne unikanie starcia i walki.

Nie chcąc przedwcześnie budzić czujności straży nadbrzeżnej, rozkazał Krzyś, ażeby ułani plutonami i pół plutonami opuszczali Niedobory w różnych kierunkach, a następnie przemykali się lasem na miejsce przeciwległe brodowi. Ten manewr był możliwy tylko w oddziale Krzysia, gdzie każdy pluton był komenderowany przez oficera, a wszyscy ułani odznaczeni się inteligencją.

Sam Krzyś z pierwszym plutonem ruszył wprost przez pola na bród, a widząc zdala placówkę kozacką nad rzeką, skinął na Macieja, ażeby do niego podjechał, i rzekł:

— Widzisz tego kozunia nad brzegiem?

— Widzę... dwóch...

— Gdzież drugi?

— Leży obok konia za krzakiem.

— Więc zrób obydwóch nieszkodliwymi, bo dadzą zawczasie znać na folwark.

— Wedle rozkazu.

Pluton z Krzysiem na czele jechał spokojnie krocza, a gdy mijali przydrożny krzak kaliny na skraju gaju, ujrzeli pułkownika Nałęcza z adjutantem.

— Dzień dobry, panie pułkowniku, — pozdrowił go Krzyś.

— Dzień dobry... spóźniłeś się pan o trzy minuty spojrział na zegarek.

W tej chwili huknął tuż za plutonem strzał.

Koń kozaka wspiał się i runął na ziemię. Drugi kozak zerwał się, wskoczył na konia, lecz po nowym strzale Macieja zachwiał się na kulbace i spadł.

— Dziękuję Macieju! — zawołał Krzyś uradowany.

— Dobry początek! — zaśmiał się pułkownik.

— Pluton!... Rysią!

Jeszcze nie dojechali do brodu, gdy z lasu i krzów wychyliły się na otwarte pole ukryte plutony dwóch szwadronów Krzysia i wskok gnali do brodu.

Na razie konie zapadały wyżej pęcin, a przed wkroczeniem do rzeki miały błota trochę wyżej kolan, lecz w rzece woda była o kilka centymetrów niższa i można było poznać, iż stąpają po gruncie pewnym, szły bowiem rażniej.

Gdy Krzyś i pierwsze dwójki z rzeki wkroczyły w trzęsawisko, padły strzały piechurów moskiewskich, pilnujących brzegu.

Jedna kula przecięła koniowi skórę na szyi, druga rozdarła ułanowi mundur na ramieniu.

Krzyś nacisnął konia i w kilku skokach stanął na twardym gruncie. Ułani poszli za jego przykładem, a gdy pluton pierwszy dopadł brzegu, Krzyś zakomenderował:

— Pierwszy pluton... cwałem w nich, —

wskazał obnażoną szablą na dwudziestu piechurów.

Ci, nie czekając natarcia, rozbiegli się jak stado spłoszonych kuropatw na wszystkie strony, rzucając w biegu karabiny, tornistry, ładownice, chlebaki...

Nie leżało w zamiarach Krzysia polowanie na piechurów, dał znak szablą do zwolnienia biegu, a widząc, że reszta plutonów już wkrótce kończy przeprawę, zwrócił pierwszy pluton w kierunku folwarku, a gdy nadjechał drugi, trzeci, czwarty pluton, wreszcie ten przydzielony z drugiego szwadronu zawołał Krzyś rozgorączkowany:

— Szwadron! Folwark! — wskazał szablą,
— Marsz! Marsz!

Pomknęli jak wicher.

Na folwarku pierwsze dwa strzały nie zwróciły niczyjej uwagi, wszak w czasie walki pozycyjnej strzały niemal nieustannie padają.

Salwa piechurów stróżujących zaniepokoiła placówki kozackie, i stojący w pogotowiu oddział z dwudziestu pięciu kozaków wyskoczył na otwarte pole w chwili, gdy pluton Krzysia atakował piechurów.

Zobaczywszy ułanów, zawrócili na miejscu i skoczyli na folwark z okrzykiem:

— Zdrada! Lachy są!

Zakotłowało się na folwarku. Oficerowie

i kozacy nagle zbudzeni, szukali ubrań, butów, zaszek. Inni kulbaczyli konie, szukali uzdeczek, broni, pasów, ładunków...

Trąbki grały nieustannie na alarm.

Z oficerów pierwszy był gotowy komendant Żomkowicz. Nie czekając aż mu Mimi podadzą wpadł do stajni, odtrącił kozaka od Mimi, uderzywszy go wprzód nahajem, sam przyciągnął popręgi, wyprowadził konia i siadł na niego. Widząc panujący rozgardyas, zaklął od matiiery, i zaczął winnych, niewinnych okładać nahajem.

Rozdawane razy pomogły o tyle, że wkrótce sformowała się jedna secina, a druga zbierała się na gumnisku.

Staął na czele, obnażył szaszkę i huknął:
— Wpierod Rebiata!

Wypadli na otwarte pole i nagle Żomkowicz ujrzał o jakie trzysta metrów pędzący szwadron Krzysia. Wiedział jednak z doświadczenia, że kozacy nie dotrzymują pola ułanom, spojrzał tedy na lewo, w stronę rezerw i rowów, czy nie uda się uciec w tym kierunku, lecz szwadron drugi przeciął mu drogę.

W tem położeniu wybrał, jak mu się zdało, najlepszy sposób ratunku: wrócić do folwarku, zatarasować się w nim i bronić się do upadłego. Zanim konnica zdobędzie folwark, strzały obudzą czujność wojska nadbiegnie pie-

chota i wystrzela ułanów. Dla wszelkiego bezpieczeństwa umyślił wysłać kilkunastu kozaków, ażeby armii dali znać o napadzie na Jaworzynkę.

Zoryentował się Żomkowicz i uplanował obronę niezmiernie szybko, ale wykonanie zamiaru nie dało się uskutecznić z tą samą szybkością. Kozacy przerażeni blizkim atakiem i tak jak ich komendant widzący bezpieczeństwo tylko w zamknięciu się na folwarku, gdy padła komenda odwrotu, na miejscu zwrócili i pędem lecieli w otwarte wrota.

Właśnie w tej samej chwili druga secina pędziła na otwarte pole. Zderzyły się ze sobą konie, powstało zamieszanie, komendy się krzyżowały, ludzie klęli, konie gryzły się i wierzgały, i zamęt wzrastał się z każdą chwilą, zwłaszcza, że ostatnie szeregi parły gwałtownie, gnane strachem.

Krzyś widząc ten tumult, odwrócił ku swoim twarz rozpromienioną i zawołał:

— Uderzyć w nich! Na o la Boga!

Wykrzyknika tego używał Krzyś tylko w ostatniem napięciu ataku; wiedzieli o tem ułani i parli konie do szybszego biegu.

Wjechali na karkach kozaków do folwarku, tnąc na prawo i lewo.

Usiłowaniom kozackich oficerów i podoficerów udało się jednak z rozbitych dwóch secin

zebrać kupę ludzi i zamknęli się w murowanym dworze, zostawiając konie na pastwę napadających.

Część kozaków przedarła się przez płoty, ogroduzenia i szukała ratunku w ucieczce.

Żomkowicz był we dworze, a Mimi błakała się z końmi, drżąc i wystraszona. Spostrzegł ją Krzyś dopadł, pochwycił za uzdę i oddał Kubie, który to samo zamierzał uczynić, gdyż i on szukał Mimi.

Kozacy pochowali się po stajniach, szopach, stodołach i obszerny dziedziniec zaczął się oczyszczać, a z tą chwilą padło kilkanaście strzałów z okien dworu, które raniły ciężko ułana, dwa konie zabiły, a kilka pokaleczyły.

Krzyś kazał ułanom kryć się za budynki, a wiedząc, że zdobycie dworu może potrwać dość długo, co umożliwi nadejście piechoty rosyjskiej, kazał zapalić jedną z bliższych dworowi stajnię.

Gdy płomień buchnął, wywieszono ze wszystkich okien dworu białe chusty, uwiązane do karabinów, szaszek, nahajek...

— Spalić tych psubratów! Mało naszych pomordowali! — mruczeł głośno ułani.

Sam Krzyś przez chwilę wahał się w wyborze sposobu zniszczenia kozaków, ale rycerskie poczucie wzięło górę, bo i cóż za sława upiec ich, a ratujących się wystrzelać.

Dwa plutony wysłał do drugiego szwadronu, rozstawił strażę, podjechał pod dwór i zawołał:

— A wy sukinsyny! padlecy!

— Pamiłujcie! Pamiłujcie! — jęczeli.

— Czort i tak was weźmie!... No, broń składać u stóp mego konia, i marsz do ognia! Gasić! i do ułanów: — Hej! Otoczyć tych psu-bratów, niech gaszą ogień! A pilnować, ażeby który nie umknął!... Dwóch ułanów z karabinkami do mnie!

W takich krytycznych chwilach rozumie się doskonale każdy język, zrozumieli też Krzysia kozacy w lot. Wychodzili, składali broń, podnosili ręce w górę, i pokłoniwszy się stawali w szeregu, czekając dalszych rozkazów.

Młodziutki chorąży zarządził gaszenie ognia i wydał kozakom stosowne rozkazy, zaś ułani pilnowali wykonania tychże.

Po kozakach wyszli podoficerowie, wreszcie oficerowie, a ostatni stanął w drzwiach Żomkowicz.

Spojrzawszy w oczy Krzysia, przypomniał sobie Zalesie i lekko przybladł. Podeszedł jednak pewnym krokiem, złożył szaszkę i podniósł ręce w górę.

Przez cały ten czas Krzyś nie spuszczał oczu z niego, wreszcie spytał go:

— Masz jaką broń Żomkowicz?

Oficer podniósł znów ręce w górę, na znak, że nie ma.

— Obszukać go! — rozkazał Krzyś.

Skoczyli ułani, a przesuając ręce po ubraniu zewnętrznem natknęli się na rewolwer, wyjęli i rzucili na kupę broni.

— Za karę, że skłamał ten psi syn, zrewidujcie go i wszystko co przy nim znajdziecie, zabierzcie sobie.

Żachnął się oficer, ale wobec nabitej broni był posłuszny.

Jednak Krzyś przy tej czynności miał czujne ucho, zwrócone na pole. Posłyszał trąbki i rozkazawszy stać Żomkowiczowi, sam skoczył przed folwark.

Właśnie legioniści w szybkim marszu mijali folwark, a bliżej Jaworzynki stał drugi szwadron w szyku bojowym. Wrócił tedy na folwark i zawołał do oficerów kozackich po rosyjsku:

— Panowie oficerzy! Proszę do mnie, — a gdy stanęli, rzekł do Żomkowicza: — ty sukinsynie zrabowałeś mi konia, Mimi, opowiedz jak to było. Mów prawdę, bo mam list.

— Kupiłem ją przy poborze koni wojskowych w Siedleckiej gubernii.

— Kłamiesz! W czasie mej nieobecności przyjechałeś z naczelnikiem straży ziemskiej

Merszukiem do Zalesia, a zastawszy samotną kobietę... czy tak?

— Istotnie, zapomniałem szczegółów — odrzekł zmieszany.

— Jeśli zapomnisz jeszcze raz, nahaj ci przypomni... Wiktor! — spojrzał na ułana, — weź nahaj, gdy skinę, wal psiego syna...! No, teraz, gadać Żomkowicz.

— Namówił mnie naczelnik...

— Wal go!

Wiktor się zamierzył, a Żomkowicz zawołał:

— Ja namówiłem...

— Nie bij!... Co dalej?

— Przyjechaliśmy, pani nie chciała sprzedać, zamknęła stajnię, ale naczelnik jako władza kazał odbić zamek.

— Komu kazał?

— Naszemu kuczerowi.

— Dobrze... jednak stangret...

— Nu, stangret bronił, tak my wyrzucili jego...

— Ty biłeś.

— Ja trochę tylko, głównie naczelnik.

— A ty rządcę mego.

— Raz, czy dwa razy uderzyłem go za zuchwalstwo.

Krzyś zbladł i spytał tonem lodowatym, wpijając w Żomkowicza drapieżne oczy:

— Co pani na ten gwałt?

— Kiedyśmy się tak borykali z ludźmi, zawołał naczelnik Sockiego, a razem z nim przyszła wasza pani.

— I co? — spytał Krzyś chrapliwie.

— Pani wzięła Mimi za uzdę i powiedziała, że nie odda... Socki wtedy...

— Wal go!

Rozległ się świst nahaja i mundur pękł na grzbiecie.

— Ubiję cię jak psa, jeśli skłamiesz!

— Nu, jak prawda, to prawda... Naczelnik odebrał uzdę z rąk pani, ja stanąłem po drugiej stronie Mimi, przywiązaliśmy ją do naszych koni i pojechali.

— A zapłata?

— Naczelnik za opór władzy nie pozwolił mi zapłacić.

— Co dalej? Było śledztwo...

— Było... Rządca i stangret poszli do areztu...

— A pani...

— Zapłaciła tysiąc rubli kary za opór władzy.

— Słyszeliście panowie!? — zwrócił się do oficerów, — i taka swołocz, złodziej, rabuś, jest waszym kolegą!

Oficerowie spuścili oczy, i tylko jeden z nich rzekł głośno:

— Nu, swołocz, da swynia!

— Chłopcy! — zawołał Krzyś do dwóch ułanów wskazując na Żomkowicza, — zerwać mu epolety!

Co gdy się stało, skinał na dwóch ułanów stojących w pobliżu:

— Temu złodziejowi i psubratu, wlepie pięćdziesiąt nahajów, i pójdzie z kozakami. Oficerowie osobno.

Spojrzał na podpaloną stajnię. Pożar prawie ugaszono, tylko jeszcze tliły się belki.

W pełnym galopie nadbiegł ułan i osadziwszy konia mówił:

— Melduję posłusznie. Zbliża się ćma Moskali, kawalerya i piechota.

— Zaraz przyjadę!

Kilku ułanom polecił odprowadzić jeńców na drugą stronę Olszanki, kazał dać sygnał na zbiórkę, i na czele trzech plutonów wyjechał na pole.

Teren wznosił się łagodnie w górę począwszy od rzeki i był przerznięty trzema potokami, dopływami Olszanki. Dwa z nich płynęły leniwie w małych zagłębieniach rozlewając się w mniejsze i większe moczary. Trzeci potok, najbliższy obronnych pozycji moskiewskich, wartko pędził na wzniesieniu, wązkim korytem, które stopniowo ku rzece się rozszerzało,

Na prawo od rzeki, w odległości niecałego kilometra, wznosił się pomiędzy Jaworzynką a rowami rosyjskimi obszerny gaj liściastych drzew.

Legioniści przeszli już pierwszy potok, a linia ich tyralierska dochodziła do drugiego potoku.

Kawalerya stała w polu, bliżej rzeki bez żadnej osłony.

Przeciw temu pułkowi legionistów pod komendą Nałęczą, rozwijała się groźnie rezerwa rosyjska, licząca na oko co najmniej całą brygadę.

W chwili gdy Krzyś dopadł swojego drugiego szwadronu, nadbiegł adjutant pułkownika z rozkazem, ażeby ułani pospieszyli do gaju na prawo i spieszeni rozpoczęli tyralierkę.

— Jak stoją rzeczy? — spytał Krzyś adjutanta.

— Nieszczególnie, jeśli pomoc nie przyjdzie, wyduszą nas, — pomknął z powrotem.

Nie bardzo w smak była Krzysiówi i ułanom tyralierka, najlepiej i najbezpieczniej czuli się na koniach, ale rozkaz jest rozkazem, i Krzyś zataczając wielkie półkole, aż poniżej Jaworzynki, poprowadził dwa szwadrony do gaju, zostawiwszy jeden pluton w lesie z końmi, innym plutonom kazał sformować linię tyralierską.

Obejrzawszy teren bojowy przyznał słuszość rozkazom pułkownika, obawa bowiem oskrzydlenia z prawej strony była uzasadniona.

Gaj górował nad terenem rozwijającej się bitwy i Krzyś widział dokładnie, że Moskale gromadzą większe siły od strony rzeki, ażeby przeciąć odwrót legionistom i wepchnąć ich w głąb kraju, za rosyjską linię obronną.

Zrozumiał grozę położenia i z zapartym oddechem śledził rozwój bitwy niecierpliwiąc się, że obiecana pomoc nie nadchodzi.

Widział, że pułkownik główne swe siły przesuwają również ku rzece, broniąc się linią tyralierską przed następującymi na niego Moskalami.

Zdaleka widział, jak sanitariusze odprowadzali i odnosili rannych do folwarku Jaworzynki, gdzie urządzono szpital polowy.

W łuku rzeki, gdzie były pozycje polskie i rosyjskie naprzeciw siebie, grzmiał nieustanny ogień armatni i karabinowy. Chwilami przycichał, ażeby z tem większą siłą wybuchnąć.

Tam jednak mamy rowy, rzekę i moczary, rozmyślał Krzyś, ale tu otwarte pole i w stosunku do Moskali garstka ludzi.

Spojrzał na pole bitwy. Pułkownik na karym koniu uwijał się, co chwila rozsyłał ordynansów z rozkazami.

I Krzyś otrzymał rozkaz, ażeby linię tyralierską przesuwać zwolna ku rzece.

Napróżno Krzyś wypatrywał oczy w kierunku brodu. Pomoc nie nadchodziła. Walka, im bliżej rzeki, stawała się bardziej zażartą, ale nie można było łudzić się, że legionišci wytrzymają długo napór przeważnych sił moskiewskich.

Nagle do uszu Krzysia doleciał sygnał trąbkowy, nakazujący odwrót. Widział jak rozciągnięte linie tyralierskie szybko cofają się pod gęstym ogniem moskiewskim i ilu legionistów pada w tym odwrocie.

Ponad huk armat wzniósł się radosny i tryumfujący okrzyk moskiewski:

— Hurra! Hurra! — i kolumny rosyjskie przyspieszonym krokiem parły na pułk Nałęcz.

Nagle rozległ się przejmujący sygnał do szturm!

W promieniach słońca zabłysły bagnety, i kolumny legionistów, jak wichrem gnane, skoczyły na Moskali.

Ci chwilę stali zdumieni tym niespodziewanym atakiem zwyciężonych i ta króciutka chwila zdecydowała walkę.

Impet i zapal legionistów był tak silny, że szeregi moskiewskie zachwiały się, wygięły i poszły w rozsypkę.

Panika jest niezmiernie zaraźliwa, gdy pierwsze szeregi uciekając wpadły na dalsze, ogarnął je strach przed śmiercią i w swej wyobraźni widzieli nowe tysiące legionistów, które ich wyklują i wystrzelają.

Legioniści gnali wylękłych do parowu trzeciego potoka, gdzie nareszcie udało się oficerom rosyjskim zatrzymać uciekających i zmusić do obrony.

Pułkownik kazał ustawić karabiny maszynowe, ażeby spędzić Moskali z nad parowu. Zamierzał po opanowaniu go uderzyć z lewej flanki na rowy rosyjskie. Karabiny zaczęły grzechotać.

Zagrały trąbki w stronie brodu, jaki, taki z legionistów odwrócił się, a widząc spieszący batalion Zawiszy, zamruczał drwiąco:

— Rychło w czas przychodzicie.

Tego samego zdania był i pułkownik i Krzyś.

Batalion Zawiszy zamiast poprzeć pułk Nałęcza, maszerował w szyku bojowym, powyżej Jaworzynki, wprost na ułanów będących w linii tyralierskiej, co widząc Krzyś, kazał dać sygnał swoim do odwrotu.

Zaledwie trąbka zaczęła grać gdy wpadł ordynans majora Zawiszy z rozkazem, ażeby Krzyś z ułanami stał w lesie, gotowy każdej chwili do ataku.

Równocześnie gnał na koniu ordynans ze

sztabu do pułkownika Nałęcza i wręczył mu rozkaz na piśmie, w którym szef sztabu każe pułkownikowi objąć komendę nad batalionem Zawiszy i całą siłą uderzyć na wzgórze Nr. 223.

Wzgórze to leżało powyżej okopów i rowów rosyjskich i przed rozpoczęciem bitwy stała tam rezerwa rosyjska.

Prawie równocześnie zjawił się ordynans majora Zawiszy:

— Melduję posłusznie panu pułkownikowi, że pan major Zawisza przybył z batalionem i czeka rozkazów. Zarazem pan major Zawisza, w myśl instrukcyi pana szefa sztabu, polecił dwom szwadronom ułanów stać w pogotowiu w lesie.

— Na wzgórze 223 niech rozwija batalion swój pan major Zawisza i zachodzi na prawo.

— Wedle rozkazu, — odjechał ordynans.

Teraz pułkownik Nałęcz zrozumiał grę szefa i uznał jej mistrzostwo. Więc umyślnie zostawił go samego, ażeby rezerwy rosyjskie przesunęły się do rzeki chcąc go odciąć, a teraz nagłym uderzeniem na tyły, zmusi Moskali do opuszczenia bronionej pozycyi i bronionej przeprawy przez Olszanke.

— Udało się, — mruknął, — bo odrzuciłem atak Moskali, a gdyby nie to, coby się stało z planem?

W głębi duszy jednak czuł, że nie chcąc

stracić pułku, musiał uderzyć bagnetami, i kto wie, czy nie liczył się z tem właśnie szef?

Moskale widząc zagrożone swe tyły, zostawili część wojska nad parowem, a główne siły zaczęli przesuwac w kierunku wzgórza 223.

Równolegle z nimi posuwał się nieustannie strzelając pułkownik Nałęcz i złączył się z batalionem Zawiszy.

Moskale, widząc niebezpieczeństwo, niewiele liczyli na zdemoralizowaną rezerwę, która tak sromotnie uciekała przed bagnetami legionistów, i nie mając innego wojska pod ręką zaczęli wycofywać piechotę z rowów.

Wszczęła się zażarta walka o wzgórze 223. Moskalom już nie szło o zwycięstwo, ale o możliwość wycofania się z honorem, zabrania armat i karabinów maszynowych.

W bitwie tej został ciężko raniony major Zawisza, a komendę nad batalionem objął Porwa, powierzając prowadzenie swej kompanii Jankowi. Zginął też Hannibal, dzielny i odważny do samego końca, a czując zbliżającą się śmierć, skinął na Rewerę i ostatnim wysiłkiem woli zdobył się na słowa:

— Ty prowadź kompanię... Naprzód! — krew buchnęła mu z ust i wkrótce skonał.

Gdy tak krwawo o wzgórze walczono, legionści z frontu, po dwóch mostach przygotowa-

nych przez saperów, przeszli Olszanekę i rzucili się na rosyjskie rowy.

Moskale zwątpiwszy w możliwość utrzymania się na pozycji pospiesznie opuścili rowy. W ślad za nimi szli legioniści, a dzięki pospiesznemu odwrotowi wroga wpadły w ich ręce dwa pozycyjne działa i trzy karabiny maszynowe.

Około godziny szóstej bitwa była wygrana, a Moskale cofali się na całej linii.

Legioniści byli upojeni zwycięstwem i tryumfem. Wysłano jeden batalion w pogoń wraz z ułanami, zaś reszta legionistów, złożąwszy broń w kozły, wypoczywała, omawiając żywo poszczególne epizody krwawej walki.

Jednak bohaterami dnia byli ci legioniści, którzy z bagnetem w rękę rozbili trzykroć liczniejszego wroga, jak również kompania prowadzona przez Janka, gdyż przy szturmie pierwsza wdarła się na wzgórze 223, zdobyła karabin maszynowy i tren amunicyjny.

Nikt tu jednak nie zazdrościł sławy, bo przecież nie o to chodziło, że odznaczył się ten pułk, lub owa kompania, ale że legiony się odznaczyły, że zyskała na tem sprawa, w imię której walczyli i ginęli.

I gdy tak pułk prowadzony przez Nałęczą, i kompania Janka wypoczywały, nadszedł na ładnym koniu, komenderujący generał ze szta-

bem, i zatrzymawszy się przed wypoczywającymi salutował wraz z całym sztabem i zawołał głośno:

— Cześć wam i sława!

Zerwali się legioniści ze smaragdowej łąki, przetykanej kwiatami i jak na komendę krzyknęli:

— Niech żyje Polska!

Szef sztabu jakkolwiek zawsze zrównoważony, wstrzeźliwy w okazywaniu swych uczuć, teraz poruszony odpowiedzią legionistów, rzekł głośno:

Jesteście dzielni i zaci!

Podjechały kuchnie polowe i wszyscy rzucili się na zdobycie jedzenia, gdyż od wczorajszej wieczerzy nic nie mieli w ustach.

— Ale wiecie, — odezwał się jedząc krupnik młodziutki szatyn, znany w całej kompanii Franek, — ten nasz Hannibal, — a właśnie Franek był z jego kompanii, — ślicznie żył i zginął. Nie znał co bojaźń, a w bitwie zawsze uprzejmy i koleżeński... no, i kulka w bok wystarczyła, szkoda go.

— Nosił wilk, ponieśli wilka, — rzekł filozoficznie dziewiętnastoletni blondynek Zdziś, połykając kawałek mięsa, — twarda była szelma, zgryźć nie mogłem... a co ten Hannibal natłukł tych Moskali, a co którego zabił, to mówił

z uśmiechem: to za Sybir, bo podobno jego ojciec zginął na Syberyi.

— Ale też nie żałował nas,— rzekł chmurnie brunet Karol, który stracił brata, — i dziwi mnie, że Jędrus go chwali, ma dotychczas przestrzeloną czapkę.

— Głupstwo, — zaśmiał się Franek, — od tego wojna. Wszyscy żyć nie mogą, ktoś ginąć musi... Wiecie, jakiś tłusty Moskał, gdyśmy wpadli na jaszczyki, podniósł rewolwer na mnie, a ja bagnetem w brzuch... jak w ciasto wlaź, do samej lufy.

— Ja wolę strzelać, aniżeli kłuć, — rzekł Zdziś.

— A ja wolę białą broń. Mam przeciwnika przed sobą i walczę na równych prawach, — zawołał Franek.

Wszczął się spór dość gwałtowny i posypały się przykłady z przebytych walk.

Większości dokuczał brak papierosów i tytoniu. Ten i ów głośno narzekał; gdy to posłyszał przechodzący Janek, oddał im zawartość swej papierośnicy i rzekł:

— Wiecie, koledzy, Hannibalowi należy się śpiew, on tak lubił śpiewać.

— To się wie, — zawołali, a Franek dodał wstając: — i kwiaty lubił, chodźcie, zarzucimy trumnę kwiatami.

Przed zachodem słońca trzy trumny, dla

trzech poległych oficerów były gotowe. Obok tych trumien białych, które zdala na łące wyglądały jak olbrzymie lilie, ułożono ciała czterdziestu dwóch legionistów, owinięte kocami, gdyż nie stało desek i czasu na zrobienie tylu trumien.

Kaplica jaworzyniecka stała na środku cmentarza wiejskiego, otoczonego lipami i klonami. Tam wykopano cztery groby trzy dla oficerów i wspólny dla legionistów.

Koledzy i towarzysze z kompanii i plutonów, ponieśli trumny poległych legionistów na cichy cmentarzyk. Za tym długim szeregiem szedł generał z całym sztabem, kompania honorowa, i legioniści, a każdy niemal niósł pęk kwiatów i zieleni.

Spuszczono trumny oficerów, następnie ułożono warstwami legionistów, a gdy ksiądz kapelan odmówił stosowne modlitwy, i zaintonował *requiescat*, chór legionistów dokończył żałobnej pieśni.

Po rzuceniu przez księdza pierwszej garści ziemi, kompania dała salwę honorową, i natychmiast przystąpili do otwartych grobów legioniści, rzucając kwiaty i zielen na trumny i zwłoki kolegów.

Równocześnie chór zaśpiewał:

„Śpij kolego — twarde łoże,

Obaczym się jutro może.

Śpij kolego, a w tym grobie
Niech się Polska przyśni tobie“.

Po kwiatach generał wziął w rękę łopatę i rzucił ziemię do każdego grobu. Łopata przeszła do rąk sztabowców i wreszcie oddano ją legionistom.

W niespełna kwadrans usypano cztery mogiły, zatknięto białe krzyże, obrzucono kwiatami, i otoczono te groby drutem z rowów rosyjskich.

Po skończeniu tej pracy legioniści swobodnie i wesoło wracali do obozu, śmierć bowiem na polu walki nie robi na kolegach prawie żadnego wrażenia, od tego jest wojna, dziś on, jutro ja.

Chór zaintonował znaną ogólnie piosenkę:

„Haniś, moja Haniś,
Cóżeś za Hanisia,
Żeś mi nie podała
Rączki na konisia...”

Jankowi, który wracał z legionistami, zabiło serce radośnie na wspomnienie swej Hanisi i pomyślał z przyjemnością, że jego Hanisia nie tylko podała mu rączki, ale oddała mu serce. I jak to dobrze, że ona żyje pod opieką ojca, w zapadłej wsi i nie zazna okropności wojny.

X.

Rosyanie, wyparci ze swej linii obronnej na całym froncie przez wojska sprzymierzone, cofnęli się szybko i widocznie gdzieś dalej, bo posuwające się naprzód wojska nie napotykały oporu, a napływający do legionów ze wszystkich stron ochotnicy przynosili wieści, że Moskale tworzą nową linię obronną w gubernii siedleckiej. Jedni mówili o Międzyrzeczu, inni o Białej, ale zgadzali się w tem, że linia jest przed Brześciem.

Te głuche wieści zaniepokoiły Krzysia i Janka, jednego ze względu na żonę, drugiego na rodzinę.

Już przeszli większą część Królestwa, i widzieli naocznie, że gdzie Moskale się cofali, zostawiali za sobą spalone i zrabowane wsie, dwory, miasteczka a w ślad za nimi szła nędza, rozpacz, płynęły łzy, ociekała krew, dymiła się pożoga.

Ci co pozostali, lub wracali do swych siedzib, opowiadali o rabunkach, i niszczeniu

wszystkiego dla przyjemności niszczenia. Na prośby i zaklęcia odpowiadano batami i tem większem znęcaniem się nad bezbronnymi.

Teraz, gdy wojna w swym druzgocącym pochodzie stanęła żelaznym krokiem na ziemi, gdzie mieszkali ich blizcy, wszystkie widziane zniszczenia, ślady okrucieństw i samowoli żołnierskiej stanęły im w pamięci w żywych obrazach i barwach.

A jeśli... a jeśli... i nie kończyli przypuszczeń, dreszcz zgrozy wkładał się do mózgu i serca, i wiercił tam rany.

Krzyś zabijał pracą trawiący go niepokój, i dopiero gdy legł na odpoczynek zewsząd schodziły się widziadła gwałtu, męki i śmierci.

Jednego dnia, gdy go bardziej nękał niepokój, ordynans zameldował mu, że jakiś młodzieniec pragnie się z nim widzieć. Było to na noclegowym postoju i Krzyś kwaterował w izbie na wpół zniszczonego domu.

— Niech wejdzie.

W progu stanął Michaś Żurski z odznakami skautowskiemi na ubraniu i zaczerwieniony, mnąc kapelusz w rękach, rzekł z nieśmiałością:

— Nie poznaje mnie pan komendant?

Krzyś ucieszony, zerwał się ze stolka i schwyciwszy chłopca w objęcia ucałował go, wołając:

— Michaś!... Michaś!... a ty skąd? Co robisz tutaj?

— Przyszedłem wstąpić do legionów i zgłosiłem się do pana.

— Bardzo dobrze zrobiłeś... Głodnyś, co? Mów szczerze, — zachęcał Krzyś patrząc na wymizerowaną twarz chłopca.

— Jeśli można... zjadłbym coś.

— Byle dużo, nieprawdaż? — zaśmiał się Krzyś, i otwierając drzwi rzekł do ordynansa: — biegnij do Julka, niech daje co ma pod ręką, niech zaraz daje.

Zamknął drzwi i patrząc mu bystro w oczy spytał:

— Michasiu, kiedy z domu?

— Dziś czwarty dzień.

— To dobrze... cóż u was słyhać?

— Dziękuję, ale nieszczególnie.

— Cóż takiego? — spytał zaniepokojony.

— Zarekwirowali tatusiowi Moskałe, to jest na kwit zabrali całe zboże i inwentarz.

— Jakto wszystko zboże?

— Zostawili tylko trochę na przekarmienie ludzi, a z inwentarza zostawili może dziesiątą część.

— Hm... to źle, a cóż mama?

— Mama z Bronią wyjechała na Wołyń do krewnych, bo u nas wojna.

— Wojna?

— Zapewne pan wie, że Moskale chcą się bronić nad Wieprzem.

— Daleko od nas?

— Ze dwie mile najwyżej, i budują szanice, kopią rowy.

— A w Zalesiu byłeś?

— Nie. W Zalesiu pusto...

— Jakto pusto?

— Więc pan nie wie? — zdziwił się, — to była bardzo głośna sprawa. Czy pan wie o Mimi?

— Wiem.

— Otóż od tej chwili zaczęto śledzić panią... mówiono, że porozumiewa się z legionami... że pewno pan w legionach. Co chwila były rewizye, poszukiwania, protokoły, więcej pani przesiadywała w urzędzie, jak w domu.

— No i co? Mów! Gdzie ona?

— Pani wyjechała, a było to tak. Tatuś i pan Krzycki radzili pani wyjazd, bo jeśli wojna zbliży się do nas, panią, jako podejrzaną o szpiegostwo, wywiozą albo na Sybir, a może zrobią co gorszego.

— Tak, obydwaj mieli słuszność.

— Pani nie chciała opuszczać Zalesia, bo ekonom wrócił i gospodarował, ale Moskale zabrali zboże, z koni tylko jedną parę zostawili, a z bydła dwie krowy i kilka cieliczek.

Nie było czem gospodarować i pani się zdecydowała.

— To bardzo dobrze... mów dalej.

Ordynans wniósł wódkę, słoninę, chleb i krupnik w menażce.

— Jedz, Michasiu.

— Zaraz, niech już dokończę... Pan Krzycki ma krewnych w Sandomierskiem, wtedy jeszcze można było tam się dostać, chociaż z trudem, i pan Krzycki sam odwiózł panią z Władysiem do nich, a oni pewno już wysłali panią do Galicyi.

— Nie mówiła, dokąd pojedzie?

— Do krewnych... do państwa Janickich.

— A tak... już wiem. Jedz, Michasiu, jesteś posłem dobrych wieści... bardzo się cieszę, że przyjechałeś i zgłosiłeś się do mnie.

Michaś był widocznie zgłodniały, bo właściwie nie zjadał podanej żywności, lecz wprost połykał, a Krzyś kazał podać drugą porcję krupniku.

— Jakim sposobem dostałeś się tutaj? Czy tatuś wie o tem?

— Nie!

— Zmartwisz go Michasiu.

— Wcale nie, będzie bardzo ucieszony.

— Tak?

— Wie pan, gdy wojna zbliżyła się do nas, prosiłem, ażeby mnie puścił, jak to przyrzekł.

Tatuś powiedział, że obietnicy dotrzymuje i na dowód pokazał mi kopię listu do komendy legionów, ażeby mnie przyjęto na koszt własny do szkoły podchorążych. Zanim jednak odpowiesz przyjdzie, prosił mnie tatuś, ażebym pojechał na Wołyń, na co się zgodziłem i dałem słowo honoru.

— Ładny Wołyń, — zaśmiał się Krzyś, — wstąpił do piekła, po drodze mu było.

— Niech pan posłucha dalej, przecież dałem tatusiowi słowo, i naprawdę jechałem na Wołyń. Na naszych stacyach nie wydają biletów cywilnych i tatuś wyprawił mnie powozem do Lublina, a dalej już koleją... Jestem już blisko Lubartowa, aż zatrzymuje mnie na gościńcu oficer rosyjski, wyrzuca mnie z powozu, a gdy protestuję, zwraca się do swych żołnierzy i rozkazuje: zabierzcie go, oddacie na etapie i powiedzcie, że biorę go na dieńszczyka.

— Ładna historia... teraz rozumiem, — rzekł Krzyś poważnie.

— Żołnierze zabrali mi pasport, pieniądze i zegarek. Naturalnie uciekłem, ale gdybym poszedł na Wołyń, byliby mnie szukali i znaleźli. Czy mogę służyć Moskalom?

— Oczywiście rzecz, że nie! — rzekł Krzyś.

— Więc przedarłem się do legionów.

— Bardzo dobrze i słusznie postąpiłeś. A jakim sposobem mnie znalazłeś?

— Zaraz... otóż szedłem polami i lasami, bo nie miałem posportu. Widzę zdaleka, że gościńcem jedzie kawalerya, przypatruję się, nasisi! Wjechali do miasteczka, wszedłem i ja... aż tu jeden ułan zagadał do mnie: paniczu, a wy tu skąd? Znał mnie widocznie, a ja zaraz spytałem o pana. Pokazał mi kwaterę. A teraz, czy pan mnie przyjmie?

— Już jesteś przyjęty, — uśmiechnął się przyjaźnie Krzyś, — z umundurowaniem poradzimy sobie... ja mam zbędne portki... chorąży Krzywda ma bluzę, o ile wiem, tylko najgorzej z koniem.

— Zdobędę go na Moskalach, — upewniał Michaś poważnie.

— Cóż robić, — westchnął Krzyś, — mam ładną klacz Utrzymankę, dam ci ją, póki nie znajdę konia dla ciebie.

O, w pierwszej bitwie zdobędę konia, a za dobroć pana, bardzo dziękuję.

— Ale Michasiu, mimo naszej znajomości i przyjaźni, ty jesteś rekrutem i prostym żołnierzem i musisz być we wszystkim posłuszny sekcyjnemu. Każe ci gnój wyrzucać, obrok zasypywać, paść konie, siodłać, musisz to robić chętnie i bez szemrania.

— Ależ proszę pana, jestem przecież skautem i wiem co przełożony.

— To już dobrze, — spojrzał na zegarek, —

wkrótce podadzą wieczerzę, zjesz z nami, i na dziś każe ci posłać tutaj.

— Prosiłbym o pozwolenie przepędzenia nocy z ułanami, to będzie lepiej.

— Zgoda... A co Michasiu, dzieje się w Paprotni, u Kańskich?

— Byliśmy u nich z tatusem. Panny wyjechały do krewnych na Litwę, a sama pani została i gospodaruje w dalszym ciągu... Gdzie jest pan Janek? Chciałbym go widzieć.

— Janek jest komendantem kompanii, zobaczysz go przy sposobności, zresztą on sam cię odszuka, bo jest niespokojny o rodzinę.

— Proszę pana, jeśli wolno zapytać, co my teraz robimy?

— Jacy my?

— No, my, ułani, bo przecież jestem ułanem, chociaż dopiero rekrutem, — uśmiechnął się.

— My już od dwóch tygodni wyszukujemy Moskali i przepędzamy. Moskale z tej strony Wieprza rozrzucili większe i mniejsze oddziały, ażeby nam utrudnić dotarcie do ich pozycji. Wszędzie psują mosty, drogi, wypędzają mężczyzn za Bug, ażebyśmy nie znaleźli pomocy... ale my i tak dotrzemy do nich.

— Mówili żołnierze moskiewscy, że z Rosyi jedzie cała armia i mnóstwo armat.

— To może najważniejsza przyczyna nie-

dopuszczania nas do ich pozycyi. Zbiegi z ich wojska potwierdzają niedostatek amunicyi. Czekaają na przesyłkę z Rosyi.

— Więc teraz ich bić! — zawołał Michaś.

— To nie zależy odemnie, tylko od komendy, a jeśli ona zwleka z uderzeniem, widać, że są racye po temu.

Istotnie Moskale zostawili przed zamierzoną linią obronną na szerokim pasie oddziały wojska, które miały się cofać przed nadchodzącym nieprzyjacielem niszcząc komunikację kolejową i kołową. Ludność zaś otrzymała rozkaz opuszczenia siedzib i przeniesienia się w głąb Rosyi z żywym inwentarzem, a to pod grozą surowych kar i natychmiastowego, przymusowego wysiedlenia.

Taktyka ta, stosowana przez Kutuzowa w Rosyi na wielkich przestrzeniach bardzo słabo zaludnionych, okazała się wyborną w czasie wojny z Napoleonem I; ogłodzono wielką armię, a mrozy i śniegi dokończyły zniszczenia.

Ale dziś, przy ogromnym rozwoju techniki w budowaniu kolei wojennych, przy samochodach, telegrafach, telefonach, w kraju gęsto zaludnionym i zagospodarowanym, naśladowanie taktyki Kutuzowa było bezmyślnem i okrutnem barbarzyństwem, stosowaniem zresztą tylko w Królestwie Polskiem, bo już za Bugiem,

wprawdzie wysiedlono ludność, ale nie palono wsi i miast.

Celem oczyszczenia kraju z Moskali w odcinku linii ofensywy, którą kroczyły legiony, komenda legionów wysłała pomiędzy innymi oddziałami, także batalion komenderowany przez Porwę, uzupełniwszy go kompanią Saperów, którzy mieli naprawiać mosty i gościńce, ażeby umożliwić pochód głównych sił, przewóz dział i taborów. Do służby wywiadowczej odkomenderowano do batalionu Porwy, szwadron Krzysia.

Porwa posuwał się szybko naprzód, a płosząc Moskali, nie dawał im dosyć czasu na planowane spalenie i wyludnienie kraju.

Wybornego współpracownika znalazł Porwa w Krzysiu, który oburzony bestyalskiem postępowaniem Moskali, pełniąc służbę wywiadowczą, z niesłychaną odwagą zapuszczał się w głąb kraju, napadał liczniejsze nawet oddziały moskiewskie, a zwłaszcza tępił bez litości kozaków; okrutnych i wyrafinowanych wykonawców rozkazów komendy. Po miastach i miasteczkach egzekutorami było wojsko regularne, trzymane bądź co bądź na uwieży dyscypliną wojskową, wsie zaś i osady zostały wydane na pastwę kozaków.

On i jego ułani stali się postrachem Moskali, to też komenderujący generał rosyjski, widząc,

że ułani i batalion Porwy, zachęceni łatwemi zwycięstwami, weszli w kraj głęboko, postanowił z okolicznych miast i miasteczek zgromadzić liczniejsze siły, otoczyć ich, i zanim nadejdzie im pomoc z głównego korpusu armii, zdusić i zniszczyć tych śmiałków.

Nie wiedząc i nie przeczuwając rosyjskich planów, Krzyś, jako znakomity partyzant, czuł wiszące nad nim niebezpieczeństwo.

Nie podobało mu się, że już drugi dzień, nie spotkał on, ani też wysłane patrole silniejszego oporu ze strony Moskali, w miasteczkach nie było wojska, a po wsiach kozaków.

Dzień był chmurny, często przepadał deszcz a pod wieczór rozdeszczyło się na dobre.

Późnym wieczorem przyjechał do wsi, wyznaczanej na nocleg i gdzie patrole wysłane w różne strony miały przyjechać z raportami. Najzupełniej przemoczony czuł się zmęczonym i wyczerpanym, ale przed nadejściem raportów, nie można było myśleć o rozebraniu się i spoczynku.

W izbie kazał rozpalić wielkie ognisko w piecu chlebowym, usiadł na zydlu, a pod wpływem ognia zaczęło parować ubranie i siedział cały w mgle. Wszedł chorąży Krzywda, młody, rozrośnięty, blondyn, z kosmykiem włosów na jasnem czole, i zawołał:

— Komendancie, co to jest? Cały jesteś w czerwonej aureoli.

— Byle nie w męczeńskiej, — zaśmiał się Krzyś, — wolę w zwycięskiej. Siadaj obok, pewnieś przemokł do nitki.

— Nie mogło być inaczej, — uśmiechnął się siadając przy ogniu, — zawsze idę twoimi śladami komendancie.

Wszedł chorąży, dzwoniąc ostrogami, a cały ociekał wodą.

— Melduję posłusznie, panie komendancie, że patrolując w stronie Brodzina, ujrzałem znaczniejszy oddział moskiewskiej piechoty i z pół seciny kozaków. Zdaje się, że będą nocowali we wsi Wierzbinki i w Cetwarowej, gdyż ściągnęły się i tabory.

Krzyś pilnie wpatrywał się w mapę i spytał:

— Ile było wojska? Jak sądzisz panie chorąży?

— Dokładnie nie wiem, lało jak z cebra i chociaż do zachodu daleko, ale zmierzch panował. Przypuszczam, że batalion, może więcej.

— Dziękuję.

Chorąży salutował i wyszedł, a Krzyś rzekł:

— Wiesz, Krzywda, dziwi mnie ten oddział Moskali, czego chcą tutaj?

— Daleko te Wierzbinki?

— Siedm do ośmiu kilometrów.

— Teraz tak często przesuwają wojsko z miejsca, na miejsce, — mówił obojętnie Krzywda, — a nie są znów tak blisko, ażeby nam mogli szkodzić.

— No, tak... zapewne... jutro sprawdzimy.

Za chwilę przyszedł podporucznik Soplica, otarł dłonią twarz ociekającą deszczem i w postawie wojskowej zaczął:

— Melduję posłusznie, panie komendancie, że patrolując w stronie Łyszczewa, dowiedziałem się od chłopów, że we wsi Małyszewo z przysiółkiem Zawady zakwaterował się na noc batalion, albo pułk.

Poszedłem sprawdzić, bo znalazł się usłużny chłop, który mnie zaprowadził, i ze skraju lasu widziałem sam, jak gospodarowali we wsi. Widziałem też pomiędzy nimi kozaków i artylerzystów.

— Blisko byłeś, panie podporuczniku?

— Jakie trzysta kroków od wsi.

— Dziękuję.

Po jego wyjściu wstał Krzyś, rzucił niedopalony papieros w piec, przeszedł się po izbie i stanawszy przed chorążym mówił:

— Nic innego, tylko jakaś ekspedycja... bo zważ tylko: Wierzbinki są od nas na północny zachód, zaś Małyszewo, prawie w prostej linii na południowy wschód. To wygląda podej-

rzanie. — Znów się przeszedł, zapalił papierosa i chodząc mówił, a raczej monologował:— Gdyby przynajmniej wiedzieć, jakie siły, ile dział... możnaby się zorientować i dać znać Porwie... ach, gdyby języka dostać!

— Dostawię ci, jeśli chcesz, komendancie,— rzekł spokojnie Krzywda.

— Naprawdę? Dostawisz?

— Gdybyś wydał rozkaz, musiałbym dostawić, więc niech ci się zdaje, komendancie, że rozkazałeś.

— Kiedy jedziesz?

— Jak tylko konie wypoczną, wezmę dwóch ułanów ze sobą.

— Głodnyś?

— Jak wilk.

Krzyś kazał przynieść jedzenie od Julka i rzekł:

— Ja każę konie przygotować, a ty przestudyuj mapę.

— Dziękuję, ale to niepotrzebne. Znam dobrze okolice, bywałem tu na wakacjach, a w lesie Małyszewskim pod wsią, polowałem. Konie będą gotowe, — zajrzał na zegarek, — dopiero pół do ósmej, a o dziewiątej pojedę.

Nadeszli inni oficerowie, podano kolację, żartowali z deszczu, błota, zajadali młode kartofle ze słoniną i jak zwykle byli pełni radości i pewni zwycięstwa.

O dziewiątej rozeszli się, wyszedł i Krzywda, a na odchodnem rzekł mu Krzyś:

— Zbudź mnie, czy będziesz miał, czy nie.

— Zbudzę i sam obaczysz go w izbie.

Wkrótce wyjechał samotrzeć a znając drogę, chociaż noc była ciemna, że choć oko wykol, jechał kłusem w kierunku Małyszewa, oddalonego o sześć wiorst.

— Na piątej wiorście zatrzymał konia i rzekł do ułanów:

— Teraz w ślad za mną, okrążymy las.

Zwolna posuwali się nad szumiącym potokiem, potem przez uprawne pola, aż dojechali do drogi wiodącej z południowego wschodu do Małyszewa.

U wjazdu do wsi, żołnierz będący na straży zawołał:

— Kto idiot?

— Swoj!

Ponieważ jechali od strony, z której przy-maszerowało wojsko, żołnierz zadowolił się tą odpowiedzią, a Krzywda z ułanami wjechał do wsi.

Prawie we wszystkich chatach było ciemno, lub błyszczało tylko drobne światełko małej lampki. Dopiero w szkole okna były jasno oświetlone. Krzywda podjechał do okna. Za stołem, na którym była rozłożona mapa, siedział niemłody mężczyzna, z eleganckimi bo-

kobrodami, odczytywał jakiś papier i co pewien czas znaczył coś na mapie. Obok stała nadpita szklanka herbaty i butelka z rumem. W pokoju w tej chwili był dieńszczyk widocznie, bo trzymał talerz w ręku.

Krzywda zeskoczył z konia, ułani również, a poleciwszy jednemu z nich potrzymanie koni, z drugim wszedł do sieni, otworzył drzwi do izby szeroko i trzymając rewolwer gotowy do strzału, zawołał piorunującym głosem.

— Ruki w wierch!

Moskale widząc jeden rewolwer w ręku Krzywdy, a drugi wymierzony przez ułana stojącego w drzwiach, pobledli i posłusznie podnieśli ręce.

Krzywda ciągle z wymierzonym rewolwerem, zabrał papiery ze stołu i mapę. Narzucił opodal na krzesło złożony płaszcz na ramię oficera, i rzekł po rosyjsku:

— Kto z was piśnie słowo, kula w łeb, i to wszystkim trzem. Pojedziecie z nami.

Sam poprowadził oficera, dotykając lufą rewolwera jego ucha, ułan prowadził dieńszczyka.

Wyszedszy ze szkoły, kazał dosiąść konia jednemu ułanowi i przed nim posadził dieńszczyka; następnie sam siadł, a ułan podał mu oficera rosyjskiego.

Jechali przez wieś zwolna w kierunku swego

postoju. Straż puściła ich bez pytania, sądząc, że to patrol wysłany. Na drodze pospieszyli szybciej, a oficer spytał po rosyjsku:

— Gdzie mnie pan wiezie?

— Do komendanta polskich ułanów.

— Czy to rotmistrz Krzyś?

— Zna go pan? — zaśmiał się Krzywda.

— Nu, czy to co dziwnego? Wszyscy słyszeliśmy o nim. Czy do niego?

— Tak jest.

— Srogi to człowiek, — westchnął oficer.

— Dla nieposłuszných strasznie srogi, — powiedział z rozmysłem, — powiesić, to dla niego tyle, co dla innego gwizdnąć.

Oficer w odpowiedzi westchnął.

Dojechali do kwatery Krzysia. W izbie świeciła lampa. Krzywda kazał ordynansowi Krzysia potrzymać konie, i wszedł z dwoma jeńcami w towarzystwie ułanów. Zastał Krzysia śpiącego w ubraniu, a przemoczone wieczornym deszczem rzeczy suszyły się na piecu.

— Komendancie! — zawołał Krzywda.

Krzyś zerwał się, siadł na łóżku, i spytał pół przytomny ze snu:

— Co jest?

— Przyprowadziłem jeńców.

Krzyś już oprzytomniał, wstał, spojrzał na

porwanych z obozu Moskali i rzekł do Krzywdy:

— Dziękuję ci. Czy zrewidowałeś ich?

— Nie było czasu.

— Ułani, obszukajcie ich, czy nie mają broni, a co ich, zostawcie im.

Broni nie znaleziono, a Krzyś rozporządził:

— Tego — wskazał na żołnierza, — oddajcie na posterunku pod straż... a z wami panie oficerze pogadam, — rozświecił lampę i tak ustawił, ażeby światło padało na twarz jeńca.

Po wyjściu ułanów z Moskałem, odezwał się Krzywda:

— Komendancie, ze stołu tego oficera zabrałem papiery i mapę, — wyjął przedmioty z kieszeni.

— Przejrzyj, może co ważnego dla nas... Nazwisko wasze, oficerze?

— Iwan Mikołajewicz Sacharowicz.

— A... macie krewnego w dragonach?

— Brat mój rodzony, Michaił Mikołajewicz rotmistrz.

— Jaka wasza szarża?

Porucznik i adjutant pułkowy.

— Jeśli poruczniku na moje pytania będziecie odpowiadali szczerą prawdę, nie spotka was żadna krzywda, w przeciwnym razie

użyję surowych środków, a w danym razie ka-
żę was powiesić lub rozstrzelać.

— Pytajcie, powiem prawdę.

— Ile wojska w Małyszewie?

— Jeden batalion, bateria artylerii i pół
setni kozaków.

— Kto dowodzi batalionem?

— Pułkownik, Andrej Andrejewicz Woł-
czyn.

— Gdzie drugi batalion?

— Dzisiaj nocuje w Wierzbinkach.

— Ile ludzi?

— Takiej siły, co w Małyszewie.

— W jakim kierunku marsz i w jakim celu?

— Otoczyć was i batalion polski.

— Komendancie! Przepraszam, że przery-
wam indagację, ale mam tu ważniejszy doku-
ment, zresztą adjutant mówi prawdę.

Krzyś przystąpił do stołu, wziął w rękę
papier i czytał z ogromnem zajęciem. Był to
rozkaz komenderującego generała mianujący
pułkownika Andreja Andrejewicza Wołczy-
na komendantem ekspedycji przeciw Krzysio-
wi i Porwie. Zarazem nakreślony był plan i ilość
wojska przydzielonego do ekspedycji, z wy-
mienieniem miejscowości i drogi, którądy
wojsko ma iść i gdzie się połączyć, ażeby pier-
ścieniem otoczyć batalion Porwy i szwadron
Krzysia.

— Czy rozkaz jest prawdziwy? — spytał jeńca.

— Jest przecież podpis i pieczęć.

— Krzywda, każ trąbić na alarm, nie ma chwili do stracenia, — a gdy zostali sami, spytał oficera: — czy wiedzieliście gdzie byliśmy wczoraj?

— Nie! Lud jest nam wrogi i daje fałszywe informacye o was.

— To w porządku, a wy z czynnej służby?

— Nie! Przed wojną byłem naczelnikiem kancelaryi banku Chabarowsko-Petersburgskiego, i o! popadł na nieszczęście do wojska.

— Na oryginale rozkazu jest wzmianka o kopii, gdzie ona jest?

— U komendanta batalionu w Wierzbinkach.

Zabrział sygnał, a Krzywda wrócił do izby komendanta, który przemówił:

— Proszę cię, zajmij się jeńcami. Każ zarekwirować furmankę, jako straż dasz dwóch pewnych ułanów i odwieź ich do batalionu Porwy... My musimy być wcześniej na miejscu.

— Według rozkazu, komendancie.

XI.

Krzyś znajdował się o dziesięć kilometrów od batalionu Porwy, ale drogę tę przebywali już raz ułani, więc mimo ciemności jechali szybko i około trzeciej godziny przed świtem dotarli do batalionu.

Wprost do kwatery Porwy zajechał Krzyś, obudził go, a gdy ten się ubierał, czytał mu rozkaz komenderującego generała rosyjskiego.

— Jeśli to nie jest falsyfikat, to prawdziwy skarb dla nas. Skąd masz?

— Chorąży Krzywda ze środka obozu moskiewskiego porwał adjutanta pułkowego i wraz z papierami dostawił do mnie.

— Dzielnie się spisał, — uchylił drzwi Porwa i rozkazał: — zbudzić adjutanta Pawelskiego i natychmiast niech przychodzi... Dyżurny oficer niech każe trąbić na alarm... Idź!

Zajrzał do rozkazu rosyjskiego i otwierał swoją mapę.

— Nie trudź się, — wyjął Krzyś mapę rosyjską, — tu masz miejscowości podkreślone, a drogę oznaczoną czerwonym ołówkiem, tylko miejsca naszego pobytu trochę fałszywe.

Porwa jakiś czas w milczeniu patrzył na mapę, na rozkaz, wreszcie rzekł:

— Tym dwom kompaniom, które mają nas odciąć, damy radę, ale z pułkiem trudniejsza sprawa. Zawiadomię komendę o położeniu i poproszę o posiłki.

— Jak uważasz, — zapalił Krzyś papierosa, — ale zdaje mi się, że zanim posiłki przyjdą, będziesz miał dziś wieczorem cały pułk z bateriami i kozakami na karku.

— Hm... może... namyśle się.

Wszedł adjutant wysoki, szczupły szatyn, doktor filozofii przed wojną, poprawił binokle i wygłosił:

— Melduję się posłusznie do służby, panie komendancie.

— Siadajcie kolego, przeczytajcie rozkaz komendy rosyjskiej i zatelefonujecie raport, a jaki, powiem wam później, wpierw zobaczę, co robią nasi legionieści.

Po jego wyjściu, Krzyś rozciągnął się na łóżku Porwy i w kilka chwil usnął.

Zaledwie adjutant skończył czytanie, Porwa był z powrotem.

— Cóż, kolego?

— Czy rozkaz autentyczny?

— Dowiedzie się później szczegółów... ale autentyczny... Sądzę, że najpierw zażądamy posiłków z komendy. Telefonujcie, podajcie treść rozkazu zdobytego, i że zamierzam znieść dwie kompanie dążące do odcięcia nam drogi na zachód; następnie wybiorę dobrą pozycję, okopię się i zaczekam na atak pułku.

— Tak jest... rozumiem, idę do telefonu.

Wrócił za małą chwilę z oznajmieniem, że telefon został przed chwilą przerwany.

— Ach, tak! — rzekł Porwa, wziął mapę do ręki i po chwili dodał: — to sprawka kompanii rosyjskiej z Kurowa. Jeśli wyruszyli przededniem, to straż przednia musiała o tej porze natrafić na nasz drut telefoniczny i przerwała go. Spójrzcie kolego na moją mapę.

Obydwaj nachyliłi się nad kartą rosyjskiego sztabu, a adjutant rzekł:

— To więcej niż prawdopodobne.

— Więc piszcie raport do komendy, każcie zrobić kopię i wyszlemy dwóch ułanów odmienną drogą do komendy.

Zameldowano Porwie o przybyciu trzech jeńców wziętych przez Krzysia.

— Odprowadzić na odwach, — rozkazał

i w tej chwili pomyślał, co zrobi z nimi? Odeśłać ich do komendy wobec niepewności drogi nie może, zatrzymać do bitwy, źle!... Wziął ich Krzyś, niech sobie zatrzyma. Zbliżył się do łóżka i zawołał:

— Krzyś!

— Co jest? — siadł na łóżku.

— Zabieraj sobie swych jeńców, bo co ja z nimi zrobię?

— Także racya budzić mnie, — rzekł gniewnie, — powieś ich, wypuść, co mnie to obchodzi?

— Oni do ciebie należą.

— Ale z rozkazu tego generała korzystasz... zabierzże sobie i jeńców, — drapał się po głowie i szyi: — słuchaj Porwa, u ciebie, na łóżku są gryzonie.

— Może i są, od tego wojna, — zaśmiał się, — ale ja nie czuję.

— Wiesz, ja mam polowe łóżko, moją nadymaną poduszkę, mój koc, i te szelmy są.

— A wiesz, Krzysiu, jaki mam plan?

— No!?

Wszedł adjutant przedkładając dwa krótkie raporty do podpisu, a Porwa rzekł:

— Przeczytajcie, kolego.

Krzyś pilnie słuchał, a po skończeniu powiedział kwaśno:

— Sądziłem, żeś dzielniejszy.

— Albo co? — spytał Porwa.

— Dla mnie, na twojem miejscu, rzecz jasna i oczywista. Co będziesz się włóczył z całym batalionem na marne dwie kompanie. Wyśłałbyś po jednej kompanii naszych, na każdą rosyjską i niech ich prą na naszą komendę.

— No, a pułk?

— Ach, prawda, zapomniałem ci powiedzieć... pułkownik w Małyszewie niema rozkazu i teraz szukają adjutanta... batalion w Wierzbinkach posiada kopię i pójdzie wyznaczoną drogą....

— Już wiem, — zawołał Porwa, — ta kopia rozstrzyga, masz rację. A kolega co myśli?

— Plan dobry, może się i uda, ale swoją drogą zażądałbym pomocy z komendy i zawiadomiłbym o planie, bo zerwany telefon może wywołać komplikacje.

— Bardzo słusznie, — rzekł Porwa, — zredukujcie raport, i ordynansowi każcie poprosić do mnie komendantów: Janka i Rybałtowskiego.

Wkrótce weszli obydwaj, salutowali, a Porwa powiedział:

— Mapy do ręki.

Szczegółowo wskazał drogę, którą mają odbyć dwie kompanie rosyjskie i rozporządził:

— Na kompanię zachodnią pójdzie komen-

dant Janek; na wschodnią komendant Rybaltowski. Gdzie ich zaskoczyć i na nich uderzyć, zostawiam wam do woli. Należy przeć ich na naszą komendę, a nie dopuścić w kierunku naszego batalionu. Skończyłem, życzę wam szczęścia i zwycięstwa.

— Dziękujemy.

— Po rozbiciu ich, cofniecie się tutaj, zostawię łącznika i dalsze rozkazy. Porucznik Krzyś przydzieli do każdej kompanii dziesięciu ułanów.

— Rozumiemy! — salutowali i wyszli.

— Pójdę wydać rozkazy, — wziął Krzyś czapkę.

— Wróć naradzimy się.

— Dobrze.

Ułożyli się, że straż przednia i ułani zawiążą walkę z batalionem w oznaczonym z góry miejscu, przy wyjściu drogi z wąwozu dość płytkiego, a wówczas Porwa wpadnie na nich z lewej strony od lasu. W wąwozie trudno będzie rozwinąć się batalionowi, powstanie zamieszanie w szeregach i przebieg bitwy rozstrzygnie się na naszą korzyść.

Wszedł adjutant, a Porwa na wszelki wypadek dopisał do raportu nazwę miejscowości, Kaweczno, w której zamierza stoczyć bitwę z batalionem.

Zostawiwszy tabory pod osłoną ułanów,

wyruszył Porwa na wyprawę. W drodze napadły go wątpliwości, czy sprosta on sile batalionu, a jeśli nawet odniesie zwycięstwo, czy nie nadciągnie pułkownik z Małyszewa, bo usłyszy napewno strzały. Już miał wrócić i czekać Moskali w umocnionej pozycji, jak pierwotnie zamierzał, ale wstyd mu było przyznać się do swych obaw, a widok raźnie maszerujących legionistów, i nieskalana pogoda nieba, natchnęły go dobrą myślą.

O cztery wiorsty przed Kawecznem nadbiegł z ordynansem swoim Krzyś, który szedł przed strażą przednią, podjechał do Porwy i wziawszy go na bok mówił szybko:

— Żle! Patrole dały mi znać, że pułkownik z batalionem Małyszewskim, ciągnie w tę stronę i prawdopodobnie złączy się z batalionem idącym z Wierzbinek. Będziemy mieli przeciw sobie cały pułk, baterye i secinę kozaków. Na razie zatrzymałem ułanów na przedzie i straż przednią.

Porwa przy pierwszych słowach lekko przybladł, ale wkrótce zapanował nad sobą i rzekł spokojnie:

— Dobrze zrobiłeś. Nakazę odwrót, ty z ułanami będziesz go bronił. Daj mi zupełnie pewnego ułana, muszę zawiadomić komendę... Ułana pewnego i konia pewnego, — pisał ołów-

kiem na kartce, kazawszy wprzód stanąć kolumnom.

Krzyś zwrócił się do ordynansa:

— Znasz Michasia? Tego co jeździ na moim koniu?

— Znam.

— Skocz, niech natychmiast przyjedzie tu z tobą.

Porwa skończył raport, podjechał do batalionu i zawołał:

— Batalion... Baczność!... W tył... zwrot!

Oficerowie i podoficerowie powtórzyli komendę, a gdy batalion stał frontem, do kierunku skąd przyszedł, zawołał Porwa:

— Batalion... Marsz! — i do adjutanta ciszzej: — Bez trąbek i bębnow!

Następnie skinął na Krzysia i jadąc z nim razem mówił:

— Niecałe dwa kilometry, od tego miejsca, widziałem w przejeździe śliczny teren do obrony pozycyjnej.

— Gdzie to? Jak wygląda?

— Wiesz, ten młyn nad rzeczką z dziwacznie pokręconymi wierzbami... Otóż powyżej młyna, może z pięćset metrów, jest dość strome wzniesienie, porośnięte tu i ówdzie brzo-
zami, a za wzniesieniem mokra łąka porośnięta sitowiem i szuwarami. Zdaje się, że jedyna

droga możliwa do szturm, to ze strony młyna, ale ona jest zarazem drogą odsieczy.

Nadjechał Michaś z ordynansem, a Krzyś trzymając raport w ręce przemówił:

— Michasiu, ten raport stanowi o zwycięstwie lub klęsce naszej, bo chodzi o pomoc komendy. Musisz go dostawić, chociażby pioruny, granaty i szrapnele były. Jedź, nie żałuj konia, niech padnie, ale w komendzie.

— Wedle rozkazu, — zawrócił konia i odjechał.

— Porwa i tam myślisz się bronić?

— O ile dojdę, to tam.

— Ale konie będą bez osłony i wystrzelają Moskale.

— Dasz mi pluton pieszych ułanów, a ty z resztą pojedziesz osłaniać tabory, zwłaszcza amunicyjny, i jeśli zdołasz, przyszlj mi amunicyi, bo może wieczorem zbraknąć.

— Postaram się... Jadę na tyły, licząc na mnie, że powstrzymam ich póki nie zajdziesz i nie przygotujesz się jako tako do obrony. Do widzenia, Porwa!

— Krzyś, tabory!

— Wiem.

Legioniści nieprzyzwyczajeni do odwrotu bez zmierzania się z nieprzyjacielem, szli zwolna, ociężale, ciężły im plecaki, karabiny, ładownice i pełne kieszenie nabojęw. Na twa-

rzach malował się zawód spotkany i zniechęcenie.

Porwa chcąc legionistom dodać animuszu i wesołości, podjechał do jednej z czwórek idących w kolumnie marszu chłopaków wesołych, którzy urządzali tak zwane koncerty w obozie i w rowach strzeleckich, a zrównawszy się z nimi rzekł wesoło, trawestując jedną z piosenek żołnierskich:

„Że major biedny, to nie wstyd,
Wszak wojna nie bogaci,
Ja za piosenkę dam wam kwit
A N. K. N. zapłaci“.

— Panie majorze, — odezwał się jeden z nich, młody brunet z wesołą twarzą, — za porcyę Moskali damy sto piosenek.

— Będziecie mieli nie jedną porcyę, ale na obiad, podwieczorek, kolacyę... a może i na jutrzejsze śniadanie, — odpowiedział z uśmiechem.

— Wiwat! — zawołali chórem, i natychmiast zaintonowali pieśń:

„O mój rozmarynie rozwijaj się“...

a zwrotkę ostatnią:

„Pójdziemy z okopów na bagnety!
Pójdziemy z okopów na bagnety

Śmierć mnie ucałuje, śmierć mnie ucałuje
Ale nie ty!... ale nie ty!"

dwukrotnie powtórzyła maszerująca kolumna z pewną lubością i rozkoszą.

Pieśń zrobiła swoje. Legioniści wyprostowali się, nogi stapały lekko, plecaki i amunicja przestały ciężuć, a gdy się dowiedziano, że spotkanie z Moskalami jest pewne, i że odwrót ten nie oznacza ucieczki, poprawiły się humory i z zapalem zaśpiewano starą żołnierską pieśń: „Idzie żołnierz górą, lasem...“, a dalsze zwrotki dwukrotnie, bo „aż oskoma bierze“ przy słowach:

„Gdy przez miasto wędrujemy

Ładne panny całujemy

Oj bieda, to bieda

Oj, bieda, niedola.

Panny ceniąc nas wysoko,

Robią do nas „perskie oko“,

Oj bieda, to bieda

Oj bieda, niedola.“

Już pierwsza kompania stanęła na wybranej przez Porwę pozycji, i ustawivszy karabiny w kozły, rzuciwszy na ziemię plecaki, chlebaki i ładownice, zaczęła łopatami kopać rowy, gdy w oddali dały się słyszeć strzały,

a legionieści w marszu będący, uradowani, zaśpiewali na nutę strzelecką:

„Idą batiuszki

I cara służki

Moskale, Moskale, Moskale są!“

Porwa słuchając tej piosenki, dziarsko do marszu śpiewanej, rzekł z uśmiechem zadowolenia do adjutanta:

— I jak tu ich nie kochać, i jak nie zwyciężać z nimi!

— Nic dziwnego, — odparł adjutant, — bo w tej wojnie przekonałem się, że naród nasz posiada niezwykły talent żołnierski, byle mundur wdział chłopak wiejski, już staje się żołnierzem od stóp do głowy.

— Dowodem, my dwaj filozofowie, — zaśmiał się Porwa.

Strzały ustały, a Porwa rzekł:

— Ułani przepłoszyli kozacki patrol, wkrótce będziemy mieli Moskali na karku. Wy, kolego, dopilnujcie rowów wokoło całej wyżyny, a ja skoczę na tyły.

Przy tylnej straży spotkał Krzysia, który mu zameldował krótką utarczkę z patrolem kozackim:

— Domyśliłem się tego po strzałach, dużo ich było?

— Mniej więcej pluton. Zabiliśmy jednego,

trzech zraniliśmy, ale wszystkich zabrali kozacy. Zdobyliśmy dwa konie, jeden wcale dobry, drugi marnawy.

— Krzysiu, ty będziesz na sobie trzymał Moskali, póki ostatni legionista i twój spieszony pluton nie wejdzie na pozycję.

— Zrobię naturalnie, jak rozkazujesz, ale jeśli opadnie mnie kozactwo, może nie będę mógł osłabiać szwadronu i tak już nielicznego.

— Niemożliwość nie zobowiązuje, — uśmiechnął się Porwa, — tylko możliwość. Do widzenia Krzysiu.

— Na ziemi, po zwycięstwie! — zaśmiał się Krzyś.

— I ja tak myślę, — zawołał Porwa odjeżdżając.

Dopiero straż tylna była niedaleko młyna, a kolumny ostatnie skierowały się na pozycję, gdy na Krzysia wpadło dwie seciny kozaków.

Ułani byli tak wyćwiczeni, że niemal bez komendy na dany znak utworzyli szyk bojowy, a Krzyś stając na czele, wskazując szablą na pędzących kozaków zawołał:

— W nich! Na, o la Boga!

Kozacy, jak zwykle nie wytrzymali natarcia, ale rozproszyli się i sposobem tatarskim gromadząc się po bokach, gotowali się do szarpaniny chyłkiem, podbiegając na flanki.

Krzyś rozdzielił szwadron, sam z jedną

częścią uderzył na lewą kupę kozaków, zaś podporucznik Mirtowski na prawą.

Tymczasem zebrała się bez mała secina kozaków w centrum, a oficer kozacki poznając Krzysia, jako komendanta, skoczył na powracających ułanów przecinając im drogę.

Napad był tak nagły, że ułani nie zdążyli sformować szyku bojowego, lecz ścisnąwszy szeregi postanowili się przebić do swoich z chorążym Krzywdą na czele, gdyż Krzyś pilnował narażonych na ataki tyłów.

Porwa z pozycyi obserwował te zapasy i wprawdzie strzały karabinowe byłyby dosięgły pola bitwy, ale tak często mieszały się szeregi walczących, iż zachodziła słuszną obawa zranienia swoich.

Pół szwadronu z chorążym na czele przerwało łańcuch kozaków i wyjechało na czyste pole, przyostał w tyle Krzyś i Maciej uciekając się z kozakami.

Krzyś, widząc nadbiegającą kupę kozaków, porzucił walkę i gnał wraz z Maciejem do swoich, a siedząc na Mimi wyprzedził Macieja.

Wtem przyczajeni za drzewami trzech kozacy wybiegli by przeciąć drogę Krzysiovi, a dwóch ze wzniesionemi szaszkami już dopadali Krzysia. Zoczył to Maciej, zatrzymał konia i bliższego Krzysiovi kozaka ustrzelił, drugiemu zaś zabił konia.

Wprawdzie Maciej ocalił Krzysia, jeśli nie od śmierci, to od rany, ale sam opadnięty przez kozaków po krótkiej obronie dostał się do niewoli.

Krzyś widział naturalnie grożące mu niebezpieczeństwo, a po celnych strzałach, które go uratowały, obejrzał się za Maciejem, dopadł pół szwadronu, kazał dać sygnał do ataku i rzucił się znów na kozaków, ażeby odbić Macieja.

Mirtowski z połową szwadronu, starał się przeciąć odwrót kozakom, którzy przy ataku znów się rozpiezchli.

Krzyś szukał tylko Macieja i ujrzał kozaka uciekającego z jeńcem. Pomknął za nim, dopędził na Mimi z łatwością i jednym uderzeniem w głowę ogłuszył kozaka, który wraz z jeńcem padł na ziemię. Kozak miał rękę owiniętą cugłami i koń został. W mgnieniu oka Krzyś rozciął sznury na rękach Macieja, a ten zabrawszy szaszkę, karabinek i ładownicę kozakowi wskoczył na jego konia.

Kozacy bojąc się oskrzydlenia przez pół szwadronu Mirtowskiego szybko umknęli.

Krzyś i ułani pomęczeni wracali. Legioniści z okopów wołali z zapalem:

— Wiwat Krzyś! Wiwat ułani!

Zaś ułani odkrzyknęli z tryumfem:

— Nasza Polska, niech żyje!

— Wiwat Wiwat! — wołali legioniści.

Tymczasem widać już było zbliżający się batalion moskiewski.

Ponieważ nie zachodziła już obawa ponownego ataku kozaków, wobec obstrzału z wyżyny, a Krzyś widział, że na wielką przestrzeń wyżyny Porwa za mało ma żołnierzy, umyślił odesłać pluton ułanów spieszonych na pozycję. W chwili, gdy miał wydać rozkaz, a stał na zakręcie niewidzialny prawie z frontu moskiewskiego, piechota rosyjska rozsypała tyralierów, więc ułanom idącym pieszo bez żadnej osłony groziłoby wystrzelanie. Pomoc Porwie jest więcej warta, aniżeli strata koni, zdecydował Krzyś, i kazał jednemu plutonowi cwałem dopaść pozycyi i tam zostać, sam zaś pojechał w stronę taboru.

Pułkownik Wołczyn przez szkła badał pozycję Porwy, a widząc, że ułani chronią się z końmi na wyżynę, uśmiechnął się zadowolony i rzekł do otaczających go oficerów:

— Nu, ładnie, obydwie ptaszki są już w samotrzasku.

— A tak, — odezwał się kapitan inżynierii przydzielony do ekspedyncyi, — samotrzask byłby, ale trzeba otworzyć go, ażeby wyjąć ptaszki.

— Czy sądzicie kapitanie, — uśmiechnął się

i patrzył przez szkła na pozycję, — że nie damy im rady?

— Nie wątpię, że damy, ale pozycja obronna, w niej batalion, i może się obronić dwom pułkom.

— Nu, moje sałaty dadzą rady takim „malczykom“ — zaśmiał się pułkownik.

— Zapewne, ale malczyk, chociaż bez wąsów, strzela jak stary.

— Prawda i to... tak powiedzcie szczerze wasze zdanie, i pamiętajcie, że nadejdą jeszcze dwie kompanie.

— Zażądałbym jeszcze jednego pułku, i dwóch baterii, bo musimy spieszenie działać, zanim przyjdą im z pomocą, a te dwie kompanie postawiłbym na straży, gdyby z głównej armii chcieli legionistom przysłać pomoc.

— Hm... a jak przysła mi brygadiera Prowalnika, temu będzie chwała, że złowił ich.

— Generał Prowalnik wyjechał na inspekcję do Chełmskiej gubernii.

— Jeśli tak, — i zwrócił się do młodszego oficera, — telefonujcie do komendy, że otoczyłem batalion i szwadron, zamknęli się jednak w mocnej pozycji, potrzebuje dwóch baterii polowych i jeszcze jednego batalionu, a jeśli można to trochę więcej piechoty, ale zaraz, bo może im przyjść pomoc.

Oficer pogalopował do telefonu, a pułkow-

nik, na wielkim, gniadym, dobrze utrzymanym koniu, wraz z oficerami podjechał do rezerwy odpoczywającej, która na jego widok zerwała się z miejsc. Podkreślił was szpakowaty i zawołał:

— Zdrastwujcie rabiata!

— Zdrowia żelajem, wasze wysokobłagorodje! — odkrzyknęli.

— Nużno wam wziat' etych malczykow, — wskazał na pozycję Porwy.

— Hurra! Hurra! Hurra! — odpowiedzieli.

Pułkownik pojechał dalej i zwrócił się do oficerów:

— Ot, dziwna rzecz, gdzie jest teraz Iwan Mikołajewicz Sacharowicz?

— Przepadł, jak kamień w wodę, a z nim dieńszczyk jego... Gdyby nie pieniądze i złoty zegarek w szufladzie, możnaby przypuszczać, że stęskniony wrócił do żony, — uśmiechnął się nowo mianowany adjutant.

— No, a wy, co sądzicie, — zwrócił się pułkownik, do oficera żandarmeryi polowej.

— Dokładnie nie wiem... przypuszczam, że to on z nimi jechał przed północą, może ażeby skontrolować placówki, i pochwycili go ułani.

— To może być, — skinął głową pułkownik, — ale on nie był z tych gorliwych.

— Hm... wyjechał konno, — uśmiechnął się

adjutant, — ale na jakich koniach? U nas nie brak żadnego.

— Prawda! — zawołał pułkownik, — a co wy na to? — spojrzał na żandarma.

— Wiedziałem, że nie brakuje koni, a jednak wszystkie poszlaki przemawiają za tem, że to on konno z żołnierzami wyjechał... zresztą śledztwo wykaże prawdę.

— Co też dziś da kucharz na obiad? — spytał kapitan inżynierii, — dokuczyło mi to gotowane mięso.

W tej chwili, może o sto kroków przed jadącymi padł granat i wybuchnął z hukiem rozpryskując swą zawartość i ziemię wokoło.

— Nu, czorty strzelają, — zawołał pułkownik, zwrócił konia na lewo i szybko wjechał za drzewa.

Bitwa rozwijała się z wielką gwałtownością. Pułkownik, patrząc na swoją linię tyralierską, zawołał oficerów, wspomniał jak ta banda polska grasowała po kraju, ile żołnierzy wygubiła i że za każdą cenę musi się ją zgnieść i wyduścić, a tych dwóch naczelników bandy dla przykładu musi się surowo ukarać.

Soldaci zachęcani i parci przez oficerów, podsuwali się z niezwykłą odwagą pod okopy legionistów. Dużo było rannych, trochę zabitych, ale linia tyralierska ciągle się wypełniała nowymi żołnierzami.

Najsilniejszy atak przypuszczali jednak z lewej strony wyniosłości, na której Porwa tymczasowo się oszańcował. Był to zarazem najsłabszy punkt pozycji, gdyż wyniosłość w tem miejscu przechodziła w równe uprawne pola. Tu Moskale ustawili swą baterię, ostrzeliwując silnie rowy, a ich linia tyralierska w tem miejscu sięgała z jednej strony mokrej łąki, a z drugiej dotykała drogi polowej, ciągnącej się wśród dość gęstych krzewów.

Porwa bardzo się niepokoił tą lewą flanką swej pozycji, przypuszczał, że Moskale podejmą szturm z tej strony, i mimo gęste strzały, kazał sypać rów drugi, głębszy, ażeby możliwe natarcie odeprzeć.

Moskale, którzy byli kilkakrotnie silniejsi od pół batalionu Porwy i plutonu ułanów, mogli z łatwością zmieniać zmęczonych żołnierzy świeżymi, Porwa zaś, nie mając rezerwy, musiał tych samych legionistów trzymać w ogniu i słusznie obawiał się, że przyjdzie wyczerpanie sił i nerwów.

Drugą troską była możliwość wyczerpania amunicyi. Nie wątpił, że Krzyś zrobi wszystko możliwe, ażeby mu jej dostarczyć, ale na przerwanie pierścienia Moskali, trzebaby rozporządzać większą siłą, aniżeli Krzyś miał pod ręką. To też Porwa idąc rowem zalecał usilnie legionistom oszczędzanie nabojów.

Były też chwile jasne w tej walce, gdy linia tyralierska moskiewska dwukrotnie została spędzona z pola, i gdy bateria rosyjska po kilku celnych strzałach z pozycji musiała umilknąć i ustąpić ze stanowiska.

Nadeszła pora obiadu. Dwie kuchnie polowe, starannie zakryte przed strzałami wysokim nasypem, przygotowały jedzenie, a legioniści na zmianę przynosili obiady do rowów.

Równocześnie jedli i Moskale, żołnierze z kotła, a oficerowie oddzielnie w namiotach.

Właśnie pułkownik kazał sobie podać po wtórnie sztukę mięsa i wypił czwarty kieliszek wódki, gdy dyżurny oficer odwołał adjutanta od obiadu. Spostrzegł to pułkownik, a ponieważ był służbistą, zawołał do dyżurnego:

— Co się stało? Gadaj!

— Drobnostka, a teraz wasza wielmożność obiaduje, — odparł zmieszany.

— O tem, że jem obiad, wiem bez ciebie, ty mów, co się stało?

— Kuryery wysłane po dwie kompanie na zachód od nas, nie znaleźli ich.

— Nu, czterysta ludzi, to nie szpilka w śmieciach. Gdzież są kompanie?

— Nie wiadomo... chłopci mówią, że nie widzieli naszych.

— Nu, wiadomo, lacki muzyk zawsze kłamie. A nie szukali?

— I jeden kuryer i drugi słyszeli strzały i widzieli legionistów całą bandę.

— Aha, nowa sprawka Lachów... już my się z nimi policzymy po wojnie... Nu, cóż robić, nie przyjdą ci, przyjdą inni, i wy dobrze radzili, — spojrzał na kapitana, — ażeby zażądać pomocy. A kozacy pilnują?

— Nieprzerwany łańcuch stoi od zachodniej i południowej strony.

— Tak dobrze... możemy spokojnie dokończyć obiadu.

— To dziwne, — rzekł po chwili kapitan, — że kompanie nie dały znać o napadzie i nie cofały się w kierunku pułku.

— Nic dziwnego, — powiedział gniewnie pułkownik, — tam, w głównej kwaterze, zmieniają plan wojny co godzina. Ot i teraz była ofenzywa do niedawna, aż tu rozkaz defenzywy, a Germani i Awstryjcy pchają się na nas jak te świny. Komendanci tracą głowy, co robić, ażeby zadowolnić naczelstwo.

— Tak, tak, słusznie, — mruknęli ci i owi, tylko żandarmski oficer milczał, zajęty jedzeniem.

Przy końcu obiadu pułkownik otrzymał przyjemny raport, że z pomocą idzie pułk 159, z działami, minerami i seciną kozaków.

— Nu, kapitanie, — zaśmiał się pułkownik,

— czy teraz otworzymy samotrzask? Wyjmemy złowione ptaszki?

— I ja myślę, że oni do nas należą.

Pułkownik chcąc się pochwalić przed nadchodzącym pułkiem, kazał zgęścić linię tyralierów i ogień karabinowy wzmógł się bardzo znacznie.

— Strzelać tylko na pewniaka! — upominał Porwa i pełen obawy patrzył, że legioniści sięgają po ładunki już nie do kieszeni, ale do lewej ładownicy.

Walka nie ustawała. Porwa spojrzał na zegarek, była godzina trzecia, obliczał, że do szóstej przypuszczalnie wystarczą naboje przy wielkiej oszczędności, a dalej? nasuwało mu się uporczywie pytanie, dalej? Naraz uśmiechnął się słodko i radośnie prawie. Żywcem nie da się wziąć, będzie się bronił bagnetami... ale przecież pomoc przyjść musi! Krzyś tam jest, i jeśli zginał ten Michaś z raportem, wyszle napewno dziesięciu innych, albo sam pojedzie, na Krzysia zawsze i wszędzie można liczyć, że zaufania i przyjaźni nie zawiedzie.

Uspokojony tem rozpogodził twarz, i swobodnie, żartując, rozmawiał z legionistami, zapewniając ich, że lada chwila przybędzie pomoc.

Nagle aż do pozycyi, mimo gwizdu i świstu kul, pękających szrapneli i granatów, doleciał

tryumfalny okrzyk Moskali. Porwa wziął szkła polowe i ujrzał nadchodzący nowy pułk i artylerję rosyjską.

— Nic to, — zaśmiał się do legionistów, przy których stał, — zginie ich tylko więcej... Chłopcy! dobrze mierzyć i strzelać na upatrzonogo.

— Widzi komendant tego co pełza do krzaku... strzele!

Huknął strzał. Moskal zerwał się i padł na ziemię tamując dłonią krew tryskającą z prze-strzelonej nogi.

— Chwat z ciebie, Mieciu, — pochwalił Porwa i poszedł dalej.

Z niepokojem śledził komendant polski ruchy moskiewskie, ażeby zdać sobie sprawę z ich zamiarów.

Widział, że część artylerji konnej zajeżdża na lewą jego flankę od strony pól uprawnych, a druga część skierowuje się w stronę młyna, ażeby ostrzeliwać prawą flankę.

— Zasypią nas kulami, — szepnął sam do siebie i spojrział na zegarek, wskazujący czwartą godzinę, — no, jeszcze dwie godziny wytrzymam.

Wtem spostrzegł, że artylerja z pól ornych wraca szybko do centrum wojska, a również i działa już ustawione w pobliżu młyna. Linia tyralierska zaczyna się też wycofywać, a głów-

ne siły moskiewskie szykują się w kolumny frontem w stronę młyna.

Silny ogień skierowany na pozycye Porwy słabnie i w tej chwili rozległy się salwy od strony komendy legionów.

— Nasi! Nasi! — zawołali legioniści, i bez żadnej widocznej przyczyny blisko siebie stojący zaczęli się ścisnąć i całować.

Porwa ze swej pozycyi widział, że część wojska rosyjskiego udała się na swe tyły i na wzniesieniu szybko zaczęła kopać rowy i wbić pale na rozciągnięcie drutów.

Uszczęśliwiony wydobyciem się z kleszczów moskiewskich, kazał zmienić pozycyę swej bateryi i począł strzelać na szeregi moskiewskie, które z tego powodu cofnęły się z pozycyi dla nich korzystnej.

Bitwa pomiędzy nadchodzącymi legionistami a Moskalami, zaczęła się rozwijać normalnie. Radby był Porwa wziąć w niej udział, ale z braku amunicyi musiał pozostać biernym świadkiem.

Już zapadał gęsty zmrok, gdy legioniści o tyle się posunęli naprzód, iż Krzyś mógł przez ułanów posłać amunicyę Porwie, domyślił się bowiem braku tejże po milczeniu załogi pozycyjnej.

Natychmiast po otrzymaniu amunicyi, Porwa kazał zasypać rów z prawej strony od mły-

na i wkrótce legioniści z pozycyi połączyli się z pułkiem, który przyszedł im z odsieczą.

Pułkownik Nałęcz, komendant tego pułku, czując się na siłach, zgęścił linię tyralierów rozwijał ją w półkola i zamierzał uderzyć na prawą flankę Moskali, ażeby ich wpędzić do rzeczki i na bagniste łąki.

Spostrzegli się wczas Moskale i zwolna, w porządku, cofnęli się do przygotowanych rowów.

Tymczasem zapadła noc, niebo powlokło się chmurami, i wrogie sobie wojska umilkły na swych pozycjach.

XII.

Dużo zależało pułkownikowi Nałęczowi na tem, ażeby dowiedzieć się, jakiego rodzaju umocnienie posiada pozycja rosyjska i polecił z każdej kompanii wysłać zdolnego pełzacza na przeszpiegi.

Do Janka, komenderującego kompanią, zgłosił się na ochotnika Jędrak, a ponieważ Janek doświadczył już kilkakrotnie zdolności i sprytu Jędrka w tym kierunku, chętnie się zgodził.

Około godziny dziesiątej w nocy Jędrak, boso, bez czapki, tylko w portkach i bluzie, z wielkim nożem składanym, jako jedyną bronią, wysunął się z obozu legionistów, i na razie chyłkiem a szybko pobiegł w stronę okopów moskiewskich. Noc była ciemna, a chociaż Jędrak będąc w linii tyralierskiej zaznaczył sobie w pamięci miejscowość i znaki szczególne, obawiał się jednak błędzenia. Liczył trochę na swe szczęście i na błyskawice, które na

stronie zachodniej pruły czarne niebo i na mgnienie oka rozświećlały otaczające go ciemności.

W nocy miewa się często złudzenia co do czasu, który się dłuży i co do drogi przebytej w ciemności. I Jędrkowi się zdawało, że powinien być blisko pozycyi nieprzyjacielskiej, bo chyba już godzinę czołga się po zdeptanych zasiewach.

Błyskawica rozświećliła nagle otoczenie jego i aż włosy stanęły mu dębem, gdy ujrzał Moskala leżącego tuż prawie przed nim. Szybko wyjął nóż i gotował się do skoku, ale cisza przed burzą niczem nie została przerwana. Na próżno czekał, posunął się dalej i ręce dotknęły czegoś zimnego i oślizłego. Cofnął się i przypuszczając, że natrafił na żabę, znów wyciągnął rękę. To samo zimno i oślizłość. Zaczął przesuwając rękę, natrafił na jakieś wgłębienia i włosy. Ze wstrętem cofnął się i szepnął:

— Trup!

Zdała zaczęły dochodzić do jego uszu jakieś niewyraźne odgłosy, nasłuchiwał, ale nie mógł zmiarkować z której strony idą.

Czołgał się dalej, wtem zdało mu się, że słyszy lekki szelest poruszanych traw. Przylgnał zupełnie do ziemi i posłyszał skradające się stapanie, czy też czołganie.

Przy błyskawicy ujrzał psa, który szedł na poszukiwanie żeru.

Czołgał się dalej, znów dalekie odgłosy; tym razem był pewny, że ze strony rowów moskiewskich i tem ostrożniej się posuwał.

I znów szelest podejrzany. Tak, to rozsunięcie trawy. Przyłożył ucho do ziemi i cisza. Posunął się trochę, ten sam szelest, tylko bliższy. Zaparł dech w sobie, i stał się w bruździe tak płaskim, że miał wrażenie, iż rozsunała się ziemia ażeby go skryć.

Łysnęło i zdawało mu się, że mignęła mu w oczach głowa ludzka i iskrzące oczy, jak dwa płomyki.

A może to strzyga albo południca, przemknęło mu... a może upiór, albo przyczajony wilkołak... chyba zawróci. Wstyd go jednak ogarnął i cierpiała jego ambicya, ażeby on, jeden z najlepszych pełzaczy w kompanii wrócił z pustemi rękami, nic nie sprawiwszy. Postanowił zaczekać do drugiej błyskawicy i przyjrzeć się tej ludzkiej głowie.

Łysnęło dłużej i znów głowa i w niej dwa płomyki.

— To człowiek chyba, — pomyślał i odetchnął z ulgą, — a może Moskal?

Podczołgał się bliżej i nagle usłyszał najwyraźniej słowa:

— A, psiakrew!

— To nasz, — pomyślał Jędrrek i po chwili szepnął: — ktoś ty?

— A ty? — odszepnął głos.

— Polak? — spytał Jędrrek.

— A ino.

Przy dźwięku tego głosu, coś niewyraźnego zaczęło mu się przypominać.

Ten głos! Skąd on go zna? Kto tak mówił? Gdzie on słyszał?

— Ty od Moskala? — spytał znów Jędrrek cicho.

— Niby tak!

— Michał! — zawołał półgłosem.

— Znasz mnie?

— Ja Jędrrek.

— A ty, smyku co tu robisz? — spytał surowo brat starszy.

— Wojuję Moskali.

— Dawnoś z domu?

— Na świętą Annę minął rok.

— Cóż tam w domu?

— A cóżby. Zdrowi wszyscy chwala Bogu i urodzaj był dobry... Michale, co ty się będziesz wysługiwał Moskalom, mało krwi nam utoczyli.

— A bodaj pozdychali!... ale co robić?

— Chodź do nas.

— Dużo was?

— Chmara cała, nie przeliczysz za dzień, ani

za dwa. Jest też nasz panicz, to mój kapitan, jest i pan z Zalesia... i tysiąc tysięcy innych. Chodź... wyżeniem Moskala na Sybir, niech zdycha tam psubrat.

— Ba, poszedłbym, ale jak Moskał zwycięży, już mi nie wracać na ojcowiznę.

— Toż my go pędzimy od Wisły, gonimy jak psa wściekłego, a jutro, pojutrze będziemy za Wieprzem, u nas, w naszej wsi. Słyszałem na własne uszy jak mówił nasz panicz do pana z Zalesia.

— U nas? We wsi? — i w głosie czuć było niezmierną radość.

— Tak jest... jak mi Boga przy skonaniu.

Michał milczał przez chwilę, wreszcie spytał:

— I mówisz, że Moskali przepędzą?

— Pewnikiem, ino patrzeć, a Polska wolna będzie i zapanuje.

— A wy pójdziecie do Paprotni...

— Alboż się nie zakląłem?

— To i pójde do was, co mi za niewola służyć tym psubratom.

— Chodźmy, ino patrzeć ulewy, — obydwaj spojrzeli na czarne niebo przerywane błyskawicami z ogromnym hukiem grzmotów i piorunów.

— Biegiem, — zakomenderował Jędreka, — a pilnuj się mnie Michale.

— Już dobrze... a nie zmył drogi.

Dobiegli do pierwszych placówek, przemoczeni, chociaż dopiero wielkie i ciężkie krople dżdżu zaczęły padać.

— Stój!... Hasło?

— Polska.

— Zwycięstwo, — odpowiedział legionista na placówce, — a skąd wracacie we dwóch?

— Z pod rowów moskiewskich, — odpowiedział Jędrak i pobiegli dalej.

Zanim dobiegli do namiotu rozpętała się ulewa z grzmotami i piorunami. I dopiero gdy ścichła cokolwiek, poszedł Jędrak z Michałem do komendanta z raportem.

— Melduję posłusznie, panie komendancie, że wróciłem z wywiadów.

— Zbadałeś, ich umocnienia?

— Nie byłem tak blisko.

— Cóż widziałeś?

— W drodze do rowów moskiewskich spotkałem brata Michała.

— Co!? Tego z wojska moskiewskiego? — zawołał Janek zdziwiony.

— Tego samego.

— Gdzie on?

— Czeka przed chałupą.

— Dawaj go.

Wszedł Michał. Rosły, dorodny blondyn, a ponieważ był bez munduru i czapki, pokłonił

się nisko i stanął wyprostowany po wojskowemu.

— Cieszę się Michale, — podał mu rękę Janek, — że widzę cię u nas i z nami. Ojciec twój dowiedziawszy się, że idę na wojnę, powiedział: dopiero cieszyłby się Michał, że jest wojsko polskie... to też czekałem na ciebie.

— Kiedy bo to paniczu, — mówił zmieszany, — biliśmy się z Germanami, jakże iść do nich? Nie rozumieją po ludzku i lutry... Potem z Węgrami, ale to naród brzydki i okrutny, jakże iść do nich? A Moskale obiecywali Polskę... to już i przy nich cierpiałem.

— Wszystko jedno Michale, rad widzę ciebie. Wezmę cię do mojej kompanii.

— Bardzo dziękuję, paniczowi, i będę służył wiernie i uczciwie.

— Mundur znajdę dla ciebie tymczasowy, póki nie wyda ci intendatura nasza. Komendy nauczy cię Jędrek, łatwa, bo polska... A teraz powiedz mi dużo tam Moskali?

— Było nas jeden batalion w Małyszewie...

Na te słowa wszedł Krzyś i witając się spytał:

— Jakże ci się wiodło Janku, przez ten cały dzień?

— No, najprzód, jak poszedłem na kompanię Moskali, wiedząc, że muszą iść lasem, wą-

zką drogą, rozdzieliłem plutony i nagle ze wszystkich stron uderzyłem na nich. Zdawało się im, że mają przed sobą cały batalion, i po wymianie strzałów poddali się. Odesłałem ich do komendy, a o zmierzchu byłem tu.

— Sprawileś się gracko, — uścisnął mu rękę, — ale wiesz, Porwa był w opałach, jednak wyszedł cało.

— On zawsze taki, bo to dzielny oficer i nigdy nie traci zimnej krwi.

Krzyś spojrzał na Jędrka, a widząc bluzę rosyjską na Michale spytał?

— Jędrak, to twój jeńiec?

— Nie, panie komendancie, to mój brat, Michał, spotkaliśmy się i przeszedł do nas.

— Bardzo dobrze... A ty z pułku Wołczyzna, Michale?

— Tak jest.

— Właśnie pytałem go, ile i jakie wojsko rosyjskie przed nami, — odezwał się Janek; — zatem Michale, byłeś w batalionie i stałeś w Małyszewie... cóż dalej?

— Jak nocowaliśmy, zginął nam w nocy adjutant pułkowy.

— Nie potrzebujesz go żałować, — uśmiechnął się Krzyś, — zabraliśmy go ze szkoły w Małyszewie do niewoli, bo był nam potrzebny.

— Co! — zawołał zdumiony, — to pan z Zalesia był u nas w nocy i zabrał go?

— Nie ja, ale trzech moich ułanów.

— Rany boskie, ale oni odważni, weszli w sam środek batalionu... no, żeby mi to inny powiedział, nie pan z Zalesia, nie dałbym wiary.

— Nikt z obecnych nie był tak dumny z tego czynu ułanów, jak Jędreka, i rzekł z uśmiechem:

— My nie adjutanta, ale pułkownika i generała weźmiemy, jak nam trza.

— Dalej Michale, — zachęcał Janek — stałeś na tem, że adjutant zginął...

— Jak zginął, zaczęli szukać, a jak nie znaleźli poszliśmy do drugiego batalionu i już razem maszerowaliśmy... Oficerowie obiecywali podwójne porceje jedzenia i tytoniu, ażeby schwycić dwóch naczelników... ale widzieli, że nie poradzą i przyszedł nowy pułk, 159, cztery armaty i kozacy.

— A ty w bitwie brałeś udział?

— Ja, nie. Pilnowałem taboru, i dlatego wysłali mnie na przeszpiegi, że nie biłem się, i także dlatego, że mówię po polsku, to mogą posłyszeć co mówią.

— A jakie ich rowy?

— Zwykle, ot, ażeby się schować, i nie stać w polu.

— A druty są?

— A jakże, ale tylko dwa.

— A nie słyszałeś w rozkazie, co jutro będzie?

— Nie byłem przy rozkazie, ale mówią, że nasz pułkownik chce się bić, a drugi nie chce. Podobno pokłócili się, bo i wojska stoją całkiem osobno.

— Amunicyi macie dużo?

— U nas niewiele zostało, ale w pułku 159 mają dostatek, tylko nie wiem, czy dadzą.

Janek rozpytał się szczegółowo, gdzie stoją baterye, jaszczyki, tabory, kozacy i wstał, ażeby iść z raportem do pułkownika, gdy Michał spytał nieśmiało:

— Paniczu, a będziemy w Paprotni?

— Będziemy, i chociażby nasze wojsko nie zatrzymało się tam, poproszę o urlop dla siebie i dla was dwóch chociażby na krótko.

— Bóg zapłać paniczowi... chciałbym z całego serca obaczyć swoich.

— I zobaczysz.

— Jeszcze proszę o jedną łaskę, a kiedy będziemy u nas?

— Może za tydzień... za dwa, ale napewno będziemy.

— I was wszystkich zapraszam do Zalesia, wprawdzie żony niema, ale możemy się zabawić, — rzekł Krzyś.

— Dziękujemy panu, — skłonili się obydwoj i wyszli.

Janek złożył raport pułkownikowi Nałęczowi z wiadomości otrzymanych od Michała.

Co do rowów i gatunku drutów, pułkownik był już poinformowany, ale bardzo zainteresowały go szczegóły rozmieszczenia wojsk, pewien niedostatek amunicyi i spory wewnętrzne pomiędzy dwoma pułkownikami.

— Jutro uderzymy na nich, rzekł po chwili, — ty, panie poruczniku z twoją kompanią pójdziesz przed świtem, na ich lewe skrzydło, zaatakujesz ich i tak będziesz manewrował, ażeby ich odciągnąć jak najdalej z pozycyi rowów. Komenderuje tem skrzydłem pułkownik Wołczyn, który nas lekceważy i lubi się popisywać śmiałymi manewrami. Gra z nim powinna być łatwa. Cofać się będziesz na nasze prawe skrzydło, gdy uderzymy od lasu na ich prawą flankę. Czy zrozumiałeś panie poruczniku?

— Tak jest i rozkaz wypełnię.

— Nie wątpię, i dobranoc, prześpij się poruczniku, masz dwie godziny i pół do wymarszu.

Gdy Janek z kompanią podsunął się na lewą flankę Moskali, ci wysłali naprzeciw tyralierów, którzy jednak uporczywie trzymali się w niedalekiej odległości od swej pozycyi. Przez polowe szkła zobaczył, że Moskale szybko zwi-

jają namioty, a żołnierze poszczególne ściany namiotów zabierają ze sobą. W taborach też panował ruch niezwykły, a kuchnie polowe wcale się nie dymiły.

Te zauważone szczegóły zdziwiły go i na razie przypuszczał, że Moskale przenoszą się na inną, dogodniejszą pozycję, więc korzystając z chwili, zgęścił linię tyralierską i rozpoczął żywszy ogień.

Moskale również zwiększyli ilość tyralierów, ale posuwali się naprzód bardzo wolno.

Najwidoczniej Moskale się cofają pomyślał Janek, i pchnął konnego ordynansa do pułkownika Nałęcza z tą wiadomością.

Zanim według jego obliczenia ordynans zdążył dojechać, prócz strzałów frontowych usłyszał Janek salwę z prawej strony moskiewskiej.

Wobec odwrotu Rosyan nie cofał się, lecz coraz silniej napierał Moskali.

Dwie kompanie wraz z kozakami pozostawione w straży tylnej, broniły się dzielnie i uławiły odwrót wojskom rosyjskim bez znaczniejszych strat w ludziach.

Krzysiówi goniącemu kozaków udało się zabrać kilkanaście wozów z taboru rosyjskiego, w których znaleziono znaczną ilość spiży.

Dalsze ściganie wojsk moskiewskich z rozkazu komendy legionów zostało wstrzymane,

ku wielkiemu żalowi legionistów i zmartwieniu samego pułkownika.

Pocieszył się jednak wkrótce, gdy dowiedział się, że armia sprzymierzona rozpoczęła ogólną ofensywę.

XIII.

Z głównej kwatery wojennej przyszedł rozkaz, ażeby legiony przesunęły się na południowy wschód w Lubelskie.

Kolumny legionów, poprzedzone tylko strażą przednią, gdyż ta połać kraju była oczyszczona z wroga, z muzyką na czele ruszyły wczesnym rankiem w pochód.

Niezwykłe, i szybko po sobie następujące klęski Moskali, ich nieustanny odwrót często tak bezładny, że równał się ucieczce, napawały dumą i radością serca legionistów.

Nareszcie odwieczny wróg, gnębiiciel, i barbarzyński oprawca narodu został zwyciężony i upokorzony. Znaczna część Polski uwolniona od wroga, a legioniści wspólnie z armią sprzymierzoną skruszyli gniotące jarzmo.

To nic, że śmierć przerzedziła szeregi, że tylu najzaciejszych i najdzielniejszych spoczęło na zawsze w cichych grobach i tylko białe krzyżyki świadczą, że byli, walczyli, ginęli.

To nic, że na tyłu polach bitew lała się krew z ran, i tak wielu, tak bardzo wielu, tylko przez okna szpitalne patrzą zgorączkowani na błękit nieba, niecierpliwiać się, kiedy będą mogli stanąć znów w szeregach i dalej walczyć, lub też zginać za wolność i godność Polski.

To nic, że na szczytach karpackich wśród śniegów i lodów walczyli; że w upalne dni pot zalewał oczy, a umęczone ciało omdlewało z wysiłków, trudów i znojów.

Owe noce niedospane lub spędzane na twardej służbie, częste głody, braki rozliczne, roztopy wiosenne, pluty jesienne, wszystko to nic, wszystko to nie boli, nie dolega, nie męczy, ale radością przepełnia serca, błyszcza oczy, promieniają młode twarze, bo przecież idą na nowe zwycięstwa, na nowe tryumfy, na zawojowanie Moskali.

Maszerując w złocistym pyle i rozbrzmiewa hucznie i mocno stara, polska piosenka wojskowa:

„Będzie wojna z Moskalami
Pan komendant pójdą z nami;
Dalej bracia, dalej wraz!
Od samej Warszawy, aż do Petersburga
Za Moskalami marsz, marsz, marsz.“

I tak szli wśród pól zielonych, wśród kwie-

cistych łąk obok rozśpiewanych gajów, szumiących lasów pełni wesela i otuchy.

Lecz im bardziej się posuwali w stronę wschodnią Królestwa, tem częściej przechodzili przez zniszczone miasteczka, spalone wsie i osady. A tyle smutku, nędzy i cierpień wiało z tych zgłiszczów i ruin, że piosenki milkły, smutek osiadał na twarzach, żal wciskał się w serce...

Ludność miejscowa rozproszona, częścią przepędzona za Bug, i tylko nieliczni mieszkańcy bez dachu i chleba, przypatrywali się apatycznie ich pochodowi.

W południe, gdy obiadowali, stawały opodal wynędzniałe i blade kobiety, prosząc milcząco o jakieś resztki jadła dla dzieci, które stojąc za matkami to pożądliwie śledziły pełne menażki, to z podziwem patrzyły na żołnierzy, mówiących jak one po polsku.

Dla legionistów było to ulgą i pociechą, że swem jadłem mogą się podzielić po bratersku ze zgłodniałymi, a niejeden, ukradkiem, wstydząc się swego rozczerwienia, dawał pospiesznie swój chleb, uciekając od podziękowań i błogosławieństw obdarowanych.

Jednego dnia, przed świtem jeszcze posłyszeli daleki huk armat.

Szybko i ochotnie szykowali się do dalszego marszu, i jedni drugim podawali rozgłośnie ra-

dosną a niespodziewaną nowinę, wszystkim wiadomą:

— Moskale są!

W południe już stanęli na wyznaczonej im pozycji, i pułk Nałęcza, który dotąd nieustannie walczył, został przeznaczony na rezerwę.

Stanie w rezerwie za linią bojową należy wogóle do najmniej miłych i przyjemnych chwil na wojnie. Przymusowa bierność a zarazem gotowość na każde zawołanie nudzi, nuży, męczy. Cóż dopiero dla młodych legionistów, o nerwach niestępionych, żadnych wrażeń i nowych czynów.

Nieustannie słyszy się huk armat, grzechot karabinów maszynowych, salwy... Widzi się szybujące latawce, szrapnele pękające, granaty wybuchające... Wie się, że tam bitwa wre, że trupy padają, krew się leje... I to wszystko dzieje się niemal tuż, za przejrzystą ścianą powietrza... ale niema żadnych wrażeń, żadnych obrazów, żadnego udziału w rozgrywających się wypadkach.

I tak dzień za dniem, noc za nocą. Tamci zwyciężają, idą naprzód, wypierają Moskali z obronnych pozycji... a rezerwa beczynn timeru posuwa się za zwycięzcami.

Jedyną osłodą tego nudnego trybu życia byli zgłaszający się ochotnicy.

Naprzykład jednego dnia gdy rezerwa bi-

wakowała w lesie, przyszło ze trzydziestu młodych, przeważnie parobczaków, a Staszek, którego z pomiędzy siebie obrali, jako swego przedstawiciela i mówcę, zgłosił się do oficera będącego na służbie, że chcą wstąpić do wojska polskiego.

— Iluż was jest?

— Tu przyszło trzydziestu dwóch chłopaków, a więcej jeszcze czeka, co będzie z nami.

Oficer zameldował o tem pułkownikowi, który właśnie jadł obiad z oficerami, i kazał przyprowadzić ochotników.

Stanęli kupą za Staszkiem wypatrując oczy na oficerów polskich.

— Czego chcecie chłopcy? — spytał łagodnie pułkownik Nałęcz.

Widok oficerów i pułkownika zmieszał śmiałego Staszka i odpowiedział niepewnie:

— A to proszę łaski pana, wedle legionów.

— Chcecie wstąpić?

— Właśnie to, — odparł śmielej.

— I ty także? — zwrócił się do innego.

— I ja.

— A czy wiesz, że musisz się nauczyć muzyki, i nie zaraz zostaniesz legionistą.

— Kiedy bo my, jużemy się poduczyl. Dawnośmy o was słyszeli, i na was czekali.

— Cóż wy umiecie? — uśmiechnął się pułkownik.

To pytanie wchodziło w zakres Staszka, który ostro spojrzał na swoich towarzyszy i zawołał:

— Baczność!... Wicek na środek... Stawaj w rząd!

Chłopcy natychmiast stanęli w szeregu, a Staszek komenderował:

— Równaj się w prawo!

— W lewo patrz! — jako oddanie honoru pułkownikowi.

— Wcale dobrze, — pochwalił pułkownik, — a kto was uczył?

— Z książki... i mieliśmy cztery karabiny moskiewskie, to i na nich jesteście nauczeni.

Ta praca nad przygotowaniem się do zawodu żołnierskiego tak rozczerowała pułkownika, że zdecydował:

— Zostaniecie w moim pułku. Za kilka dni otrzymacie umundurowanie i broń, a wolnym czasem będziecie się uczyli, wyznaczę wam podoficera do nauki... Panie oficerze, — zwrócił się do dyżurnego, — każ im dać obiad i zarządź co potrzeba.

Chłopcy odmaszerowali dwójkami, a pułkownik rzekł z westchnieniem:

— Gdyby tak w całej Polsce, ileż byłoby legionistów i jakby się liczone z nami!

— Tu, panie pułkowniku, — rzekł jeden z oficerów, — pracowano długo i usilnie nad

ludem, i ucisk moskiewski był tu bardzo silny, to też reakcja szybka.

Nareszcie przyszedł rozkaz, ażeby rezerwa przeszła na linię frontu bojowego.

Uradowani pomaszerowali, ale na to tylko, ażeby przedłużyć linię ofensywy i zobaczyć z daleka cofających się Moskali, którzy ze wszystkich obronnych pozycji ustąpili.

Zdala widzieli Lublin, wśród zieleni drzew, z licznymi wieżami i wieżyczkami, strzelającymi w niebo. Ułani polscy uratowali miasto od pożaru i rabunku, goniąc w ślad za Czerkiesami i kozakami, którzy odgrażali się, że spalą i zniszczą Lublin, ażeby tylko gruzy dostały się w ręce zwycięzców.

Legioniści przeszli mimo Lublina idąc za cofającymi się Moskalami.

Maszerując na Lubartów, Parczew, jak okiem sięgnąć po wsiach i osadach, wszędzie gruzy, popioły, kominy sterczące, okopciałe od pożaru, widzieli legioniści.

Na polach zdeptane i wbite kopytami kozackich koni jęczmiona, owsy, gryki, prosa, zaś na żytniskach i pszenicyskach, czarne, wypalone okrągłe miejsca, gdzie stały w mendlach i półkopakach snopy ozimego, już zżętego i gotowego do zwózki zboża.

Te widoki niepokoiły Krzysia i Janka, zaś

Kubę, Michała i Jędrka opanowywała prze-
można trwoga o swoich i o wieś rodzinną.

Im bliżej domu, tem gorsze przeczucia nimi
targały, zaprzestali śpiewek, żartów, a nawet
jedzenie wydawało się im gorzkie i bez smaku.

Na noclegu w polu, gdy rozstawiono na-
miony i rozgorzały gęste ogniska, Krzyś z Mi-
chasiem w swym niepokoju poszli do Janka.
Ułożyli się przy ognisku i pili herbatę.

— Krzysiu, jak myślisz, co u nas? — spy-
tał Janek głosem niepewnym, czuć w nim było
niepokój i chęć posłyszenia odpowiedzi pocie-
szającej.

— Co ja wiem, — westchnął Krzyś, — te
psubraty wszystko niszcząli... ale wiesz Jan-
ku, my idziemy głównym traktem przemarszu
wojsk, a na wojnie jak na wojnie, wojska nic
nie szanują i nie oszczędzają.

— Tak jest, masz rację, — pochwycił z ży-
wością ten płomyk nadziei, — zwłaszcza, że
tędy szły tabory, a one są największą plagą.

— I ja tak myślę, — odezwał się z pewną
nieśmiałością Michaś, — tu co innego, ale my
mieszkamy zdala od głównej linii, w zakątku...
no i bitwy żadnej nie było, bo Moskale dobro-
wolnie porzucili linię Wieprza.

Niedaleko komendanta miał swój namiot
Jędrak i Michał, i do nich również na rozmowę
i pociechę przyszli Kuba i Maciej.

Na swój smutek i trwogę o swoich nie umieli jednak znaleźć lekarstwa, rozmowa się nie kleiła, bo każdy zaprzątnięty był swemi złemi przeczuciami. Nie bez pewnej zazdrości spoglądali na panów, którzy pijąc herbatę mówili spokojnie, jak zwykle.

Jędrek, który był najśmielszy do Janka, dręczony smutnemi pytaniami, na które nie chciał sobie odpowiadać, rzekł do towarzyszy:

— Chyba pójdę do komendanta, — spojrział na niedalekie ognisko, — a może on coś wie? albo poradzi?

— Tak!... Idź!... — skinęli głowami, chociaż wszyscy byli przekonani, że ani Krzyś, ani Janek nie wiedzą, co się u nich na wsi dzieje.

Jędrek stanął przy ognisku, salutował i milczał, bo nie wiedział, jak zacząć.

— Cóż tam Jędrek? — spytał uprzejmie Janek, — co mi powiesz?

— Melduję posłusznie... — i zaciął się, bo i co miał meldować.

— Co takiego?

— A bo to my przy tamtem ognisku zeszliśmy się, — wskazał miejsce, — i nie możemy nic uradzić, co się dzieje w Paprotni i w Zalesiu, i przyszedłem spytać o to pana komendanta.

— Rozumiem, — odrzekł Janek, — właśnie rozmawialiśmy o tem i zdaje się, że nasze wie

tak dalece nie ucierpiały, bo stoją na uboczy... ale Bóg to raczy wiedzieć.

— Dziękuję posłusznie, panu komendantowi, — odpowiedział raźniejszym głosem, — i jeszcze mam prośbę jedną.

— Jaką?

— Bo to my już niedaleko, niecałe pięć mil do Paprotni...

— Wiem, — uśmiechnął się Janek, — na przyszlą noc będziemy jeszcze bliżej, a pojutrze dniówka i spoczynek, postaram się o urlopy.

Na chwilę zapomniał Jędek o swej szarży i wojsku, i zawołał ucieszony.

— Jakiż panicz dobry, — i nagle usta zasłonił dłonią i rzekł poważnie, — pokornie przepraszam pana komendanta.

— Nic nie szkodzi, — zaśmiał się Janek.

XIV.

I urlop otrzymali, wprawdzie na czterdzieści ośm godzin, ale wystarczy, ażeby zobaczyć swoich, przywitać, rozmówić się i dowiedzieć, jak się im wiedzie.

Krzyś, Maciej i Kuba mieli konie, zaś dla Janka, Michała i Jędrka wystarał się Krzyś w taborze o dobre konie z wozem.

Na nocleg przyszli legioniści dość wcześnie, i było jeszcze kilka godzin do zachodu słońca.

Korzystając z pozwolenia i urlopu wyruszyli natychmiast z miejsca noclegu i dniówki do siebie, do domu, odległego o trzy mile.

Na razie droga była wspólna dla wszystkich sześciu, ale po jakimś czasie rozdzielała się, i Krzyś ze swoimi ułanami, zaprosiwszy Janka i legionistów na jutrzejszy obiad do siebie, skręcił do Zalesia.

Janek sam powoził, a z pośpiechu nie jechał drogą właściwą przez sąsiednie wsi, lecz polną, krótszą, którą znał dobrze. Konie szły do-

brego kłusa, Janek jednak co chwila zachęcał je do szybszego biegu.

Wszyscy trzej wypatrywali oczy, ażeby jak najprędzej ujrzyć upragnioną Paprotnię. Liczyli... jeszcze jeden las, potem zagajnik, potem samotny krzyż w polu i droga zawraca na prawo. Jeszcze strumyk z mostkiem zepsutym, i pod górę, a już będzie widać Paprotnię.

Droga niezmiernie im się dłużyła, ale nareszcie wbiegły konie na wzgórek. Zdala w ninie stała wieś, okolona gęsto drzewami i sadami.

Patrzyli i wydało się im, że drzewa liściaste są dziwnie przeźrocyste, i coś jakby chat skrajnych brakowało.

Michał przetarł oczy, bo jakoś trudno mu było poznać gdzie siedzą dalsi sąsiedzi i rzekł do Jędrka:

— Są zmiany, anim myślał, że Filipczaki z wygonu przeniosą swe domostwo.

Konie skreśliły w lewo i odsłonił się widok przestronniejszy w głąb wsi, na kościół i plebanie, a Jędrak zawołał:

— Widzisz, kościół otwarty... drzwi wywalone... Jezu Chryste! Organisty dom spalony!

Oślupiałemi oczyma wpatrywali się w tę zniszczoną część wsi, i bezmyślnie liczyli nagie sterczące kominy.

Swej chaty nie mogli jednak dostrzedz, bo stała za gęstymi drzewami, a że ścieżką przez pola i łąki wydało się im bliżej, aniżeli drogą kołową, zeskoczyli z wozu i pobiegli na przełaj.

Janek chmurnie patrzył na wieś tak dobrze mu znaną, zacisnął usta, ażeby nie wybuchnąć przekleństwem i patrzył w stronę dworu zasłoniętego ogrodem i starymi parkowymi drzewami.

Wreszcie zobaczył. Dwór stał, tylko wszystkie okna były bez ram i szyb. Stajnie i zabudowania gospodarskie bez dachów, sterczały tylko mury.

— Co z matką? Co z matką? — dzwoniło, szumiało, drgało i paliło się pytanie.

Już nic nie widział, nie słyszał, batem bił konie i cwałem wjechał przez rozwaloną bramę przed ganek dworu. Rzucił lejce na spienione konie, zeskoczył i wpadł do domu otwartego, bez drzwi. Przebiegał puste, zniszczone pokoje, z mebli walały się jakieś resztki połamane, z obrazów ani śladu, posadzka miejscami zerwana, tapety tu i ówdzie poździerane.

Zaledwie widział to zniszczenie szukając uporczywie matki, po wszystkich pokojach, aż zaszedł do krańcowych na skrzydle pokoiów gościnnych, i w ciemnawej sionce spostrzegł małą przerażoną dziewczynkę. Zbliżył się

szybko do niej i jak mógł najłagodniej spytał:

— Dziecko, a gdzie pani?

Dziewczynka paluszką wskazała drzwi i z głośnym płaczem uciekła.

Zastukał do drzwi zamkniętych.

— Kto tam? — poznał głos matki i uśmiech szczęścia błysnął na jego twarzy.

— To ja mamę.

— Janek! Janek! — w tej chwili otworzyły się drzwi i padli sobie w ramiona.

Ona z płaczem tuliła do siebie jego głowę, a on całował jej ręce.

Wprowadziła go do pokoju, gdzie stało żelazne łóżko ze siennikiem, zasłane ubogo, a pod ścianą dziecinne łóżeczko, po za tem stół sosnowy, dwa stołki i szaragi przybite do ściany, na których wisiały jakieś ubrania.

— Siadaj Janku. Chwała Bogu, że żyjesz, byłeś może ranny, — a na jego przeczący ruch głową, mówiła dalej: — skąd się tu wziąłeś, nie spotkałeś Moskali? Śniłeś mi się dzisiaj... i widzę cię Janku, a jak zmężniałeś, zdaje się, że urosłeś, tylko zarost zmienia ciebie, a te gwiazdki na kołnierzu, co znaczą?

— Jestem porucznikiem.

— Pewnoś głodny Janku, mam jeszcze trochę kaszy, a może wolisz mleko, co ci dać? — wstała, ażeby iść po jedzenie.

— Dziękuję mamie, wcale nie jestem głodny. Kiedy tu byli Moskale?

— Trzy dni temu, i jak to dobrze, że dziewcząt niebyło, a jak ja się wylękałam... Przyszli pod wieczór i kazali w ciągu godziny przygotować się do opuszczenia wsi i dworu. Wolno było zabrać ze sobą wóz, konie i cały inwentarz żywy, kury, gęsi, kaczki i co trzeba żywności. Wszystkie drzwi musiały stać otworem i kozacy rzadzili, zabierali sobie co tylko zechcieli. Tłómaczę im, że po nocy trudno się wybrać, a oni mówią, do mnie: za godzinę będzie tu jasny dzień. Kazałam upakować żywnością, pościelą i rzeczami służby trzy wozy i wsadziłam na nie całą czeladź, i kilka bab chorych ze wsi. Miałam z temi wozami jechać, ale dałam kozakowi dziesięć rubli, ażeby mi pozwolił zostać. Idźcie w ogród powiada i uciekajcie póki nie podpalą wsi, starszy nikomu nie pozwala zostać. Posłuchałam jego rady i uciekałam.

— I gdzie mama była?

— Wiedziałam, że las Zalesia już obszukali, a że na polu spotkałam kilka bab z dziećmi, poszłyśmy razem.

— No to szczęśliwie.

— Tak bardzo to nie... gonili nas kozacy i dwie baby nahałami zapędzili napowrót do wsi. Na szczęście z daleka ujrzałam pędzących

kozaków, a znasz te krzaki tarniny i jeżyn na naszej granicy, podpełzłam pod nie i wprawdzie jeden kozak chciał przeszukać te krzaki i już drżałam, że mnie złapia, ale koń znarowił się i wejść nie chciał.

— I u leśnika była mama?

— Nie! Po lasach także palili domy i chaty. Spałyśmy pod drzewami i naprawdę dużo współczucia i pomocy doznałam od kobiet wiejskich.

— A ta dziewczynka, która mi pokazała pokój mamy?

— Ojca i matkę wypędzono, a ona zgubiła się na drodze... wiesz to córka Stefana Małyka.

— Tak, wiem... proszę mamy, czy ze wsi wszystkich przesiedlono?

— Dziś dopiero raniutko przyszłam tutaj... podobno ktoś jest... ukrywali się po piwnicach... ale kto został, nie wiem... I wszystko u nas zniszczone, trochę pamiątek i droższych rzeczy uratowałam. Wieści dochodziły do nas, że wyganiają i palą, więc już zawczasu tę trzecią piwnicę kazałam oczyścić, wniosłam kufry, a potem poczciwy Paweł zamurował starą cegłą.

— To bardzo dobrze... pójde obaczyć co zostało, — wstał Janek, który słuchając opowiadań matki nieustannie rozmyślał o Hanisi.

— Zostań Janku, niema na co patrzeć,

wszystko zniszczone, mamy tylko dwie krowy, które pasły się w lesie.

— Muszę zobaczyć co z końmi, zostawiłem przed dworem.

— Widziałam przez okno, pasą się spokojnie na gazonie. Opowiedz mi o sobie, dobrze ci? A jak stoją Moskale, bo tutaj mówili, że umyślnie cofają się, ażeby was odsunąć od kraju, żywności, amunicji i dopiero was zgniotą.

— To wierutne bajki, ustępują i uciekają, bo ich bijemy, ani jednej pozycji nie mogli obronić.

— Jakże to dobrze, — uśmiechnęła się, — a teraz gdzie są.

— Może będą bronili Bugu, a w każdym razie Brześcia i Grodna.

— A wy pójdziecie tam?

— Naturalnie.... Jestem jednak niespokojny o konie, to cudze, z taboru muszę zobaczyć.

— Dobrze, ale wracaj zaraz, jeszcze mi nie o sobie nie powiedziałeś.

— Wróć, a gdyby przyszedł Jędrzek Berdysz, albo Michał, niech tu zaczekają.

— Czy oni obydwaj są w legionach?

— Tak mam, — był przy drzwiach.

— I przyjechali z tobą?

— Tak jest, — wyszedł i z poczucia obowiązku wyprzągnął konie, spętał i puścił w ogród.

Nareszcie mógł iść na wieś, zobaczyć Hani-
się. Wprawdzie czuł, że jest rzeczą bardzo
wątpliwą, ażeby Berdysz uniknął przesiedlenia,
ale wmawiał w siebie, że jeśli matka okupiła
wolność dziesięciu rublami, nie pożałował
i Berdysz pieniędzy, a w każdym razie mogła
Haniś ukryć się i jest na wsi.

To przecież niemożliwe, ażeby Hanisi nie
było, taka śliczna, taka młoda i miałyby się
włóczyć i poniewierać po cudzym kraju, cho-
ciażby i z rodzicami. Stary Berdysz jest mą-
dry i ostrożny, on wie przecież, że taka piękna
dziewczyna jest narażona na tysiąc niebezpie-
czeństw, nawet tu, w kraju, cóż dopiero pomię-
dzy dziczą moskiewską!?

Uczuł zazdrość, zaprawioną zjadliwym bó-
lem, goryczą, upokorzeniem, że jakiś Moskal
lub kozak zbezczęści i w błoto ohydy rzuci ten
kwiat tak ukochany, taki czysty i tak nieod-
zowny do szczęścia jego.

Przyspieszył kroku, już minął szereg
wierzb, pamiętnych wyznaniem miłości... i po
przez zrudziałe liście klonu i dwóch lip nie zo-
baczył chaty Berdysza.

— Spalili psubraty! — syknął przez zaci-
śnięte zęby.

Nie znaczy to jednak, że niema Hanisi, a mo-
że i Berdyszów.

Haniś odda pod opiekę matki, nie będzie

jej zbywało na niczem. Wyzna, że ją kocha, że tylko z nią się ożeni, bo tylko z nią i jedynie z nią będzie szczęśliwy.

Wszedł na obejście chaty. Lemiesz i żelaziu z pługa leżało przepalone, obok zęby brony w porządku i popiół znaczył wyraźnie jej kształty. Śnać pożar był nagły, że nawet nie usunięto tych narzędzi rolniczych.

Rozejrzał się. W sadzie za chatą stał Michał blady i mizerny, jak gdyby wstał po ciężkiej chorobie, opierał się o gruszę, której owoce przypiekły się z pożaru, ale jeszcze trzymały się na drzewie. Opodał leżał wyciągnięty Jędretek, ręką podparł głowę i wpatrywał się w miejsce gdzie stała chata.

Janek podszedł do nich, a już bardzo złe przeczucia nim owładnęły, gdy ich tylko dwóch zobaczył.

— Cóż u was? — spytał ochrypłym głosem, — gdzie ojcowie? rodzeństwo?

Michał starał się otrząść z wielkiego żalu i odpowiedział:

— Panicz sam widzą.

— No tak, ale sadybę można zawsze odbudować... nie wiecie nic o ojcach i rodzinie?

— Mówił mi Maciej Wilk, — wstał Jędretek, że tatuś zapłacili podobno ażeby zostać, ale te psubraty nie dotrzymały obietnicy, i ledwie tyle było czasu, że zabrał wóz, konie, trochę

jadła i musiał jechać z innymi, a jeszcze nie minęli ostatnich chat, już buchnął pożar ze wszystkich stron. Ratunku nijakiego nie było, to i wszystko zgorzało.

Janek spojrzał na obejście, na miejsce gdzie mieszkała Hanisia i rzekł do chłopców:

— Przyjdźcie do mnie, coś tam matka uratowała, to pożyczcie się.

— Najadłem się smutku, wystarczy za inne jadło, — odpowiedział Michał.

— I ja nie głodny, a rankiem stawię się u pannie.

— Dobranoc, a jutro was czekam, — i poszedł w stronę dworu.

I znów księżyc wschodził, jak owego wieczora z Hanisią, i wierzby rzucały cień na ścieżkę... ale niema Hanisi i gdzie ona?

Dławił go ból gorzki, a zupełna bezsilność doprowadzała do rozpacz. Pobudzona zazdrością i obawą wyobrażenia nasuwała mu coraz boleśniejsze obrazy. Zbolały zgnębiony, wściekły na los, świat, ludzi, wojnę, przyszedł do domu.

— Tak długo nie było ciebie, już się niepokoiłam. Co się stało, że wyglądasz taki smutny?

— No, weselić się niema czego.

— Zapewne, że nie, ale co znaczą mój Jan-

ku, nasze prywatne straty majątkowe, wobec naszego wyzwolenia i wolności?

— Ale co mi mama mówi o majątku, niech go wszyscy dyabli wezmą, nic mnie to nie obchodzi, — sarknął ostro.

— Janku, co tobie? — zawołała zdziwiona, — sądziłam, że jesteś tak zmartwiony zniszczeniem.

— A ja powtarzam mamie, że drwię zawsze ze zniszczenia i z majątku. Od tego są ręce, ażeby się dorobiły.

— Więc co tobie?

— Co?... Mama tego nie zrozumie, nie pojmie, bo mama ma różne przesady i zastawki mózgowe.

— Może i nie rozumiem, moje dziecko, — powiedziała z wielką słodyczą widząc jego nadzwyczajne wzburzenie, — ale powiedz Janku, to przyniesie ci ulgę.

— Czy mama wie, co znaczy stracić całe swoje szczęście, radość swego życia, nadzieję lepszej, rozkosznej przyszłości!?

— Rozumiem Janku, — westchnęła, — i ja dużo w życiu przecierpiałam... ale tak, jak ty mówisz, mówi się tylko o ukochanej kobiecie.

— I właśnie ją straciłem... tak jest prawie straciłem... kochałem ją i kocham, i jeśli z nią się nie ożenię, nie ożenię się z żadną... ale dla mamy będzie to dziwne, bo ona nie jest ze

sfery naszej, to jest mamy, — zaśmiał się drwiąco.

— Nie uznaję żadnych sfer, mój Janku, i jeśli ona jest zacna i uczciwa, a ty ją kochasz, przyjmę ją zawsze za synowę.

— Nawet chłopkę!?

— Dlaczego nawet? Chłopi są mi bliżsi, aniżeli mieszczenie. I w kim Janku się kochasz, jeśli to nie jest tajemnicą.

— W Hanisi, córce Berdysza.

— Bardzo ładna i miła dziewczyna, i porządna, bo Berdyszowie są porządni i uczciwi.

— Ach, mamó, mamó, i zabrali ją Moskale, co oni z nią zrobią?

Tyle boleści było w tem jego pytaniu, że matka przemówiła z wielkiem współczuciem:

— Uspokój się Janku, nie rozpaczaj. Hanisia sama rozsądna dziewczyna, najlepszy dowód jak zna Moskali, że uratowała ciebie i pana Tożyńskiego od więzienia. I pojechała z ojcem, z matką, oni nie pozwolą jej zginąć i zmarnieć.

— Ach, jaka mama dobra, jak ja mamę kocham, — całował jej ręce, — a ja byłem taki gbur, bardzo przepraszam mamę.

— Ależ Janku, mówiłeś w rozżaleniu, nie myśl o tem... a może zjesz cokolwiek, zrób to dla mej przyjemności.

—Dobrze mamó.

I do późnej nocy Janek opowiadał matce

o wojsku, bitwach o swych wrażeniach i naturalnie o swej miłości.

W południe pojechali we trzech do Krzysia. Witął ich na werandzie zniszczonego dworu, uśmiechnięty i wesoły.

Dzięki zapobiegliwości ekonoma Gwizdka i jego żony, którzy ukryli możliwie dużo zapasów zboża i mienia z dworu, a sami przez pięć dni siedzieli w dole kartoflanym, obiad był wcale niezły.

— Wiecie, — mówił Tożyński, — chociaż jestem w domu, u siebie, ale mi jakoś obco i nieswojsko... Prawdziwy mój dom i rodzina, to mój szwadron i oficerowie, tam czuję się u siebie, wolny, w wolnej Polsce.

— To prawda, — rzekł Janek, — mimo obecności matki, którą bardzo kocham, już mi tęskno do szeregów.

— No, a wam, legioniści? — zwrócił się Krzys do siedzących przy stole Michała, Jędrka, Kuby i Macieja.

— Ja muszę wrócić, — rzekł Michał z twarzą zawziętością, — nie miałbym spokoju za życia i po śmierci, gdybym nie tłukł i nie mordował Moskali za moją krzywdę.

— I ja także, — powiedział z pomrukiem głuchym Kuba, jak to czyni zwierz dziki zanim rzuci się na zdobycz.

— Wiecie, chłopcy, co mamy tu czas mar-

nować? — zawołał Tożyński, — jedźmy dziś do naszych, jeszcze ich zastaniemy na dniówce i zabawimy się wspólnie.

— Jak jechać, to jechać... my gotowi z Jędrkiem, — odezwał się Michał.

— I my! — rzekli Kuba i Maciej.

— Pojechałbym, ale matka, — westchnął Janek.

— Wiesz, jedź natychmiast do matki, — radził Tożyński, — teraz pierwsza, a do szóstej nagadasz się dosyć. Punkt szósta, zajeżdżamy po ciebie i jazda.

— Chyba, że tak zrobię.

I tego samego wieczora wszyscy sześciu zameldowali się w swych pułkach.

Moskale umacniając linię obronną Grodno-Brześć, nie zostawili jednak szerokiego pasa Królestwa przed Bugiem bez wojska i obrony. Z ludności przemocą usuwanej z wiosek i miast przeznaczyli część mężczyzn do pracy przy kopaniu rowów i przy umacnianiu pozycyi. Posuwając się w głąb, ku Bugowi, na drogach głównych i pobocznych niszczyli wszystkie mosty i mostki, nie mówiąc już o liniach kolei żelaznej.

Z tych powodów ofenzywa armii sprzymierzonych i legionów posuwała się wolno i mozolnie, pomimo, że Moskale jakkolwiek w swych doskonale umocnionych pozycjach bronili się, lecz z obawy okrażenia ustępowali często naj-

niespodziewaniej. Naprawianie dróg i mostów wymagało czasu i linia ofensywy nie dosięgła jeszcze Bugu.

Legioniści szli nieustannie krajem zniszczonym i wyludnionym, a po nocach przyświecały im łany pożarów wzniecanych przez Moskali.

Rosła w sercach ich nienawiść i zawziętość, to też z niesłychaną furią uderzali na Moskali. a ich odwaga budziła w armii sprzymierzonej, nietylko uznanie, ale i podziw.

Dotarli wreszcie do brzegów Bugu i stanęli na dzienny spoczynek we Włodawie, mieście powiatowem, tuż nad Bugiem leżącym, w trzech czwartych zniszczonem i zrabowanym przez ustępujących Moskali.

Miasto zajęli legioniści przed południem, a na kwaterę sztabową znaleziono dom murowany, obszerny, przy głównej ulicy, prowadzącej do miasta od mostu nadbużańskiego wysadzonego w powietrze przez Moskali.

Po obiedzie rozeszła się wieść wśród legionistów, iż telefonicznie zawiadomiono komendę legionów, że Moskali na całej linii wyparto za Bug.

Wielka radość zapanowała wśród legionistów i z ust do ust podawano sobie szczęsną nowinę, że całe Królestwo jest oswobodzone od wojska i czynowników moskiewskich.

Na uczczenie tego zdarzenia pamiętnego i radosnego, komenda legionów, zaprosiła na podwieczorek wszystkich oficerów, obecnych we Włodawie.

Krzyś i Janek, którzy kwaterowali na krańcach miasta przy drodze wiodącej do Lublina, wybrali się trochę wcześniej do komendy, gdzie zresztą zastali już sporo oficerów.

Janek, zanim weszli do domu komendy legionów, zaproponował Krzysiówi, ażeby mu kupił konia wierzchowego, a oficerowie w szwadronie mieli każdy luźne i zapasowe konie, które zresztą wszystkie znał Krzyś z ich zaletami i wadami.

Chcąc dokończyć tej rozmowy wyszli obydwaj na balkon od ulicy, i nagle zawołał Krzyś:

— Janku, patrz, wracają wygnańcy z za Buga!

— Gdzie? — uderzyło Jankowi serce żywiej.

— Stoją za Bugiem, prom właśnie odbił z nimi od brzegu.

Po pewnym czasie popod balkon, zapełniony wystrojonymi oficerami, zaczęły przejeżdżać wozy wypakowane marnym dobytkiem chat włościańskich. Sprzężaj był lichy i wymiłowany, że ledwie włóczył nogami. Na wozach wśród rzeczy, jak pisklęta w gnieździe,

siedziały drobne dzieci, zaś starsze, chłopcy, dziewczęta kobiety wraz z chłopami podpierały wóz, droga bowiem od mostu do miasta była ciężka i stroma.

Dużo wozów było takich, że w dyszlu siedł koń z krową wychudzoną zaprzęgnięty, a bywały i takie, że wraz z koniem ciągnął wóz sam gospodarz. Zdawało się, że temi wozami jada, nędza, głód, przygnębienie i troska, a wszystkie popędza i gna tęsknota za swoją wsią i chatą.

Szereg wozów stanął w ulicy, gdyż tam ko-
muś, zmęczone konie musiały pod górą wy-
tchnąć.

— A skąd Bóg prowadzi, gospodarzu? —
spytał jeden z oficerów.

Chłop w zniszczonej sukmanie zmizerowa-
ny i smutny, odpowiedział pokornie wojsko-
wemu:

— Z za Buga, panie.

— Puścili was Moskale?

— Oni!? — zdziwił się tem pytaniem, baba
zaś stojąca przy wozie dodała:

— Gnali nas bez litości i sumienia, gdzieżby
też kogo sami wypuścili.

— A jednak uszliście i przyjechali tutaj.

— Obozowaliśmy pod lasem, a pilnowali nas
srodze, aż nagle odwołali straż, a my poprzez
lasy dotarli do Buga, — tłumaczył chłop.

— A wy sami skąd?

— Z Lubelskiej ziemi.

Wtem ruszył szereg, chłop się skłonił mówiąc:

— Zostańcie z Bogiem i szczęść wam Boże.

— Dziękujemy! Boże was prowadź!

Janek widząc tę nędzę, mękę i utrapienie biednych wygnańców nie mógł się opędzić rozpaczliwym myślom o Hanisi, a zarazem zaczęła w sercu kiełkować nadzieja, że może i Berdysz z Hanisią zdołał się wymknąć.

Szereg wracających zdawał się nie kończyć, już zaczęto siadać do przygotowanych stołów, gdy Janek raczej przeczuł, aniżeli poznał Pawła Berdysza w człowieku, który wspólnie z mizernym koniem w dyszlu, ciągnęli wóz do góry popod balkon.

Na wozie były drobne dzieci i to nasuwało mu wątpliwości, bo wiedział, że Berdyszowie mieli tylko dorosłe, a Hanisia była najmłodsza.

Wtem z poza wozu mignęła mu postać dziewczyny i wyrwał mu się okrzyk:

— Haniś! Moja Haniś!

Kobieta idąca przy wozie i mężczyzna spojrzeli w stronę wołającego, i w tejże chwili rozległ się dziewczęcy głos, któryby wśród tysięcy był pochwycił Janek:

— Paniczu!

Janek bez czapki, ku zdumieniu oficerów,

którzy zresztą słyszeli jego wołanie z balkonu wybiegł, dopadł wozu i zawołał:

— Stójcie Pawle!

— A słowo stało się ciałem, to wy paniczu?

— Ja! Zjedźcie z drogi... stańcie! Jakie szczęście, że was widzę!... A gdzie Haniś?

— Idzie podle woza z Marysią, bo mi ciężko,
— odetchnął głęboko.

— Dam wam konie, odpocznijcie... Jest tu Jędrak i Michał...

— Co!?... Obydwa!?... Matko słyszysz?... Marysiu! Haniś! Michał i Jędrak są tu!... Ano, nie żal mi drogi i umęczenia,— zjechał z drogi na bok.

Janek pchał wóz, bo w ten sposób mógł narzeczcie zobaczyć Hanisę. Spojrzeli sobie w oczy, podali ręce i nie mogli się rozłączyć.

— A z ojcem!? — cofnęła rękę.

Janek uszczęśliwiony ucałował się serdecznie z Pawłem, potem przycisnął do siebie Pawłową, i chciał ucałować Marysię, ale mu się wymknęła. Wogóle ten poważny Janek miał w tej chwili ochotę wszystkich ścisnąć, całować, i naturalnie gdy zjawił się Krzyś zaniepokojony, uściskał go i szepnął:

— To Hanisia, moja narzeczona.

— Tak? A matka?

— Mam jej pozwolenie.

Nadeszli inni oficerowie, i natychmiast rozeszła się wieść pomiędzy nimi, że porucznik Janek odszukał narzeczoną.

Krzyś uważny i pamiętający o wszystkim, natychmiast posłał po parę koni do wozu Pawła i ich samych, wraz z Marysią i Hanisią zaprosił na poczęstunek do komendy legionów, zawiadomiwszy wprzód generała o całym zdarzeniu.

Gdy Berdyszowie zasiedli do stołu i zaspokoili pierwszy głód Krzyś uproszony przez Jan-ka przemówił:

— Widać Pawle, że było już tak przeznaczone, ażebyśmy się tu spotkali na granicy dziś już wolnego Królestwa polskiego, a tem miłsze spotkanie, że odnalazło się dwoje młodych, których serca lgną ku sobie i tylko czekają waszego pozwolenia i błogosławieństwa, ażeby się połączyć węzłem małżeńskim na całe życie. Jako przyjaciel narzeczonego a wasz sąsiad, proszę w imieniu porucznika Janka Kańskiego o rękę waszej córki Hanisi.

Trochę stropił się Berdysz, spojrział na żonę, która skinęła przyzwalająco, na Hanisę zapłonioną jak róża i odrzekł:

— Nie po formie to jest, ale na wojnie, jak na wojnie, bierz, jak ci podają. Jeśli tedy Hanisia z tem się zgodzi, a starsza pani przyjmie za synową, to my ich pobłogosławimy.

— Matka już pozwoliła, a wam ojcze Pawle i wam matko serdecznie dziękuję, że przyjmiecie mnie za syna i oddacie mi Hanisę, — zbliżył się Janek do Pawła, ucałował go w ramię, tak samo Pawłową.

Wszedł generał i podkrecając wasa, rzekł żartobliwie:

— Cóż to wyprawiacie w komendzie? jakieś zmówiny, oświadczyńy a mnie nie uwiadamiacie? Cóż to za porządek? Gdzie subordynacya!?

— Panie generale, — rzekł Janek, — mam zaszczyt przedstawić panu generałowi moją narzeczoną, i rodziców jej Berdyszów.

— A, Berdysz! Mamy dwóch legionistów Berdyszów, dzielnie się biją, czy to wasi krewni?

Pawłowi zabiło serce tak radośnie, że aż się zachwiał, ale wnet odrzekł:

— Mam dwóch ich w legionach, ale gdybym miał dwunastu, oddałbym wszystkich pod rozkazy pana generała.

— Nie macie wprawdzie synów więcej, ale będziecie mieli wnuków, niechże służą Polsce, i ażebym był pewny, że taki ród nie wyginie, musimy jutro wyprawić weselisko kapitana, bo od dziś jest już kapitanem, Janka Kańskiego z Hanisią Berdyszówną.

— Ależ, panie generale, — zaczął Berdysz.

— Subordynacya! — zawołał surowo generał, — jutro mamy dniówkę, jutro przed obiadem ksiądz kapelan da ślub, a na obiad weselny wszystkich was i oficerów proszę!

